

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 145.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1877.

SERYA V.

Luty.

TOM I. — ZESZYT II.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 31 stycznia 1877 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. O datach nadawanych statutom Kazimierza W. Przez Romualda Hubego.	161
II. Prawo bezprawia. Powieść. Przez Jana Zacharyasiewicza.	181
III. Drogi żelazne w Królestwie Polskiem. Prawa akcyonaryuszów. Przez A. Wrotnowskiego.	194
IV. Filozofia Spinozy i dzisiejszy panteizm. Przez dra M. Straszewskiego.	215
V. Listy Tadeusza Bulharyna do Joachima Lelewela. Od 1821 do 1830 roku.	222
VI. Wojna Zygmunta I z Bohdanem wojewodą moldawskim w 1509 roku. Przez Kazimierza Pułaskiego.	232
VII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.— <i>Karol Wielki</i> przez Alfonsa Vetault.— <i>Historya Epopei francuzkich</i> Leona Gautier.—Przyjęcie do akademii prof. Boissier, mowa Legouvégo.— <i>Cyceron</i> .— <i>Pieśń starego majtka</i> , poemat Samuela Coleridge, przekład Augusta Barbier; ilustracye Gustawa Dorego.— <i>Wenecya</i> przez Karola Yriarte.— <i>Wenecya i Amszterdam</i> Henryka Howard.—Przegląd <i>Meluzyna</i> , poświęcony mitologii i literaturze ludowej.—Wykopaliska Schliemana w Grecyi.—Groby Atrydów: szkielety Agamemnona i Kassandry.— <i>Historya i Literatura</i> p. Littré.—Wiktor Hugo jako rytownik.— <i>Dramat w głębi morza</i> p. Daqué.—Zapowiedziany dramat <i>Hetman</i>	255
VIII. Spalić, nie spalić. Przez Aleksandra Fredro.	281
IX. Podróż naokoło ziemi. Sprawozdanie z pierwszych czterech wykładów prof. Syrskiego, mianych we Lwowie. Podał dr. Z. Rościszewski.	281

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

X. Der Angebliche Untergang der Universität Lemberg 1876. W kwestyi oświaty w Galicyi. (List otwarty dr. Ks. Liskego do prof. Suess w kwestyi mniemanego upadku Uniwersytetu lwowskiego). Przez Ernesta Swieżawskiego.	295
XI. Śpiewy historyczne Juliana Ursyna Niemcewicza z ilustracyami według rysunków Juliana Kossaka i Henryka Pillatego i muzyką F. Lessla, Beydale, F. Kochanowskićj, K. Kurpińskićj, L. Potockićj, S. Parisa, Szymanowskićj, W. Rzewuskićj, F. Skibićkićj, hr. Zamoyskićj, Deszczyńskićj, K. Narbuttównićj, hr. Chodkiewiczowićj, ks. Württembergićj. Petersburg i Moskwa. Nakładem Bolesława Maurycego Wolffa. 1876 r. W wielkićj osemce str. XV. 296 i nut 40. Przez K. Wł. W.	289

(*Dalszy ciąg patrz na trzecićj stronie okładki.*)

NADAWANYCH STATUTOM KAZIMIERZA W-go.

PRZEZ

Romualda Hubego.

Biblioteka Warszawska nieraz już w kolumnach swoich pomieszczała wywody poświęcone objaśnieniu prac prawodawczych Kazimierza W.; i słusznie, bo w zakresie historyi naszego starego prawodawstwa, to jeden z najważniejszych przedmiotów, jeśli nie najważniejszy. I obecna praca ma to samo zadanie na celu.

Spytać jednak ktoś może, dlaczego mamy zamiar pisać tylko o datach, wydanych przez Kazimierza statutów? czy nie należało było wybrać do rozbioru, więcej ważne lub więcej pociągające pytanie, a których tyle przedstawia prawodawstwo tego króla? Odpowiadamy na to, iż w istocie zdawać się może na pierwszy rzut oka, że oznaczenie daty jakowego pomnika prawodawczego przedstawia tylko interes podrzędny; ma się to wszakże w części inaczej ze statutami naszego Kazimierza, zwłaszcza ze względu na badania krytyczne, których się stały przedmiotem w naszych czasach. Wywód nasz może pokaże, iż tu nie idzie wyłącznie o wyświecenie jakiejś ubocznej, drugorzędnej okoliczności, ale że zajmując się nią, rzuci się zarazem niejaki światło na samą treść i układ pozostałych po Kazimierzu pomników prawodawczych.

Bezwątpienia to, co powiemy, nie wyczerpie jeszcze wszystkiego, ułatwi nam wszakże przystęp do późniejszych, obszerniejszych i bardziej zaspakajających badań.

Czytelnicy, obznajmieni z historyczno-prawnymi pracami, jakie się pojawiły u nas w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, zapewne odgadują, iż obrawszy sobie do rozrządzenia pytanie o datach powstania Statutów Kazimierzowskich, mamy głównie na myśli rozbiór krytyczny zdań A. Z. Helcla, który kwestyą tę szczegółowo starał się wyjaśnić w wydanych przez siebie *Starodawnych prawa polskiego pomnikach* (Kraków, 1856 i 1870).

Już ta sama okoliczność, jak mniemamy, podnosi znacznie wagę zamierzonej pracy, bo wybrawszy sobie podobne zadanie do rozwiązania, będziemy mieli szczególnie do czynienia z rozbiorem twierdzeń męża wielkiej nauki, niezmordowanego i krytycznego badacza źródeł, odznaczającego się w poszukiwaniach swych szerokim poglądem i darem niezwykłych kombinacji. Aliści nim przystąpimy do rozważenia domysłów jego, rzucmy wprzód okiem na to, co inni za dni naszych

pod tym względem powiedzieli, a nawet cofnijmy się wstecz do wieku przeszłego.

W XVIII wieku znano ustawy Kazimierza tylko w formie, w jakiej ogłoszone były najprzód przez Łaskiego, a następnie powtórzone w wydaniu pijarskiem tak zwanych *Volumina legum*. W zbiorze pijarskim ustawy te występowały pod nazwiskiem Statutów Wiślickich r. 1347 (*Statuta Casimiri III Magni Visliciae anno 1347*)¹⁾. Praktyka sądowa widziała w nich jednolitą księgę praw, ułożoną przez Kazimierza W-go na wiecu, czyli jak podówczas mówiono, na sejmie w Wiślicy, mającą mieć moc obowiązującą we wszystkich częściach całego kraju. Tak samo zapatrywała się na nie nauka, jak to widzimy z pisma marszałka wielkiego koronnego Mniszcha, drukowanego w Warszawie w roku 1777 pod tytułem: *Kazimierz Wielki*.

Pierwszy dopióro w wieku naszym Czacki dostrzegł w rękopisie z roku 1449, zdbiającym jego bibliotekę porycką, osobny statut Kazimierza dla Wielkopolski²⁾; lecz nie oznaczył ani stosunku jego do reszty legislacji tego króla, ani czasu, w którym prawdopodobnie powstał.

W roku 1820 istnienie oddzielnego statutu dla Wielkopolski stwierdził Kownacki, wydając z rękopismu, należącego podówczas do Józefa hrabi Sierakowskiego, tak odtąd zwany *Statut piotrkowski wielkopolski* z powodu, że w rękopiśmie na czele jego stoi nadpis: *Statuta Majoris Poloniae in Piotrkow*³⁾. Wydanie poprzedził krótką przedmową, w której twierdzi, że wydany przez niego Statut piotrkowski musi być wcześniejszy od Statutu wiślickiego, ogłoszonego, podług doniesienia Długosza, w niedzielę *Laetare*⁴⁾ r. 1347, a to dla tego, że w jego artykule 9-tym (u Helcla art. 8, u Bandtkego art. XI) cytowana jest ta sama data w *czasie przyszłym*, jako coś, co ma dopiero nastąpić. Aby to twierdzenie objaśnić, przytaczamy zaraz tłumaczenie tego artykułu, tém więcej, że później często powoływać się na niego będziemy. Brzmi on jak następuje:

„Ustawiamy i edyktem wiekuistym chować nakazujemy, iż któkolwiek o sprzedaną dziedzinę w ośm lat⁵⁾, chcąc do niej jakiego prawa

1) W edycji pierwszej tomu pierwszego Woluminów, aż do strony 9-tój, wystawiony jest r. 1346.

2) Ob. rozprawę: *O źródłach praw, które miały moc obowiązującą w Polsce i Litwie*, w wydaniu *Dziel Czackiego* przez Raczyńskiego. Poznań 1845, T. III, str. 513, 514.

3) *Pamiętnik Warszawski*. Warsz. 1820, t. XVII, str. 137 i następ.

4) Niedziela *Laetare* (środopostna) tak nazwana dla tego, że msza święta w tym dniu zaczyna się od słów: *laetare Jerusalem*. Jestto niedziela czwarta postu.

5) Winniśmy zaznaczyć, że Helcel w tém miejscu czyta: *infra tres annos et tres menses* (w trzy lata i trzy miesiące), co przeciwne najlepszym rękopisom, a mianowicie królewickiemu i floryańskiemu. Ob. o tych rękopisach mój artykuł w *Niwie* z r. 1875.

dochodzić, do sądu nie odwoła się; albo dziedziny zastawionej w ciągu trzydziestu lat nie wykupi, sam albo przez krewnych swoich, którym to przysługuje (quibus hoc competit) ze zwyczaju osobnego (de consuetudine speciali), dziedziny takowe sprzedane lub zastawione, po przeminięciu tych lat, które mają biedz od lata Bożego tysiąc trzysta czterdzieści siódmego, od niedzieli *Laetare*, u tych, którym są sprzedane lub zastawione, na wieki pozostać mają, skutkiem tego zaniechania (ipso facto).“

W cztery lata po Kownackim ogłosił Lelewel cały rękopis polski ¹⁾, obejmujący w sobie tłumaczenie polskie statutów Kazimierza, dokonane w r. 1449, a rozważając go w jego częściach i w układzie, doszedł do wniosku, że statuta, wydane na wiecu wiślickim, złożone zostały z dawniejszych dwu prowincjonalnych statutów, jednego małopolskiego i drugiego wielkopolskiego piotrkowskiego. Niebawem idąc jeszcze dalej, w obszernem studyum pod tytułem: *Krytyczny rozbiór Statutów wiślickich* (Warszawa 1828 r.) tak myśl swoją co do Statutu piotrkowskiego objaśnił: „ustawa o dawności, naznaczająca jej termin od r. 1347 niedzieli *Laetare*, upewnia, że ten piotrkowski statut, albo w czasie wiślickiego sejmu tę datę przybrał, albo oczekując prawodawczego dla całego kraju sejmu, wcześniej tę datę otworzyć się mających obrad prawodawczych, nazaczył;“ w końcu nadto dodał: „cobądź, Statut piotrkowski ułożyli sobie Wielkopolanie *przed* wiślickim sejmem; a że Jarosław ²⁾ herbu Bogorya arcybiskupem r. 1341 został, a zatem piotrkowskie ustawy uchwalone były między latami 1341 a 1347.

Bandtke chociaż w swoim *Jus polonicum* (Prawo polskie. Warszawa 1830) osobno wydał Statut piotrkowski, nie zajął się jednak dokładniejszém oznaczeniem czasu jego powstania, a w *Historji prawa polskiego* (wydanj po jego śmierci, w Warszawie r. 1850) powiedział tylko, że on cokolwiek *dawniejszy* od Wiślickiego ³⁾.

W moim *Przyczynku do objaśnienia historji Statutu wiślickiego*, drukowanym w *Bibliotece Warszawskiej* z. r. 1852, utrzymywałem, że Statut piotrkowski wielkopolski naśladowający w układzie swoim najdawniejszy Statut małopolski z wieku XIII, powtarzający nawet dosłownie kilka jego postanowień, jest *późniejszym* od tego Statutu, że zredagowany został bezpośrednio przed zjazdem wiślickim i że rozporządzenie, zamieszczone w jego art. 9, co do terminu rozpoczynać się mającej dawności, zostało dopiero do niego dodane na wiecach wiślickich przy wspólnych naradach Wielkopolanów z Małopolanami. Od zdania tego chętnie o tyle obecnie odstępuję, o ile przekonałem się później, że Małopolska nie posiadała w wieku XIII własnego statutu.

Tak stała kwestya, mianowicie co do daty ułożenia Statutu piotrkowskiego, aż do czasu ukazania się w r. 1856 dzieła Helcla, bo zresz-

¹⁾ *Księgi ustaw polskich i mazowieckich* i t. p. Wilno, 1824 in 4-to.

²⁾ Z którego porady, jak wiemy, statut wielkopolski ułożony został.

³⁾ *Stronnica* 233.

tą daty wielkiego wieca prawodawczego w Wiślicy, przypadającej na rok 1347, nikt do tej pory w wątpliwość nie poddawał.

Jak wiadomo, Helcel wstrząsnął cały sposób zapatrywania się na historią prawodawczą działalności Kazimierza W. Podług zdania jego, w rękopisach przypisywanego Kazimierzowi prawodawstwa, zachowały się nie dwa Statuta, to jest jeden wiślicki a drugi piotrkowski, ani nawet trzy, to jest jeden małopolski, drugi wielkopolski i trzeci ostatni wiślicki, ale aż cztery statuta, a mianowicie: dwa prowincjonalne małopolskie, jeden z r. 1347, drugi wydany po r. 1354; następnie jeden prowincjonalny wielkopolski i wreszcie czwarty wiślicki, powszechny dla całego kraju z r. 1368 ¹⁾. W szczególności co do czasu powstania Statutu wielkopolskiego, utrzymuje Helcel: że obrady nad nim miały miejsce w Piotrkowie w miesiącu lutym r. 1347 i że uchwalony na wiecu piotrkowskim Statut, dopiero w Wiślicy w niedzielę *Laetare*, pod pieczęcią królewską wydany został, która to niedziela, jak wiadomo, w r. 1347 przypadła na dzień 11 marca ²⁾.

Aleksander hr. Stadnicki, któremu winni jesteśmy gruntowniejsze zabiegi około zbadania treści Statutów Kazimierzowych, przyjął bezwarunkowo hipotezę Helcla, utrzymując, że Statut piotrkowski w lutym r. 1347, pod prezydencją króla przez Wielkopolanów obradowany, nieprędzej jak na zjeździe wiślickim approbatę i sankcją królewską otrzymał ³⁾. Co więc, uważa, że hipoteza ta nie tylko usuwa zupełnie trudność, ze stylizacji artykułu 9 go statutu rzezonego wynikającą, ale że jest najgenialniejszym pomysłem autora.

Taki jest krótki przegląd twierdzeń co do czasu powstania różnych części legislacji Kazimierza. Pozostawiając na boku domysły dawniejsze, jako mniej przedstawiające rozwinięcia i niedosyć szczegółowo ugruntowane, zabieramy się do rozbioru zdań Helcla co do czasu powstania i daty ogłoszenia każdego ze czterech wyróżnionych przez niego statutów.

Na pierwszém miejscu stawiamy Statut prowincjonalny wielkopolski piotrkowski. Robimy to raz dlatego, że stanowi niewątpliwie oddzielną, samoistną część legislacji Kazimierza; a nadto dlatego, że w składzie swoim przedstawia tak wyższą nad wszelkie hipotezy całość, iż z niej nie można ani nic ująć, ani też do niej nic dodać. Wszystkie rękopisy, które go powtórzyły, w zupełnej są zgodzie, tak co do treści onego, jako też co do systematu następstwa artykułów, a nawet co do samej redakcyi pojedynczych rozporządzeń ⁴⁾.

¹⁾ Statuta te w numeracyi Helcla tak są oznaczone: Statut I małopolski, Statut II wielkopolski, Statut III małopolski, Statut IV powszechny.

²⁾ *Starodawne pomniki*, str. CCXIII.

³⁾ *Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego Statutu wiślickiego*. Warszawa, 1860 r. str. 274.

⁴⁾ Samo przez się rozumie się, że warianty drobne lub przypadkowe omyłki nie zasługują tu na wzgląd.

Właściwości te Statutu wielkopolskiego pozwalają nam z dokładnością oznaczyć wewnętrzny stosunek, jaki zachodzi między nim a innymi częściami Kazimierzowskiej legislacji.

Na pierwszy rzut oka porównyując Statut piotrkowski z innymi trzema, przez Helcla wyróżnionymi, nie wielkopolskimi Statutami, dostrzegamy wyraźne podobieństwo między nim a Statutem drugim małopolskim czyli tak nazwanym Statutem III, i to nie tylko co do układu ale i co do treści.

Już w *Przyczynku* moim, jak było wspomniane, zwracałem uwagę na to, że Statut wielkopolski przedstawia w układzie swoim ten sam systemat, w jakim ułożonych jest pierwszych 24 artykułów rękopisu Bandtkego IV, które poczytywałem za reprezentujące stary Statut małopolski z XIII wieku, a z których Helcel uformował drugi Statut małopolski prowincjonalny. Jestto obok Statutu piotrkowskiego, rdzena, najgłówniejsza część ustaw Kazimierza.

Rubryki główne Statutu wielkopolskiego idą w tej kolei: *de judiciis* (o sądach), *de citationibus et contumacia* (o pozwach i niestawieniu), *de praescriptionibus* (o przedawnieniach czyli dawności), *de sententia et re judicata* (o wyroku i rzeczy osądzonej), *de homicidio* (o zabójstwie), *de raptoribus* (o gwałtocielach). W tej samej kolei uporządkowane są rubryki Statutu III. Nawet, choćbyśmy dopuścili, że rubryki te nie są dziełem pierwiastkowej oryginalnej redakcyi statutów, nieby to nie znaczyło, bo porządek artykułów, nad którymi są wystawione, niewątpliwie od początku był ten sam, jaki wykazują rękopisy w tych dwu częściach ustaw Kazimierzowskich.

Tak samo pod względem treści, artykuły Statutu wielkopolskiego przedstawiają ciągłą analogią z odpowiedniami rozporządzeniami Statutu III.

Zaraz artykuł pierwszy Statutu wielkopolskiego i Statutu III co do treści są zupełnie z sobą zgodne: chodzi w nich głównie o oznaczenie jurysdykcyi wieców sądowych i o ich skład.

Artykuł 4-ty piotrkowski mówi o wydobyciu przed sądem noża lub miecza i znieważeniu tym sposobem sądu; odpowiedni także artykuł 4-ty Statutu III przewiduje inny przypadek ublżenia powadze sądu, przez tłumne najście miejsca posiedzeń sądowych, dla wymożenia na sędziach przychylnego wyroku na korzyść krewnych lub protegowanych osób.

Podobnie art. 6 Statutu III i art. 6 Statutu piotrkowskiego urządzają sposób zapożyczania, a art. 7 w jednym i drugim Statucie wskazują, jak sobie postąpić należy z osobami przypadkowo na miejscu sądu zdybanymi i przed sąd dorywczo do odpowiedzialności pociągniętymi.

Poprzestajemy na tych kilku zbliżeniach, aby pokazać jak ścisły związek między temi dwoma statutami zachodzi. Dodajemy tylko do tego to jeszcze spostrzeżenie, że Statut piotrkowski, w tych wszystkich razach, w których ten sam przedmiot traktuje co Statut III, tém się

odznacza, że rozporządzenia Statutu III albo dopełnia, albo je modyfikuje.

Przykład najdobitniejszy takiej modyfikacji przedstawia nam właśnie ów tyle razy wspomniany art. 9 Statutu wielkopolskiego, porównany z pierwszą połową art. 17 Statutu III. W obu chodziło o to samo, to jest o oznaczenie w jakim przeciągu czasu niedochodzący praw swych do dziedziny zastawionej lub innym tytułem przez kogoś posiadanej, takowe prawa na zawsze utracą. Statut piotrkowski widocznie dlatego tylko dotknął tego samego przedmiotu, że oznaczył inne terminy na przedawnienia i że uważał za stosowne pominąć niektóre drugorzędne rozporządzenia Statutu III co do dóbr zastawnych ¹⁾, które zresztą, jak się zdaje, nie utrzymały się w ogólnej praktyce.

Wspominamy prócz tego, o czém także już namienioném było w omim *Przyczynku*, że Statut piotrkowski w rzędzie swoich rozporządzeń powtórzył dosłownie dwa całkowite artykuły Statutu III, a mianowicie art. 4 i 8 czyli art. XX i XIX vulgaty Bandtkego. Artykuły te reprodukują wszystkie znane rękopisy Statutu wielkopolskiego, nie może być przeto najmniejszej wątpliwości, że należą do składu oryginalnego Statutu.

Z tego zestawienia obu Statutów płynie przekonanie, że nietylko oba są z sobą jak najściślej spowinowacone, lecz że Statut piotrkowski musi być koniecznie co do czasu *późniejszym* od Statutu III Helcia. Analogii tak wielkiej, niepodobna uważać za dzieło prostego przypadku. Koniecznie Statut III musiał być w całym swoim składzie gotów, nim za nim poszedł krok w krok Statut wielkopolski.

Wszakże na tém nie poprzestaje; utrzymuję nawet, że Statut wielkopolski jest *późniejszym* od tak nazwanego Statutu IV, czyli powszechnego. Dowód niewątpliwy na usprawiedliwienie tego twierdzenia przedstawia porównanie jego artykułu 30 z artykułem 35 Statutu IV (czyli z art. LXXIII vulgaty Bandtkego).

Artykuł 35 opiewa, że baronowie uważali za potrzebne zaradzić kłeskom, jakie sprowadza na majątki opustoszenie ich przez samowolne wydalenie się poddanych, i że król, wzięwszy na uwagę ich żądanie, postanowił ²⁾: iż nie więcej jak jeden lub dwu kmieci może razem wieś opuścić bez zezwolenia pana, wyjąwszy trzy przypadki, w których nie tylko trzej albo czterej kmieci mogą ze wsi wyjść, ale wszyscy w nią mieszkający ³⁾.

¹⁾ Zastawodawca dla uzyskania dłuższego terminu na dochodzenie praw swych do majątku zastawnego, powinien był, podług art. 17 Statutu III, przynajmniej raz w rok publikować, że ten majątek i w takiej a takiej sumie jest zastawiony.

²⁾ *Visum fuit baronibus nostris huic periculo obviare, propter quod nostra voluntate est institutum.*

³⁾ Przypadki te były: zgwałcenie przez pana żony lub córki kmiecia, fantowanie za pana kmieci i ekskomunika pana.

Było to więc zupełnie nowe postanowienie, które poraz pierwszy zjawilo się w Statucie IV. Skoro je zatem napotykamy powtórzone w artykule 30 Statutu wielkopolskiego, konieczny ztąd wniosek nastęrcza się, że Statut, który postanowienie takowe powtórzył i do swoich rozporządzeń dołączył, musi pochodzić z czasu późniejszego. Zaświadcza to także w części sama niezgrabna redakcja artykułu wielkopolskiego. Widoczném jest, że artykuł był początkowo zredagowany, bez uwzględnienia wzmiankowanych poprzednio przypadków, dających wszystkim knieciom prawo opuszczenia razem wsi; dopiero gdy przyszło do zatwierdzenia Statutu i ostatecznej jego redakcyi, wstawiono w sam środek artykułu owe wyłączenia, zktąd powstało ciężkie i nieskładne wystowienie całego artykułu ¹⁾.

Rezultata, które za pomocą tych wyjaśnień osiągnęliśmy, nietylko rzucają nowe zupełnie światło na powstanie różnych składowych części prawodawstwa Kazimierza, ale zarazem podają w wątpliwóść wystawione pod tym względem przez Helcla hipotezy. Przygotowują one podstawę do objaśnienia całej historii Statutów Kazimierzowskich. Nie tu jednak miejsce dla dalszego ich rozwinięcia.

Lecz wróćmy znowu do tego, co nam Helcel o Statucie piotrkowskim podał i to już jedynie przezskrupuł, aby niczego z jego główniejszych wywodów niepominać, choć takowe w zasadzie swój przez powyższe wyjaśnienia są kompletnie podważone.

Helcel, zastanawiając się nad oznaczeniem czasu powstania Statutu piotrkowskiego, zestawia go ze swoim Statutem I małopolskim. Sądzi, że to kombinacya bardzo słaba. Między temi dwoma Statutami, bacząc na ich treść i na rozkład zawartych w nich materyi, nie upatruję żadnej analogii. Statut wielkopolski przedstawia całość pełną, dobrze zaokrągloną, od początku do końca systematycznie obmyśloną i obrobioną; przeciwnie Statut I jest tylko luźnym zlepkiem urywkowych, drugorzędnych, z różnych źródeł zaczerpniętych rozporządzeń. A przecież dopuścić należy, że Kazimierz, wziąwszy się do dzieła prawodawczego, nie mógł zaczynać od wygłaszania tak mało znaczących postanowień, po większej części dopełniających rozporządzenia zasadnicze. W każdym razie, taki pierwszy Statut nie mógłby mu przynieść wielkiej chwały i dowodziłby, że nie wiedział, jak się wziąć do spełnienia wielkiego swego zadania. Niepodobienstwo też przypuścić, jeśli Statut wielkopolski został na kilka tygodni wcześniej ułożony, aby obszerne widoki, które przewodniczyły w jego ułożeniu, naraz miały opuścić prawodawcę, kierującego jedną i drugą robotą i żeby w następnej zaraz pracy nie miały się odbić. Kto w układzie Statutu piotrkowskiego podniósł się tak wysoko, nie mógł niespełna w miesiąc spaść tak nizko.

¹⁾ Oto słowa téj wstawki: *et hoc, ubi nulla culpa domini praecedente, de quibus infra subinfertur, fugerit ab eodem. Culpae vero, propter quas licitum sit a domino suo fugere...*

Przypominamy bowiem, że Helcel utrzymuje, iż Statut wielkopolski ułożony został w lutym 1347 r. w Piotrkowie, a to z powodu, że Kazimierz który bawił na początku lutego w Łowiczu u arcybiskupa Jarosława, ztamtąd udał się do Piotrkowa, a potem zaraz na początku marca zawiątał do niezbyt odległej Wiślicy na zjazd nowy prawodawczy ¹⁾. I to twierdzenie osłabia znacznie wydany niedawno dokument Kazimierza, wystawiony w Krakowie, a noszący datę dnia 14 lutego 1347 roku ²⁾. Dokument ten nasuwa myśl, że Kazimierz zupełnie w miesiącu lutym nie był w Piotrkowie, bo z Krakowa po 14-ym lutego musiałby był szybko przenieść się do Piotrkowa, a ztamtąd zawrócić do Wiślicy przed dniem 11 marca. Mówię, przed 11 marca, bo jakkolwiek ułożone w Wiślicy ustawy zatwierdzone i ogłoszone zostały dnia 11 marca, bezwątpienia sam zjazd tą razą musiał się rozpocząć na kilka dni wprzód, z powodu ważności zajęć, które go czekały.

Obok całego tego wywodu, cytowane data w przytoczonym powyżej tekście artykułu 9 Statutu wielkopolskiego, pod względem oznaczenia czasu jego powstania, tracą tymczasowo wielce na znaczeniu, gdyż z samą tą cytacją tak dalece nie da się nic stanowczego wyprowadzić, zwłaszcza jeśli będzie się uważać Statut I jako ogłoszony 1347 roku. Tyle pewno, wbrew temu co w części powszechnie dotąd utrzymywano, że artykuł 9 nie powołuje się na datę jakiegoś zjazdu, który się ma dopiero odprawić, ale cytuje w każdym razie datę, która już minęła. Powoływanie się bowiem w ustawach na coś, co niewiadomo czy się ziści, zdaje się niepodobnym do prawdy.

Dopuszczać także, że Wielkopolanie, ułożywszy sobie swój Statut prowincjonalny w Piotrkowie, w obecności króla i arcybiskupa Jarosława, który był jego promotorem, uznali za właściwe postać go do Wiślicy, gdzie miał być ułożony Statut prowincjonalny dla samej wyłącznie Małopolski, a to w celu zatwierdzenia go tam i ogłoszenia, jeszcze mniej zasługuje na uwzględnienie, zwłaszcza jeśli zważymy, że między dwoma temi Statutami, jak to dopiero co powiedzieliśmy, żaden nie zachodzi związek. Wielkopolanie mieli tak dobrze prawo urządzać stosunki swoje prowincjonalne i to ostatecznie w Piotrkowie, jak Małopolanie w Wiślicy, mieście ziemi Sandomierskiej. Potwierdzenie i ogłoszenie Statutu wielkopolskiego, bezwątpienia nastąpiło w tém samym miejscu, gdzie się odbywały nad nim narady. Nie ma też żadnego powodu utrzymywać, że się inaczej stało, przynajmniej artykuł 9-ty do tego nie upoważnia.

Wykazawszy, co sądzić należy o domyśle Helcela względnie czasu powstania Statutu wielkopolskiego, przechodzimy do zastanowienia się nad datą, którą naznacza dla drugiego Statutu prowincjonalnego małopolskiego, czyli tak nazwanego Statutu III-go.

¹⁾ *Starodawne Pomniki*, T. I, str. CCXIII.

²⁾ *Kodeks dyplomatyczny Małopolski*. Kraków 1876, str. 263, 264.

O przedmiocie tym mówi Helcel w dwu miejscach: najprzód w obszernych prolegomenach do tomu I *Starodawnych Pomników*; następnie w przedmowie do tomu II tychże *Pomników*.

W prolegomenach, przyjąwszy za pewniki, że pierwszy Statut małopolski ogłoszony został r. 1347, a ostatni powszechny czyli IV roku 1368, utrzymuje: że *Statut III będąc wcześniejszy od Statutu powszechnego, zdaje się być wydanym po r. 1354*, a to jak wywodzi ze względu na następujące okoliczności:

„Powód do takiego mego mniemania następcza ważny wyrok sądowy w r. 1354, d. 10 października przez sąd ziemski krakowski wydany, w sprawie Helki siostry Rynera, przeciwko Piotrowi kanonikowi krakowskiemu, o połowę dziedziny Rynerzowice... Wyrok ten wskazuje, że Ryner brat Helki sprzedał był niegdyś połowę Rynerzowic Piotrowi za 41 grzywien... lecz że Helka miała do tej połowy prawo odkupu, którego w sądzie dowiodła pokładanym wyrokiem sądowym z roku 1348, od którego to wyroku daty, aż do chwili toczonęj sprawy obecnej upłynęło sześć lat bez dni czterech i na mocy tego wyroku domagała się swego prawa odkupu. Sąd atoli przeciwko tej kobiecie orzekł: że mając na względzie *Statut generalny (Statutum generale)* króla i baronów, którym zastrzeżone zostało, że jeśli komu przyznane zostanie prawo odkupu jakowęj dziedziny, on takową koniecznie odkupić powinien w ciągu jednego roku i 6 niedziel, a ponieważ Helka w tym oznaczonym czasie nie wykupiła, skazuje ją na wieczne milczenie a kanonikowi dziedzinę przysądza.”

Tak przedstawivszy sprawę Helki, w ten sposób nad nią rozumuje:

„Jest to zaprawdę rzecz szczególna, że sąd powołując wyraźnie Statut Kazimierza W., cytuje jego przepis nietylko nieznajdujący się w Statutach króla tegoż, ale nawet stanowi wręcz przeciwko zasadom tak uroczyście zawarowanym w Statucie III § 17 i Statucie IV § 13 względem wyjątkowego ubiegu dawności na korzyść kobiet¹⁾. Co większa nawet poprzednie Statuta I w §§ 12 i 64, II w § 8 (właściwie 9) w przypadku podobnym oznaczają dawność lat trzech i miesięcy trzech a nie zaś roku i 6 niedziel²⁾. Pokazuje się więc, że sąd krakowski, nawet przytaczając ustawę, mógł nie zajrzeć do obowiązującej pisanęj księgi prawa i stanowić wbrew jej przepisom, w ślad zapewne dawniejszego zwyczaju. Lecz też zarazem i to się okazuje, iż przepisy Statutów III i IV o przedawnieniu, z tak widoczną umyślnością i tak wyraźnie stanowione na korzyść kobiet, jeszcze przy końcu r. 1354 nie musiały być wydane, bo tak wyraźnych, jasno wyrozumowanych i uroczystych ustaw, sędziowie krakowscy niezawodnie na wiecu prawodaw-

¹⁾ W Statutach postanowione dla kobiet terminu przedawnienia dłuższe są od terminów zwyczajnych.

²⁾ Już wyżej zsznaczyliśmy, że w art. 9 Statutu II postanowiona dawność nie trzech lat, ale ośmiu.

czym obecni, nie byliby mogli tak dalece pominąć. Przypuścić można proste zboczenie od dawności statutowej trzech lat, do dawności starozwyczajowej roku jednego, zwłaszcza, gdy już może wyrok z r. 1348, Helce ten termin wykupu przeznaczył; lecz zupełne sprzeciwienie się przeważnym względom prawodawcy, poświęconym słusznie na korzyść kobiet mniej samodzielnych, nie tak łatwo zawyrokowaniem być mogło. Ztąd to wnoszę, iż Statut III, w swym § 17 mający przepisy przyjazne kobietom co do dawności, późniejszym jest od r. 1354 ¹⁾."

Cały ten wywód, pomijając zarzuty zrobione sądowi krakowskiemu, streszcza się w ten sposób: ponieważ sędziowie w wydanym w sprawie Helki wyroku nie zastosowali do niej przepisów Statutu III, nadających kobietom dłuższe terminy dawności, coby byli pewno uczynili, gdyby ten Statut już był wydanym; przeto Statut III musi być późniejszym od r. 1354, w którym sprawa Helki była sądzoną.

Byłby to niewątpliwie nader silny argument i przemawiałby niezawodnie za twierdzeniem Helcla, gdyby wystawienie rzeczy było uzasadnionem.

Podług prawa ziemskiego polskiego, tak dawnego XIII wieku, jako i zachowywanych po ogłoszeniu Statutów Kazimierza zasad, kiedy chodziło o wykupno majątku, sprzedanego przez krewnego obcej osobie albo dalszemu krewnemu, bliższy krewny sprzedającego, miał prawo opierając się na *bliższem* swoim *pokrewieństwie* (*proximitas*), czyli używając służącego mu *prawa bliższości* (*jus proximitatis*), żądać od sądu, aby mu, jako bliższemu, było przyznane prawo wykupu. Żądanie to wszakże musiało być wniesione we właściwym czasie, t. j. przed upłynieniem terminu przedawnienia, po którym ten, kto nabył majątek, stawał się już nieodwołalnym jego właścicielem. Dopiero gdy sąd uznał, iż żądający przyznania sobie prawa bliższości, rzeczywiście jest bliższym krewnym sprzedającego i że zgłosił się przed upłynieniem terminów na przedawnienie postawionych, przyznawał mu prawo bliższości i nierozłączne z tém prawo do wykupu, ale zarazem naznaczał termin, w którym mający sobie przyznane prawo bliższości, powinien być pod upadkiem majątek wykupić.

Powołany przez Helcla wyrok z r. 1354 nie miał za przedmiot przyznania Helce prawa bliższości, a tém samem i prawa do wykupu; prawo to było jój poprzednio przyznane przez wyrok z r. 1348; w roku 1354 chodziło już tylko o rozstrzygnięcie pytania, czy Helka na skutek przyznanego jój wcześniej prawa do wykupu, złożyła wykupne pieniądze w terminie na ten cel przez sąd pod upadkiem naznaczonym, lub nie, a gdy się okazało, że tego nie uczyniła, nakazano jój wieczne milczenie czyli oddalono ją z żądaniem przyjęcia składanych pieniędzy wykupnych.

¹⁾ Mimochodem zwracam uwagę na to, że jeśli to całe rozumowanie miało być uzasadnionem, wtedy i § 12 Statutu I musiałby być późniejszym od r. 1354.

Przy wydawaniu zatem wyroku z r. 1354 nie przedstawiała się do rozstrzygnięcia żadna kwestya przedawnienia, którąby było należało rozwiązywać, czy to podług zasad Statutu I, czy podług rozporządzeń Statutu III lub IV; kwestya ta, jak dopiero co wywiedliśmy, mogła tylko być poruszona przy wydawaniu wyroku 1348 r. Lecz jeśli tak jest, nie możemy dopatrzeć żadnego związku między postanowieniami dekretu z roku 1345 a rozporządzeniami o dawności, zawartemi w Statucie III, a tém samém twierdzimy, że z daty tego wyroku nie można wyprowadzić żadnego wniosku co do czasu ogłoszenia Statutu III, i że oparty na tój zasadzie wniosek Helcla nie da się utrzymać.

Dla poparcia twierdzeń naszych przytaczamy przykłady z praktyki sądowej, niewiele co późniejszej od Statutów Kazimierza. Wejrzymy najprzód na księgi ziemskie krakowskie.

W r. 1398 d. 16 kwietnia, a zatem w 50 lat po wiecu prawodawczym w Wiślicy, sąd krakowski, przyznawszy Szymkowi dziedzicowi z Góry i matce jego Nastce, część dziedziny zwanój Noskowska w Dziekanowicach, a to *prawem bliskości (jure proximitatis)* na Derstawie z Brnocic, zarazem wyrzekł (*decrevit*), że jeżeli dzisiaj Szymko da 50 grzywien (wykupnych) Derstawowi, to odbierze natychmiast ową część dziedziny; jeśli zaś pieniędzy nie ma, winien mu zapłacić na Boże Narodzenie, a wtedy Derstaw obowiązany będzie zejść z tój części dziedziny ¹⁾.

Jeszcze w pewnym względzie ważniejszym jest wyrok wydany r. 1423 d. 10 maja, na kolokwium generalném (wielkich wiecach) w Krakowie. Księga ziemska krakowska z tego roku taki mieści w sobie wpis: Elżbieta żona Mikołaja z Dąbrowicy, jeśli da 320 grzywien groszy panu Mikołajowi przełożonemu Miechowskiemu na nadchodzące Boże Narodzenie, to całą część dziedziny, która należała do Stanisława w Sławicach, kupioną (rozumie się przez przełożonego) otrzyma prawem bliskości (*jure proximitatis*); inaczej, jeśli rzeczonych pieniędzy na rzeczone święto nie da, wtedy wzmiankowaną część dziedziny i prawo bliskości ma na rzecz pana przełożonego na wieki utracić i to z mocy wyroku sądu (*ex decreto iudicii*) ²⁾.

Wyraźnie więc i tutaj przyznanie prawa bliskości do dziedziny sprzedanej, tak jak w sprawie Helki, odróżnione od obowiązku zapłacenia za nią na terminie przez sąd oznaczonym i to zupełnie niezawisłe od przepisów o dawności.

Podobnych zasad trzymała się praktyka wielkopolska.

W księdze kaliskiej ziemskiej pod r. 1411 zapisane: Mirostław z Sdzinicy prawem bliskości nabył (*propinquitate adquisivit*) dziedzinę tamże w Sdzinicy na Wawrzeńcu z tójże Sdzinicy, za którą temuż Wawrzeńcowi obowiązany dać 14 grzywien groszy, które obowiązany dać

¹⁾ *Starodawne Pomniki II* str. 58 nr. 168.

²⁾ *Starodawne Pomniki II* str. 274 nr. 1887.

w ciągu sześciu niedziel, których jeśli nie da, wtedy Mirosław niech wie, że przyznaną dziedzinę utracił ¹⁾.

W tymże samym roku zapadło podobne postanowienie. Sottysi bracia u Mikołaja Sycek bliskością nabyli (*propinquitate aquisierunt*) sottystwo w Korytnicy i powinni dać i zapłacić pieniądze w ciągu sześciu niedziel i posiąść na wieki sottystwo; jeśli zaś nie dadzą pieniędzy, mają na wieki być pozbawieni sottystwa ²⁾.

Takich samych zasad przy wykupnie sprzedanych dziedziny, z mocy prawa bliskości, trzymano się i w ziemi łęczycyckiej, jak to zaświadcza następujący wpis w księdze ziemskiej łęczycyckiej, zamieszczony pod rokiem 1393:

Marek z Janowic ze Świętosławą małżonką swoją szlachetnemu Mikołajowi z Rocławic połowę wsi Potrkowo przed nami (t. j. sędziami) rezygnowali i rezygnują. Wtedy Piotr Zuk przeciw sprzedaży tej wystąpił utrzymując, że jest bliższym, ofiarując zapłacić 50 grzywien na nadchodzące Boże Narodzenie, których jeśli nie zapłaci, wtedy rezygnacya i sprzedaż ma uzyskać wieczną trwałość i rzeczony Mikołaj swą połowę wymienionej dziedziny na wieki posiadać ³⁾.

Nie będziemy wykładu tego przeciążać większą liczbą wyciągów z ksiąg ziemskich; dodamy tylko, że już w wieku XIII w praktyce sądowej te same zasady były zachowywane co do złożenia pieniędzy wykupnych w terminach przez sąd oznaczonych a niemających nic wspólnego z przepisami o dawności. Dowodzi tego między innymi dyplomata wielkopolski z r. 1246 ⁴⁾, jak to także zauważał dr. Piekosiński ⁵⁾, z którego dowiadujemy się, że sąd naznaczał termin do złożenia sumy wykupnej tym, którym przyznane zostało prawo wykupu na zasadzie przyznanego im prawa bliższosci.

Nie zachodzi już zatem najmniejsza wątpliwość, że termin naznaczony przez sąd do złożenia summy wykupnej, nie ma żadnego związku z przepisami o dawności, umarzającej prawo bliskości, i że mając to na względzie, jak powiedzianem zostało, nie można z wyroku wydanego w sprawie Helki, żadnego wniosku wyprowadzać, co do terminu, w którym ogłoszony został Statut III.

Pod tym względem zachodzi zupełna zgodność w głównej zasadzie między praktyką sądową a wyrzeczeniem z r. 1354 w sprawie Helki; różnica polega tylko na tém, że cytowane z praktyki sądowej

1) *Księga Ziemska Kaliska* I str. 770.

2) *Księga Ziemska Kaliska* I str. 81.

3) *Księgi Ziemskie Łęczycyckie* wydania prof. Pawińskiego, str. 261 nr. 2821.

4) Zwróciłem na niego uwagę w mojem *Prawie Polskiem XIII wieku*. Warszawa 1875 r. str. 73.

5) Zob. uwagi dr. Piekosińskiego nad wyrokiem 1354 r. wydanym całkowicie w *Dyplomatarjusz Katedry krakowskiej*. Kraków 1874 roku str. 256.

przykłady inne oznaczają termina na złożenie summy wykupnej, jak ten który oznaczyli sędziowie krakowscy w sprawie Helki. Tę więc jeszcze okoliczność objaśnić wypada.

Wyrok z r. 1354 tak się wyraża: przyjmując na uwagę *statut* przez naszego króla i jego baronów *generalny (statutum generale)*, którym zastrzeżone zostało, że ten komu przysądzony będzie wykup jakowej dziedziny, winien takową akurat wykupić w ciągu roku i sześć niedziel ¹⁾.

Helcel, mając na względzie to motywum mniema, że sąd powołuje się tutaj na przepis jakiegoś statutu, nieznanego się w znanych Statutach Kazimierza Wielkiego. Ja, przyjmując na uwagę przytoczoną praktykę sądową, pozwałam sobie wyrzec zdanie, że sąd nie miał tu bynajmniej na myśli żadnego Statutu, ale po prostu prejudykat wyrzeczony przez Kazimierza i jego baronów przy sądzeniu innej podobnej sprawy i tylko niemając w pogotowiu innego stosownego wyrażenia, nazwał mniejsze właściwie ten prejudykat statutem generalnym. Że Kazimierz mógł mieć uzasadniony powód do wyrzeczenia podobnej reguły, której zachowania domagał się we wszystkich podobnych przypadkach, nic dziwnego, gdy weźmiemy na uwagę, że sądy w oznaczeniu terminu do wykupu nie zgadzały się, a on właśnie pragnął pod tym względem zaprowadzić pewną jednostajność; reguła ta przecież, jak widzieliśmy, nie utrzymała się w praktyce.

Można mi wprawdzie na to odpowiedzieć, że jeszcze tak zwane *Zwyczaje ziemi krakowskiej*, pomieszczone w zbiorze Łaskiego z rozkazu króla Aleksandra, regułę tę jako obowiązującą wystawiają; temu bynajmniej nie przeczę, ale jedynie utrzymuję, że zachowała swe znaczenie w zastosowaniu do innych zdarzeń, a nie do złożenia summy wykupnej ²⁾. Ta też to właśnie okoliczność, że znalazła miejsce w zbiorze zwyczajów, a nie w Statutach, potwierdza domniemanie moje, iż była tylko wyrzeczoną jako prosty prejudykat.

Podobieństwo do prawdy jest, że Helcel sam spostrzegł się, że wnioski, które wyprowadził z wyroku 1354 roku, nie dosyć są uzasadnione ³⁾, i że dlatego w przedmowie do tomu II swych *Pomników* wystąpił niejako z dodatkowym wywodem.

Przytaczamy i tu własne jego słowa: „że co do oznaczenia owego peryodu czasu (to jest od r. 1354 do 1368) Statutu III nie omyliłem

¹⁾ ...considerantes statutum nostri Regis et baronum suorum generale, quo cavetur, quod cuicumque adjudicatur redemptio alicujus haereditatis, illam precise redimere debet infra annum et sex septimanas.

²⁾ *De actore citante et non continuante processum juris*. Item aliquis aliquem citando si condemnaverit una vice et ulterius nihil faceret usque ad decursum unius anni et sex septimanarum... amittit actor id pro quo citabat. *Consuetudines terrae Cracoviensis* na str. CXXII v.

³⁾ Naprowadza na tę myśl ta okoliczność, że przyznaje, iż Caro w swiej *Geschichte Polens* II, str. 603, podając podług jego rozkładu przegląd statu-

się (?), na to dziś w stanie jestem stawić dowód jawny, a to nawet tak, iż już wręcz datę 14 stycznia 1356 roku wydania Statutu owego w Wiślicy wskazać mogę. W Dyplomatarjuszu klasztoru mogińskiego wydanym w Krakowie w 1865 r., zamieszczony jest list Kazimierza W-go do dygnitarzy, zwłaszcza małopolskich, z oryginału przedrukowany, w którym monarcha wyraźnie przytacza ustawę objętą w Statucie ogłoszonym w Wiślicy na wiecu tym samym, na którym i ów list wydanym został w r. 1356: *veluti in colloquio generali per nos nostrosque terrigenas nuper in Vislicia celebrato extitit promulgatum aut statutum (jako na kolokwium generalnem przez nas i naszych ziemian zostało obwieszczonem czyli postanowionem)... actum et datum Visliciae in praedicto nostro colloquio post octavas Epiphaniae Domini feria quinta anno ejusdem M. trecentesimo quinquagesimo sexto (dano w Wiślicy dnia 14 stycznia 1356 r.). Ustawa zaś owa przytoczona w liście monarszym nie inna jest, tylko § 18 wydzielonego przezemnie Statutu III, czyli art. 46 zupełnego zводу (licet pro redimenda pauperum vexatione), jak każdy znawca głębszy Statutów łatwo uzna, któremu wiadomo, iż od pokładanych w sądzie dokumentów przywilejnych pobierał sąd takse zwaną *memoriale*, którą poprzednio *trescznem*, a następnie też *przysądem* zwano. § 18 Statutu III przynosi oraz złagodzenie i umiarkowanie, tak zwanęj płacy pamiętnego, którą Statut I wiślicki w § 7 według dawniejszego zwyczaju jeszcze w ilości kopy groszy od pokładanego przywileju oznacza."*

Nim przystąpię do rozbioru tego wywodu, zaraz na wstępie objawiam, że go uważam za zupełnie chybiony i polegający na niedostatecznym wyrozumieniu źródeł, a w części i na niezajomości staręj praktyki sądowęj. I tu znowu okaże się, że owa data szczęśliwie wynaleziona dla Statutu III, oparta jest na zwodniczych kombinacyach.

Zobaczymy przedewszystkiem co mówią powoływane źródła, a najprzód czego dowiadujemy się z owego listu Kazimierza W. noszącego datę 14 stycznia 1356 r.

W roku tym przewodniczył w miesiącu styczniu w Wiślicy Kazimierz W. zwyczajnemu wiecu sądowemu, czyli tak zwanemu po łacinie *colloquium generale*. Na wiecu tym zjawił się Jan opat mogiński z całym swoim konwentem (*cum suo toto conventu*), przedstawił przywileje klasztorne, któremi klasztor był wyjęty z pod zwyczajnej jurysdykcji wojewodów, kasztelanów, sędziów, podsejdków ¹⁾ i prosił o zatwierdzenie tych przywilejów. Król przywileje zatwierdził (*quae quidem privilegia per nos ratificantur*), a chcąc przytęm pokazać się ile byę może przychylnym dla klasztoru mogińskiego, wydał okólnik do wszy-

tów Kazimierza, słusznie zauważał, że dowody co do daty Statutu III przytoczone, są za słabe.

¹⁾ Obacz o tych wyłączeniach moje *Prawo Polskie XIII wieku*, stronica 202 i następnę.

stkich wojewodów, kasztelanów, sędziów, podsejdków, nietylko ziemi Krakowskiej i Sandomierskiej, ale i wszystkich innych ziem (et aliis quibuscunq̄) nakazujący, aby za przedstawienie w sądzie przez klasztor potwierdzenia przywilejów, przy natychmiastowym zwrocie onego do rąk braci klasztornych, nie wymagano żadnej opłaty, a to tak jak zostało obwieszczoném, czyli postanowioném na kolokwium generalném obecnie w Wiślicy odprawioném ¹⁾. Zastrzeżenie to było zupełnie na swojém miejscu, bo od pokładanych w sądzie przywilejów składała się opłata i jak wiadomo robiono niekiedy trudności przy zwrocie przedstawionych przywilejów.

Z całej osnowy tego pisma pokazuje się, że tu nie chodziło bynajmniej o wyrzeczenie jakiegóś ogólniej na cały kraj normy, nie o jakieś powszechne postanowienie prawodawcze, ale tylko o udzielenie klasztorowi, na jego wyłącznie korzyść, specjalnego zastrzeżenia. Z tego téż powodu uważano za właściwe podobną wyjątkową dyspozycją zaraz na samym wiecu opublikować i dać o niej wiedzieć wszystkim w całym kraju dostojnikom sądowym, z zawieszeniem na okólniku małej pieczęci królewskiej ²⁾. Ile domyślać się godzi, wszystko to zrobiono na prośby opata i konwentu, którzy w przypadkach podobnych umieli otaczać się jak największemi gwarancyami.

Nadmieniamy w tém zaraz miejscu, że podobne zwolnienia z opłaty zwyczajnej od pokładanych w sądzie przywilejów, otrzymywały i inne klasztory. W roku 1359 Kazimierz, i to także w Wiślicy, a może za przykładem tego co uczynił dla klasztoru mogińskiego, uwolnił klasztor jędrzejowski, choć mniej tu był hojnym, od części składanej w sądzie opłaty za przedstawiane przywileje ³⁾.

Drugi dowód, który przytacza Helcel na poparcie swego wywodu, ma polegać na związku, jaki upatruje między poprzedniém orzeczeniem wieca wiślickiego z r. 1356, a artykułem 18 Statutu III, czyli artykułem 48 wulgaty Bandtkego.

Cóż w niém postanowiono?

Artykuł 18 tak brzmi: jakkolwiek opłata zwana tresczne, która zwykła była składać się sędziemu sądzącemu (judici praesidenti sive diffinienti aliquam causam) uchyloną została, gdy jednak takowa wzo-

¹⁾ Tak pojmuję wyrażenia: volumus quod undique hac litera visa in iudicio iterato ad manus fratrum restauretur, nihil penitus ab ea postulando, veluti in colloquio generali... extitit promulgatum sive statutum.

²⁾ In eujus rei testimonium huic literae sigillum nostrum minus est appensum. Wspomnienie tu małej pieczęci naprowadza także na myśl, że w decyzji kolokwium nie było nic ogólnie prawodawczego, ale że rzecz cała dotyczyła partykularnego wypadku.

³⁾ Volentes et praesentibus decernentes, ut nullus iudicum pro oblatione seu praesentatione privilegiorum praedicti monasterii ultra unum fertorem exigere praesumat. *Kodeks dyplomatyczny Małej Polski*. Kraków 1876, str. 298.

wioną została pod nazwaniem *pamiętnego* i w części prz-wyższa poprzednią; przeto chcąc ustanowić pewną miarę, stanowimy, że sędzia w sprawach o dziedzinę i innych wielkich, pod pozorem téj opłaty nie może więcej pobierać jak cztery grosze, a w sprawach mniejszych tylko dwa grosze.

Wreszcie trzeci argument ma wyptywać z art. 7 Statutu I (czyli art. 72 wulgaty Bandtkego) w zbliżeniu go do artykułu poprzedzającego.

Artykuł ten wygłasza: Ustawiamy, że gdy kto wbrew swemu przywilejowi będzie pozwany, przedstawiając w sądzie swój przywilej, złożyć będzie obowiązany kopę groszy ((amittit sexagenam), a powód nie będzie chciał, z rozkazu sędziego przysiędz, że niewiedział iż pozwany jest przywilejowanym (privilegiatus), i że ma przywilej, tenże powód obowiązany będzie do zwrotu owéj kopy groszy. Inaczej mieć chcemy, jeśli przysięże, że nie wiedział, iż pozwany jest przywilejowanym.

Zdaje się, że rozpatrując się w tych trzech cytacyach, bez żadnego wprzody powziętego uprzedzenia i kombinując je z sobą, taki najprostszy przedstawia się wniosek, że przyznane i obwołane w Wiślicy na wiecu sądowym klasztorowi mogiłskiemu zwolnienie od obowiązku składania w sądach opłaty za przedstawienie udzielonych mu przywilejów, stoi w niezaprzeczonem związku nie z art. 18 Statutu III, który mówi o pamiętném, ale z art. 7 Statutu I, który właśnie poddaje opłacie kopy groszy przedstawiających w sądzie swe przywileje.

Okoliczność ta podważa całe, powyżéj przytoczone, rozumowanie Helcla, a to tém więcej, że i inne twierdzenie jego, jakoby rozporządzenie art. 7 Statutu I, oparte na dawniejszym zwyczaju, uchylone zostało przez postanowienia o pamiętném, zawartém w art. 18 Statutu III-go, nie może wytrzymać najmniejszój krytyki.

Same księgi ziemskie krakowskie przedstawiają dostateczną liczbę dowodów, na przekonanie nas, że opłata kopy groszy, za złożone w sądach przywileje, w sposób jak była urządzoną, w art. 7 Statutu I, długo jeszcze utrzymywała się w praktyce.

Przytaczamy wypisy z ksiąg ziemskich, usprawiedliwiające twierdzenie nasze.

Księga ziemska krakowska z r. 1384 zapisała: Potrasz dziedzic z Satnik przywilej okazał i złożył, że kmiecie jego z Wojnanowic nie mają odpowiadać w sądzie królewskim... i całe prawo opłacił (et jus totum solvit), to jest, dał co się z prawa należało za przedstawienie przywileju ¹⁾.

Kmiecie z Wojnanowic byli w tém samém położeniu co kmiecie klasztoru mogiłskiego. Wojnanowice miały taki sam przywilej, wyłączający ich mieszkańców z pod zwyczajnych sądów, jak dobra należące do Mogiły, różnica zachodziła ta tylko, że dziedzic Wojnanowic w ra-

¹⁾ Zapis ten pomieszczony na str. 282 w słowach: Potrassius, heres de Satnik, privilegium ostendit et posuit quod Kmethones ipsius de Wojnanowicz non habent in iudicio regali respondere... et jus totum solvit.

zie zapozwania swoich kmieci przed sąd królewski, za przedstawienie swego przywileju był obowiązany złożyć opłatę postanowioną w art. 7 Statutu I, od złożenia której zwolniony był klasztor mogiński.

W cztery lata później, dnia 10 września zanotowano na rokach Proszowskich: że Jasiak powinien zapłacić od przywileju kopę groszy (sexagenam); rozumie się, przez siebie w sądzie pokładanego ¹⁾.

Jeszcze ciekawszym jest wpis z r. 1399 wniesiony do ksiąg na rokach krakowskich pod dniem 8 stycznia, téj osnowy: Mikołaj Kampski jedną kopę groszy za przywilój obowiązwał się zapłacić na rokach najbliższych opatowi mogińskiemu albo Jaškowi z Polaninowic jego prokuratorowi, pod karą piętnadziesty ²⁾ na rzecz Jaška i sądu ³⁾.

Nazwałem wpis ten ciekawym, bo ściąga się właśnie do klasztoru mogińskiego, o którym poprzednio tyle razy wspomnieliśmy. Wypadek był oczywiście następujący: Mikołaj Kampski zapozwał kmieci klasztoru mogińskiego wbrew służącego im przywileju przed sądy zwyczajne. Klasztor w obronie kmieci przedstawił swoje przywileje, a Mikołaja pociągnął sąd do przysięgi czy nie wiedział, że klasztor posiadał wyłączenie od sądów zwyczajnych, a gdy nie chciał przysięgi takowej złożyć, skazano go w myśl rozporządzeń art. 7 Statutu I, na zapłacenie klasztorowi kopy groszy, których, gdy zaraz nie mógł złożyć, polecono aby to spełnił na najbliższym roku sądowym, pod karą porządkową piętnadziesty.

Na rokach znowu królewskich w Krakowie pod dniem 19 lutego tego samego 1399 roku, zapisano: Dorota wdowa po Siecieju z Raciechowic, pokładając przywilój Kazimierza króla przeciw Wroczonowi z Wojsławic i Stankowi z Charwina, wyłączała kmiecia swego z Charwina z pod jurysdykcji sądu. Ta Dorota obowiązana za rzeczony przywilój zapłacić sądowi kopę groszy, pod karą piętnadziesty na rzecz sądu ⁴⁾.

Takich zapisek stwierdzających, że rozporządzenia art. 7 Statutu I ciągle zachowywały się w zastosowaniu praktycznym, moglibyśmy przytoczyć więcej; nie będziemy ich jednak wypisywać, a uważamy tylko za potrzebne wspomnieć jeszcze o jednym wpisie.

Pod dniem 23 sierpnia 1401 roku wniesiono do księgi taki wpis: Stanisław Pieprzyk ze Sranic odparł wykonaną przysięgę Olanda z Boczowa i Mateusza Karczmarza z Gdowa o zapłatę kopy groszy za przywilój ⁵⁾.

Widocznie, co zresztą i Helcel zaznacza do tego wpisu, że Oland i Mateusz pokładali w sądzie przywilój, wyłączający ich z pod jurysdykcji sądu, do którego byli pozwani, że musieli złożyć za przedsta-

1) *Starodawne Pomniki I*, str. 238 nr. 136.

2) Kara piętnadziesta równała się trzem grzywnom.

3) *Starodawne Pomniki II*, str. 80 nr. 370.

4) *Tamże*, str. 85 nr. 433.

5) *Tamże*, str. 116 nr. 874.

wienie przywileju kopę groszy i że chodziło o to, czy Stanisław powinien im na zasadzie art. 7 Statutu I tę kopę zwrócić, czego zapewne Oland i Mateusz domagali się; lecz gdy wykonał przysięgę, iż nie wie-dział o istnieniu takowego przywileju, sąd przyznał, że ma być wolny od zwrotu kopy.

Wykład ten, jak mniemamy, w zupełności usprawiedliwia wy-rzeczone przez nas poprzednio zdanie, że i drugi wywód Helcla dla ustalenia daty Statutu III, w niczém nie da się utrzymać. Jakoż ani na wiecu z r. 1356 nie wydano żadnych praw, ani koncesya na nim udzielona klasztorowi mogiłskiemu stała w związku z art. 18 Statutu III-go, stanowiącym o pamiętuném, ani też ten artykuł 18 pociągał za sobą *złagodzenia i umiarkowania opłaty*, oznaczonej w artykule 7 Sta-tutu I. Przeciwnie, z kombinacji téj wyływa raczej, że Kazimierz udzielając w r. 1356 Mogile zwolnienie od opłaty kopy przywilejowej zastrzeżonej artykułem 7 Statutu I, uznał tém samém pośrednio pełną moc obowiązującą jego przepisów.

Przechodzimy w końcu do rozbioru hipotezy Helcla co do daty Statutu IV, uznanego przez niego za Statut powszechny. Helcel nazna-cza mu za datę r. 1368, a dr. Piekosiński, opierając się na wydanym świeżo przez siebie dokumencie, datę tę jeszcze bliżej określa i kładzie ją na dzień 25 czerwca tegoż roku ¹⁾. Domniemanie swoje, że Statut ten powszechny wydany został r. 1368, Helcel opiera na tém, że Przy-łuski w zbiorze systematycznym ustaw krajowych, przez siebie spo-rządzonym, Statut wiślicki Kazimierza w całym ciągu dzieła cytuje pod r. 1368, a dla wzmocnienia tego swego twierdzenia przytacza jeszcze: „jeżeli zważymy, że data oznaczona przez Przyłuskiego, pisarza sądu ziemskiego, urzędującego w Krakowie, *w nie całej dwa wieki* po zgonie Kazimierza W., nie mogła być przez niego podaną bez jakiejś poważnej zasady, tedy łatwo przypuścić, iż pisarz ten w archiwum sądu krakow-skiego mógł jeszcze zastać dawne jakie statutów rękopismo, podające wzmiankę o statucie z r. 1368, której w pozostałych nam dzisiaj kode-ksach nie napotykamy ²⁾.“

Wywód ten nastęrcza następujące uwagi. Gdyby Przyłuski był znalazł w archiwum sądu krakowskiego jakie Statutów Kazimierza rękopismo z r. 1368, to musiałby to być tylko Statut IV, tak jak go Helcel restytuuje, więc byłyby bezwątpienia tylko przy tych artykułach, które w skład jego weszły, datę r. 1368 wystawiał, a przy innych artykułach nie byłyby kładł żadnego roku, albo także znowu właściwy, zaczerpnię-ty z innych oryginalnych rękopisów lub z ksiąg ziemskich.

Aliści przy bliższém rozpatrzeniu się w dziele Przyłuskiego, do-strzegamy, że wszystkie w nim wypisy ze Statutów Kazimierza, tak jak téż rzeczywiście powinien był uczynić ze względu na przeznaczenie

¹⁾ *Kodeks dyplomatyczny Małej Polski*. Kraków, 1876, stronnica 356 i 357.

²⁾ *Starodawne Pomniki* I str. CCVII, CCVIII.

praktyczne swojej roboty, wzięte zostały z wydania tychże Statutów, ogłoszonego przez kanclerza Łaskiego. I tak np. bardzo ważny artykuł o chroniących się za granicę złoczyńcach (art. 137 wulgaty Bandtkego) wypisany tak, jak wydrukowany u Łaskiego na str. XXXV i XXXVI, to jest w przerobieniu późniejszym, a nie tak jak stoi oryginalnie w Statucie wielkopolskim, z którego został wzięty. Podobnie artykuł o jednostajnej monecie w całym kraju, który podług zdania Helcla ma należyć do Statutu IV, podaje Przyłuski ¹⁾ w redakcyi Łaskiego na str. XXXII zamieszczonej, nie zaś w redakcyi pierwsiastkowej ²⁾.

Jeśli zatem Przyłuski w wypisywaniu tekstów swoich szedł wyłączenie za Łaskim, a nie za rękopismami, już tém samém cały domysł Helcla znacznie traci na znaczeniu. Zkądby zaś mógł być zaimprovizować datę r. 1368, której ani Łaski nie podaje, ani żaden ze znanych nam pomników nie wskazuje, trudno odgadnąć. W takim atoli położeniu, nie wielką też można do daty téj przywiązywać wagę, zwłaszcza że choćby za nią coś przemawiało, jeszcze pozostałaby wątpliwość, czy ona istotnie ściąga się do Statutu IV tak jak go wyróżnił Helcel, czy też może odnosi się do innej jakowej części legislacyi Kazimierzowskiej.

Nie więcj znaczy ta okoliczność, że prócz Przyłuskiego, dwaj bezimienni układacze ustaw krajowych z połowy wieku XVI i Herbut także naznaczają Statutowi Wiślickiemu r. 1368, gdyż pisali po Przyłuskim i pewno za nim w tym względzie poszli, nie zwracając uwagi na rzecz w ich widokach dosyć obojętną. Dopiero Januszowski cytując z początku Statut Kazimierza pod r. 1368, doszedłszy do księgi V-tój dzieła swego, spostrzegł się, że niewłaściwie wystawił r. 1368, i że kłascć był powinien rok 1347. Powodem do sprostowania swój omyłki, stało się jak powiada, że *nie mógł znaleźć sejmu żadnego w Wiślicy r. 1368 za Kazimierza, tylko z r. 1347*. Wyznanie to czyli oświadczenie jest pod tym względem nader ważne, że dowodzi, iż odniesienie Statutu Kazimierza do r. 1368 nie polegało nawet na żadnej wyrobionej tradycyi między naszymi biegłszymi prawnikami, a było bez wątpienia zupełnie przypadkowym pomysłem Przyłuskiego ³⁾.

Wprawdzie dr Piekosiński, jak wspomnieliśmy, ukazuje na kolokwium generalne odbyte w Wiślicy w miesiącu czerwcu r. 1368 i poczytuje takowe właśnie za wiec prawodawczy, na którym Statut IV miał zostać ułożony i ogłoszony; pozwalam jednak sobie zauważać, że wiecie to uważam za zwyczajne wiece sądowe. Nie znajduję w przytoczonym dokumencie nic takiego, coby upoważniało do twierdzenia, że

1) Stronnica 435.

2) To samo zrobił i Helcel, choć jemu właśnie wypadało przywrócić oryginalną redakcyą.

3) Zaznaczamy, że w Voluminach legum raz zacytowane są Statuta Kazimierza z rokiem 1368, drugi raz z rokiem 1346. Pierwsza cytacya (VI, 439) oparta na Herburcie, druga (VII, 727) na mylnéj dacie w pierwszym woluminie wydania pijarskiego.

na tym wiecu obrobiony był cały Statut, mający obowiązywać w wszystkie części kraju. Dokument, o którym mowa, jest prostym aktem sprzedaży, jakie na wiecach sądowych zwykły się były dopełniać, wydanym przez sędziego i podsędkę sandomierskiego, w obecności kasztelanów: Wilczka sandomierskiego Stanisława Małogoskiego, Klemensa Radomskiego, Pakosława trybuna wiślickiego, Mateusza z Chrzobrza i Marcyana z Młodzowa. Widać z tego, że na wiecu tym nie był obecny ani król, ani żaden dygnitarz wielkopolski. Są to może drobne wskazówki, ale w rzeczywistości wielce znaczące.

Takich kolokwiów generalnych, odprawionych w Wiślicy za panowania Kazimierza, możemy naliczyć nierównie więcej. Wydane dotąd dokumenta wspominają ich już osiem, a mianowicie z lat 1356 ¹⁾, 1359 ²⁾, 1362 ³⁾, 1365 ⁴⁾, 1366 ⁵⁾ 1367 ⁶⁾, 1368 ⁷⁾, 1370 ⁸⁾. Jest więc do wyboru prócz wieca r. 1368, jeszcze siedem innych. Wszystkie to są zwyczajne wieca sądowe, odprawiane zwykle w stałych terminach. Takim jest też właśnie i kolokwium powołane przez d-ra Piekosińskiego; było ono odprawione nazajutrz po św. Janie Chrzycielu, tak samo jak kolokwia z r. 1365 i 1367 i jeszcze wcześniejsze z r. 1331 sięgające czasów Łokietka.

Że i później w tym samym terminie odprawiano w Wiślicy wieca sądowe, świadczy księga ziemska wiślicka, w której wieca podobne znajdujemy zapisane pod r. 1395, 1397, 1401 ⁹⁾. Dwa inne terminy, na których zwykle w Wiślicy odprawiały się wieca sądowe, były niedziela *Laetare* i dzień drugi po św. Marcinie.

Dotarliśmy tym sposobem do końca naszego rozbioru domysłów Helcla co do dat powstania czterech przez niego wyróżnionych Statutów.

Wypadek pracy naszej właściwie jest tylko przeczący, to jest, nie zgadzamy się na daty przez Helcla wskazane i popieramy to zdanie dość silnymi dowodami.

¹⁾ *Dyplomatarjusz mogiński* nr. LXXII.

²⁾ *Akta ziemskie i grodzkie*. Lwów T. V nr. 4.

³⁾ *Kodeks dyplomatyczny*. Warszawa t. III nr. CXXXIII.

⁴⁾ *Kodeks dyplomatyczny katedry Krakowskiej*. Kraków 1874 r. nr. CCXXXVIII.

⁵⁾ *Kodeks dyplomatyczny Małej Polski*. Kraków 1876 rok. nr. CCLXXXIX.

⁶⁾ *Kodeks dyplomatyczny klasztoru Tynieckiego*. Lwów 1875 str. 151. Akt tu powołany wydany przez Kazimierza nazajutrz św. Jana Chrzyciela. Wydawca utrzymuje, że to akt podrobiony z powodu jakoby wspomniany w nim kasztelan wiślicki Dobiesław, przestał być kasztelanem wiślickim w r. 1361; tymczasem znajdujemy go podznaczonym na akcie z r. 1366 (ob. kod. dypl. małopolski nr. CCLXXXVII).

⁷⁾ *Kodeks dyplomatyczny Małej Polski* nr. CCXCVII.

⁸⁾ *Starodawne pomniki* II nr. 1168.

⁹⁾ *Księga Ziemska Wiślicka* I str. 16, 61, 120.

Wszakże pomimo tego, możnaby zawsze jeszcze twierdzić, że to w niczem nie osłabia głównego pomysłu Helcla rozłożenia prawodawstwa Kazimierza na cztery Statuta, bo choć nie był dość szczęśliwy w wynalezieniu właściwych dat do swoich Statutów, przytoczył jednak tak wiele i tak rozmaitych innych dowodów na poparcie głównej myśli swojej, że takowa przez powyższy rozbiór nie ponosi żadnego uszczerbku.

Obecnie nie możemy na to nic odpowiedzieć, jak tylko, że z cząsem zajmamy się rozpatrzeniem i dalszych wywodów Helcla.

W każdym razie niniejsza praca przyłożyła się do wyjaśnienia kilku zagadnień z dziedziny naszego starego prawa i przewodu sądowego.

Stobiecko Szlacheckie, d. 22 października 1876 r.

Prawo Bezprawia.

P O W I E Ś Ć.

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

I.

— Płacę, ale po raz ostatni!— rzekł pan Marek do żony, chowając w zanadrze sporo obszarpany pugilares— a teraz z nami kwita i basta!

Gdy pan Marek te pamiętne słowa wymawiał, miał na sobie szarą kapotkę, buty juchtowe i wąs siwy równo podstrzyżony. Stał przy oknie i łokciem ręki opierał się o gotowalnię, przy której siedziała kobieta już nie młoda, z wyszukaną jednak fantazyą ubrana.

Gdy pani Anastazyja te słowa usłyszała, upuściła z ręki grzebień szylkretowy na znak wielkiego swego zadziwienia.

I zadziwienie jej było bardzo słuszne. Dwadzieścia sześć lat i trzy miesiące upłynęło, gdy z panem Markiem ślubny dozgonne zawar-

ła. Zaraz w pierwszych latach wzięła rządy domu w swoje ręce, a w męża wmówiła, że jest wielkim niezdara. Po krótkiej lecz nieszczęśliwej walce uwierzył sam Marek w wyrok żony i zastosował się do swego nowego położenia. Oddał żonie wszystko, gdzie potrzeba było rozumu, sprytu, znajomości świata, ludzi i zwyczajów wykwinniejszych, a dla siebie zostawił rzepak, pszenicę, jęczmień, owies i wykę, nie licząc w to trzody i parobków.

Przy takim podziale pracy upłynęło 26 lat spokojnie i przykładownie. Sąsiadki, osobiwie w chwilach namiętniejszych stawiały mężom swoim za przykład pana Marka jako wzorowego małżonka.

I w tém znaczeniu był pan Marek rzeczywiście wzorowym małżonkiem. Nietylko że pani Anastazyja figurowała w całym sąsiedztwie jako jedyna, odpowiedzialna firma domu, ale były nawet wypadki, że obco-powiatowi goście mylili się, biorąc szacownego ze wszech względów pana Marka za bezliberyjnego lokaja pani Anastazyi.

Skutkiem takiego stanu rzeczy było, że pani Anastazyja wzięła także wyłącznie w swoje ręce wychowanie córek, których liczba doszła stopniowo do pięciu. Wychowywała je zrazu za pomocą bon i guvernantek, a potem uznała za stosowne urządzić w domu co tydzień małe sąsiedzkie zebrania, na których stosownie do pory roku, tańczono, grano w karty lub poziewano.

Gdy panu Markowi czasem wydatki na dom wydały się za wielkie, odpowiadała pani Anastazyja, że kto ma córki na wydaniu, ten musi tak żyć, bo inaczej nie można zięcia ułować.

Nie mogło się to w głowie pana Marka pomieścić, aby tylko takim sposobem dla córek można mężów dostać. Zdawało mu się, że prędzej mógłby się ten i ów o córkę zapytać, gdyby wydawane na ustawiczne zabawy pieniądze, na skromny procencik u sąsiada ulokować. Ponieważ jednak pani Anastazyja wręcz mu prawa odmawiała mięszania się do podobnych rzeczy, stulił biédak uszy i milczał.

W następstwie rozumnych swoich planów postanowiła pani Anastazyja okazać dorodne córy swoje na szerszym świecie. Ciasny horyzont powiatu nie odpowiadał macierzyńskim fantazyom. Żaden lepszy kawaler nie zbliżał się do siedzących szeregiem pięciu panien na wydaniu, jakby ta tak uprzywilejowana liczba była liczbą fatalną. Nie mogły ani baliki karnawałowe, ani zręcznie układane kuligi, ani żadnej dywersyi nie zrobić okazały powóz z niemalém zmartwieniem pana Marka ze stolicy sprowadzony. Słowem pani Anastazyja uznała bystrym swoim rozumem, że trzeba koniecznie zmiany sytuacji, bo tak jak jest dalej być nie może. Wprawdzie w każdą niedzielę, jak zwykle napełniał się dwór bliższymi i dalszymi sąsiadami, ale sąsiedzi ci robili to z pewnej nawyczki, która stała się chroniczną. Rozmawiano trochę o plotkach, kilku kawalerów z grzeczności przysiadowało się przy pannach koleją a po zjedzeniu kolacyi i wypiciu kilku kieliszków wina, rozjeżdżali się wszyscy do domu, aby za tydzień to samo powtórzyć.

Taki stan rzeczy nie poruszał ani o włos dalej macierzyńskich nadziei pani Anastazy. Postanowiła więc jednym zwrotem zmienić całą sytuację. Wybrała się z córkami do stolicy na cały karnawał.

Pan Marek skrobał się mocno w głowę, gdy się o tém dowiedział, ale rozsądna żona dowiodła mu, że inaczej być nie może. Przytoczyła mu np. kilka znajomych domów, w których tylko tym sposobem córki świetnie za mąż powychodziły. Utrzymywała nie bez racji, że każda panna z głębokiem, w dali gubiącym się tłem, wygląda zupełnie inaczej jak w domu, gdzie to tło jest tak nieznośnie blizkie, że każdy je rękami namacać może! Opowiedziała mu nawet kilka scen z przeczytanych powieści, w których zazwyczaj bohater zaczyna się kochać w panie, którą gdzieś mimochodem spotkał, po raz pierwszy w życiu ją obaczył i odrazu, jak się wyraziła, zgłupiał!—A tutaj, mówiła dalej pani Anastazy, trudno o takie zgłupienie, bo panny nasze znają wszyscy jak złe szelągi, a tych kilku kawalerów chowało się z niemi od dziecka; ztąd trudno o tak gwałtowne wrażenia o jakich w powieściach czytamy, przy nagłym osobiwie poznaniu się dwojga nieznanych sobie ludzi!

Niepotrzeba nawet było takich dowodów panu Markowi, bo wola jójności wystarczała mu. Skulił się więc nieborak, wy dobył z kuferka zabrukany pugilares i ze łzami prawie wyjął z niego kilkanaście grubych papierków i kochanej małżonce na wyprawę do stolicy z westchnieniem wręczył.

Trzy miesiące od owiej pamiętnej chwili marzył pan Marek śród kwiku trzody i łoskotu młocarni o drogich nieobecnych i codziennie wyczekiwał zażądania ojcowskiego błogosławieństwa.

Zażądania były różne i dosyć częste, ale te ograniczały się tylko do pieniędzy i niektórych wiktuałów, a żadne z nich nie mówiło nic o błogosławieństwie ojcowskiem!

I tak bez tego błogosławieństwa obeszyły się wszystkie córki wraz z panią Anastazją i za cztery miesiące powróciły zdrowe i w pełnej liczbie do ogniska ojczystego.

Pani Anastazy wytłumaczyła panu Markowi, że nie odrazu Kraków zbudowano i że jedną wycieczką do stolicy nie można nic wielkiego dokazać. Czas ten za ledwie wystarczył na rozpatrzenie się i poznanie różnych dróg, jakimi w takim czasie chodzić się zwykło. Wynikała ztąd potrzeba powtórzenia na drugi rok takiej samej karnawałowej wycieczki.

Pan Marek jeszcze bardziej się zafrasował niżeli pierwszym razem, bo już wiedział o cyfrze wydatków. Nic jednak nie pomogło. Pani rządziła całym domem, a pan Marek był dostarczycielem lichego kruszcu.

Powtórzyła się więc wyprawa druga do stolicy a nawet tym razem znacznie kosztowniejsza, bo nowe stosunki tego wymagały.

I znowu czekał pan Marek ową błogą chwilą, w której będzie mógł przysłuszeć zięciowi udzielić błogosławieństwa ojcowskiego i znowu czekał napróżno.

Pani Anastazy z wszystkimi córkami przyjechała zdrowa i cała i zaraz na wstępie zażądała od niego pieniędzy, aby jakiś dług jaknajprędzej zapłacić.

Pan Marek wyjął obdarty pugilares i znowu żądane pieniądze pokłóżył przed małżonką, ale podmówiony przez samego pachciarza Icka, zebrał się na energią i w samą wigilią Bożego Ciała wyrzekł te pamiętne w chwilach domowych słowa:

— Płacę po raz ostatni, ale odtąd kwita z nami i basta!
I nie czekając odpowiedzi, zaraz po tych słowach wyszedł.

II.

Pani Anastazy długi czas nie mogła z zadziwienia przyjść do siebie. Zachowanie się męża było tak niespodziewane, tak dziwnie brzmiał głos jego, a spojrzenie miał wyjątkowym sposobem tak energiczne, że uznała za stosowne na razie nic nie robić, tylko cierpliwie ten chorobliwy paroksyzm małżonka przeczekać.

Zresztą potrzeba było nad temi zagadkowemi słowami nieco się zastanowić. Cóż bowiem mogły oznaczać te lapidarne wyrażenia: Odtąd kwita z nami i basta?...

Widocznie kryła się w tém jakaś myśl niedopowiedziana. Cóżby to mogła być za myśl? Czy podczas jej nieobecności zakradł się do cichego ogniska jakiś zły duch i pana Marka na złe drogi naprowadził? Czy pan Marek sam własną pracą swojej głowy wymyślił jakiś nowy program, który odtąd chciał w życiu dworskiem zaprowadzić?... A może dowiedział się o niezręcznych, a nawet śmiesznych w rezultacie zabiegach w okolicy, aby pana Mieczysława do jednej z pięciu córek jakoś przyhołubić?...

Rozmyślania podobne kazały pani Anastazy obracać sobie politykę wyczekującą, któraby nieprzyjaciela pilnie śledziła, a kwestyi wojny lub pokoju tak bardzo na ostro nie stawiała.

I śledcze oko pani Anastazy dostrzegło zaraz w pierwszych dniach dziwnych rzeczy. Pan Marek był przez cały czas w jakimś niezwykłym humorze. Przesuwał często ręką od czoła do brody, jakby dawną skórę chciał z twarzy zderzyć, przyczém jeżył mu się włosy strasznie do góry. Oczy jego biegały teraz energicznie, a czasami zabłyśły takim ogniem, jaki zazwyczaj jest oznaką myśli niepowszednich. Nawet ruchy pana Marka zmieniły się i zdradzały człowieka pewnego siebie i zdecydowanego na wszystko.

Takie obserwacje nakazywały jeszcze usilniej rozsądne wyczekiwanie.

Za tydzień poczył się pan Marek z wielkiem upodobaniem uśmiechać do siebie, jak autor, któremu udało się wymyślić znakomite dzie-

to. Równocześnie zaczęły mu się resztki siwych włosów filuternie zakręcać do góry, jakby na starość chciał jeszcze próbować dowcipu...

Wszystko to widziała pani Anastazyja i niepokoiła się wielce tak niekorzystną zmianą swego małżonka; groziło to bowiem dawnemu tak błogiemu porządkowi rzeczy. Despotycznym, a w skutkach tak świetnym rządom pani Anastazyi groziła teraz nagła przemiana, której doniosłość jeszcze teraz nie dała się obliczyć!...

Rzetelny przestroch ogarnął nieszczęśliwą monarchinię, gdy pan Marek pewnego wieczora, bezpośrednio po zrazach z kaszą zwrócił się do najstarszej córki, która miała imię Łucya i w te do niej ozwał się słowa:

— Jeżeli się nie mylę... dwadzieścia pięć wiosen już wacpannie minęło... trzebaby jakoś... ot zapomniałem ci Anastazyo powiedzieć... że za parę dni wybieram się z domu na kilka tygodni. Wezmę z sobą Łucyą.

— Jakto, przed żniwami?—zagadnęła zdziwiona pani Anastazyja umieszczając w swoich trzech słowach najcieńszego wagomiaru argument, jakim były dla pana Marka żniwa.

Jak ostrzelony weteran machnął pan Marek ręką, odwracając ten pocisk od siebie.

— O żniwach myślałem—odrzekł—i wszystko jest już załatwione. Pachciarz Icek ma już cały program roboty podczas żniw, a resztę wzięli na siebie Tymko i Wawrzeniec.

— Gdzież chcesz jechać?

— Ot... tak... trochę się przewietrzyć!

Pani Anastazyja spojrzała z zadziwieniem na męża, którego nigdy o takie rzeczy posądzić nie mogła.

— Może w odwiedziny do pana Kalasantego?—zaczęła ostrożnie badać.

— Trochę dalej!—krótco odpowiedział pan Marek.

— Przecież nie do państwa Władysławow?

— Dalej, jeszcze dalej!

— Do Częstochowy?

— Pojadę za granicę!

— Za granicę?

— Tak... do wód!

— Co mówisz!

— Mam kolkę w boku... Pachciarz Icek powiada, że jakaś dawna, zaniedbana choroba wyłazi mi bokiem!

Pani Anastazyja skamieniała z zadziwienia. Cóżby to znaczyło? Zkąd się nagle wzięła taka energia w mężu tak potulnym? Miałżeby pachciarz Icek, którego oddawna miała za intryganta, tak stanowczo wpłynąć na niego i podmówić go do otwartego rokосу?...

Były to pytania, na które w tej chwili nie mogła odpowiedzieć pani Anastazyja. Przewidując niebezpieczeństwo, schowała starannie

wszelką broń zaczepną i z łagodnym uśmiechem zbliżyła się do pana Marka.

Pan Marek usunął się od pieszczoł żony, podejrzewając w niej konia trojańskiego.

— Dawno już o tém myślałam—rzekła z przymileniem—że wody byłyby dla ciebie bardzo potrzebne; sądziłam jednak, że inaczej tę rzecz urządzisz!

— Jak inaczej?—szorstko zapytał pan Marek.

— Ze wszyscy razem pojedziemy!

— Wszyscy razem?... byłby to piękny tabor! Pięć jednakowo ubranych córek, może odstraszyć i najodważniejszego konkurenta!

Pani Anastazyja spojrzała na męża, jakby myśl jego ukrytą chciała odgadnąć. Czyż nie uważał on tego za złą taktykę, że do stolicy na karnawał zabrała wszystkie pięć cór i tamże jeszcze ubierała je w suknie jednego koloru?... Być może, że to nie było dobrze... ale dlaczegoż o tém otwarciu z nią nie mówi? Moznaby przecież taktykę zmienić, a jadąc do wód zagranicznych wziąć tylko dwie tymczasem...

Zdaje się, że pan Marek zląkł się niebezpieczeństwa, które cały plan jego pokrzyżować mogło. Wyrzucił sobie, że się zdradził jakimś nieogłędnym słówkiem i postanowił rzecz naprawić. Najeżył więc wąsy jak mógł najsrożej, odsunął się od żony na dwa łokcie polskie i odparł:

— Pozwolisz mi, serce, że choć raz w życiu zrobię to co chcę. Ułożyłem sobie że na kilka tygodni trochę w świat wyjadę i Łucyą z sobą zabiorę i dotrzymam słowa, jak cię kocham! Natryndałaś się jójmość dosyć po świecie, a ja tymczasem karmiłem trzodę i młóciłem zboże; kolój teraz na mnie: spróbuję co umiem. Łucya ma już lat dwadzieścia pięć... a najtrudniejszy jest początek. Jak raz się zacznie, to nadzieja w Bogu, że dalej pójdzie!

Pewną już teraz było rzeczą dla pani Anastazyi, że mąż na seryo myśli o zięciach. Również i to ją upewniło, że dotychczasową jój taktykę uważa za chybioną i że natomiast inaczej postąpić zamysła.

Jakkolwiek nie miło jój było, że mąż tę sprawę bierze w swe ręce i że sam z córką za granicę wyjeżdża; po bliższym jednak namyśle uznana za rzecz stosowną w tych pomysłach bynajmniej mu się nie sprzeciwiała.

A powody do tak wyjątkowej uległości miała różne. Najprzód była zbyt wytrawną dyplomatką, aby nie wiedzieć, że najznacniejszy minister wypuszcza czasem z rąk władzę i oddaje ją zacieklej opozycji na to tylko, aby ją skompromitować i nadal nieszkodliwą uczynić.

Po swoich doświadczeniach była pani Anastazyja prawie pewną, że tak ograniczonemu człowiekowi, za jakiego miała swego małżonka, bynajmniej się nie uda wydać za mąż córkę w tak krótkim czasie. Wtedy byłaby wygrana po jój stronie, a pan Marek musiałby na resztę życia jak robak umilknąć, pokutując wzorowo za rokosz podniesiony.

Śłodko więc uśmiechnęła się do męża pani Anastazy, przygłaskała mu siwe filutki i rzekła:

— Dobrze, mój Marciu kochany, jedź z Panem Bogiem i Łucyą, a wracaj z Bogiem choćby bez Łucyi. Cieszy mnie to, że poczuwasz się do wspólnych obowiązków życia. Dosyć namęczyłam się w stolicy wysiadaniem na kanapie całonocnych wieczorków; spróbuj ty trochę tych specyałów. Mić córki na wydaniu, to ciężka chwila dla matki, niechże i ojcowie coś z tego zakosztują.

Pan Marek nie był przygotowany na takie zakończenie sprawy, którą słusznie w duszy rokoszem nazywał. Ucieszyło go jednak, że bez walki ustąpiono mu część przywilejów, że korona dobrowolnie wyrekła się władzy despotycznej, za co zazwyczaj ludy krew swoją przelewają.

Uściskał serdecznie żonę i jak powiedział, za kilka dni wybrał się w podróż zagadkową nie tylko dla żony i dzieci, ale nawet jak się zdaje i dla samego siebie!

Trudno odgadnąć, co skłoniło pana Marka, człowieka trzeźwego i oszczędnego do kroku tak ekscentrycznego. Czy była to zbytnia miłość dla dzieci, którym z serca życzył, aby jaknajprędzej dopłynęły do portu zwykłego swego przeznaczenia? Czy była to obawa i niepokój, że to przeznaczenie może je ominąć i na wstyd i hańbę zostawić je w domu rodzicielskim w stanie bezzennym?...

Drugie pytanie nasuwało się, dlaczego pan Marek wziął z sobą tylko jedną z pięciu córek, aby ją nieznanemu światu okazać? Czyż miałyby zasłyszec coś o *Posażnej jedynaczce* i dowcipną myśl autora zastosować do swoich spraw domowych?...

Trudno jednak posądzać o to szanownego sąsiada. Pan Marek nie zajmował się nigdy w życiu żadną komedią, bo życie przedstawiało mu się jako dramat nader poważny. Trudno więc przypuszczać, aby w sprawach żywotnych zapożyczał od kogo konceptu. Czasami tylko przyjął coś od pachciarza Icka, gdy mu się to podobało, a zresztą we wszystkim był posłusznym samorodnym konceptom swojej małżonki.

Można tylko przypuścić, że pan Marek uważał za stosowniejsze wybrać się w świat z jedną tylko córką, nierobiąc tym sposobem nikomu nieprzyjemnych trudności wyboru. Jakie zaś dalsze były plany podróży pana Marka, o tem trudno wyrokować. Zdaje się, że sam pan Marek nie wiedział o nich i spuścił się tylko na Ducha Świętego, który w czasie potrzeby zawezwany z pokorą i wiarą, ma oświecać rozum każdego wiernego chrześcianina.

Z taką, jak się zdaje, wiarą wyjechał pan Marek z Łucyą i trzema dużemi kuframi z bramy ojczystej i szczęśliwie dotarł ko kolei żelaznej, która zbliżyć go miała do upragnionego celu.

Na kolei żelaznej zastał pociąg zapełniony różnymi ludźmi. Obejrzał starannie wszystkie wozy, policzył podróżnych, przypatrzył

się ich twarzom i torbom. Gdy tę pracę ukończył, kazał konduktorowi otworzyć drzwiczki do oddziału gdzie tylko same kobiety siedziały i gdzie tytoniu palić niewolno. W tym oddziale umieścił Łucyą poleciwszy ją opiece jakiejś sędziwej matrony; sam zaś dla swobody palenia lulki wszedł do wagonu, w którym ciemno było od dymu tytoniowego.

Z początku zdawało się panu Markowi, że żywcem dostał się do piekła. W głębi wagonu siedziało kilka niewyraźnych postaci z brodami i bez bród, a każde usta trzymały jakby rozpaloną głównię, z której buchał dym, podobny zupełnie do dymu, w jakim wędzą się potępiency, jak to widział na jednym z obrazów kościoła parafialnego.

Dosyć czasu upłynęło, zanim pan Marek mógł oczy swoje z tą dziwną atmosferą oswoić. Powoli wyskakiwały z pomiędzy kłębów dymu pojedyncze kontury różnych części ciała ludzkiego i wiązały się w zrozumiątą dla pana Marka całość.

Najprzód obaczył pan Marek przed sobą trzy pary uóg, ubranych w czarne kamasze, po za którymi poczynały się białe w różne kolorowe desenie pończochy. Tworzyły one ton i grunt obrazu. Po nich następowało cztery par kolan rozmaicie pokratkowanych, a za kolanami pojawiły się brody i wąsy, z których tryskały iskrami palące się cygara.

Teraz miał już pan Marek cały obraz przed sobą. Pierwszy z kolei towarzysz miał twarz dosyć inteligentną z kresą na czole. Był to widoczny ślad od krzywój szabli. Prawdopodobnie był to człowiek wojskowy, albo oberwał tę honorową oznakę w jakim pojedynku broniąc swego honoru... Mógł liczyć lat trzydzieści kilka. Twarz miał ocienioną ciemnym zarostem.

Drugi z kolei towarzysz miał bardzo rozumne czoło ale ubiór zato bardzo zaniedbany. Oglądając go od stóp do głowy dziwił się pan Marek, że rozumne to czoło zamało właścicielowi przynosi procentu, jeżeli lepszego niema na sobie ubrania. Był to człowiek już niemłody i palił jak się zulaże najgorsze cygara.

Sąsiad rozumnego czoła a starego surduta, miał z nich wszystkich najlepsze pozory. Był młody i wykwiłtnie ubrany. Charakterystycznym był bajroński kołnierzyk, który groził, że co chwila odpadnie od chudej szyi.

Pan Marek *antiquo more* pokłonił się swoim trzem towarzyszom, gdy wszystkie ich członki dostatecznie mu się uwydatniły. Nie otrzymał jednak wzajemnego ukłonu. Jegomość z kresą spojrział na niego z chmurką na czole, jakby niekontent był z takięj konfidencji; sąsiad jego zmarszczył rozumne czoło, a trzeci schował brodę w kołnierzyk bajroński, jakby nowego przybysza nie chciał widzieć.

Pierwsze zetknięcie się z światem, od którego pan Marek tyle sobie obiecywał, było niefortunne. Chcąc wyjść z tęg niemilęg sytuacji nie miał pod ręką innego sposobu, jak zamknąć oczy i udawać śpiącego.

Rola ta udała się wybornie. Chrapanie pana Marka było tak naturalne, że nawet „rozumne czoło” uwierzywszy w głęboki sen nowego przybysza, dało się wciągnąć do poufnej rozmowy.

Z rozmowy téj dowiedział się pan Marek wiele ciekawych rzeczy. Najprzód dowiedział się że towarzysz z kresą jest dosyć zamożnym obywatelem z Podola i do tego bezżennym. Sąsiad z rozumnym czołem był nauczycielem kilku obywateli wiejskich, których doprowadził pracą i nauką do wysokiego stanowiska i bogatego ożenku, zostawszy sam w biednym pedagogicznym surducie... Dzisiaj towarzyszył ukończonemu młodzieńcowi za granicę, który w bajrońskim kołnierzyku miał po raz pierwszy patrzeć się na piramidy i rulete.

Gdy już rozmowa informacyjna ostatecznie się wyczerpała, wyjął towarzysz kresawy książkę z torby i zaczął czytać.

— Co to za książka?—zapytał pedagog z rozumnym czołem, poprawiając swój surdut wytarty.

— Romans francuzki!—odpowiedział kresowy.

Czoło pedagoga stało się jeszcze rozumniejsze.

— Romans francuzki?—zawołał podnosząc brwi-- a poco pan czytasz te głupstwa?

— Przecież trzeba się czasem rozerwać!

— To czytaj pan Kraszewskiego, Korzeniowskiego...

— Polskich powieści nigdy nie czytuje!

Rozumne czoło pedagoga bardzo się zmarszczyło.

— Pan lekceważysz nasze skarby!—rzekł z indygnacją, zakrywając podartą podszewkę surduta.

Podolanin patrzył na niego z uśmiechem przez czas niejaki.

— Daj mi pan pokój z temi skarbami—odparł z grymasem— powieści polskie są tak nudne jak kazania wielkopostne!

Pedagog westchnął.

— Prawda—odparł—ale cóż robić! Jesteśmy zawsze w wielkim poście, bo karnawał przepędziliśmy nierozsądnie a Wielkanoc jeszcze daleko!

— Cóż to ma do powieści?

— Jaki czytelnik taka powieść. Popielcowy czytelnik potrzebuje morału, rozpamiętywania, a powieść dostarcza mu tego wszystkiego.

— Ależ ja pragnę zabawy!

— My z zabawą łączymy naukę.

— Ztąd pochodzi, że powieść nasza jest arcy nudną i tak jedna do drugiej podobną, iż trudno ją do końca przeczytać. Jest w niej zazwyczaj młody człowiek, dawniej poeta a dziś inżynier lub doktor, który kocha się w młodej pannie i z nią w końcu się żeni. Cóż to za oklepana sytuacja!

— Miłość jest zawsze świeżym przedmiotem.

— Niechże ta miłość wystąpi w pewnych drastycznych powikłaniach, jak na przykład u pisarzy francuzkich!

— Dostyc ciekawą jest już walka miłości, jeżeli zwalczyć musi złe, podstępne i niedostępne!

— Najciekawszą jest jednak, jeżeli walczy przeciw pewnym zwyczajom i ustawą uświęconym więzom społecznym...

— Pan masz na myśli... wiarołomstwo w małżeństwie!

— Tak... jeżeli pan tę walkę tak nazywasz... zawsze jestto najciekawsza faza uczucia!

Pedagog zmarszczył czoło. Rzekł po chwili:

— Pan chcesz, aby powieść nasza dostarczała tego narkotycznego pokarmu, jaki roznoszą romanse francuzkie. Powtarzam, jakie społeczeństwo taka powieść. Być może że w społeczeństwie francuzkiem (czemu jednak nie wierzę) niema już żadnego interesu piękna dziewiczka miłość, jeżeli pisarze tylko w wiarołomstwach tój boskiej iskry szukają! U nas, dzięki Bogu, nie ma jeszcze potrzeby tego specyału a więc i powieść nasza nie produkuje go!

— Jeżeli zaś kto w takim produkcie smakuje?

— To co innego! Wolność Tomku w twoim domku... byle z tego nie robić strawy!

Ruchome czoło pedagoga spuściło się jeszcze o kilka cali niżej. Nastąpiła dłuższa pauza.

Po chwili ozwał się amator walk sercowych:

— Przyznam się panu, że od lat wielu nic już po polsku w tym rodzaju czytać nie mogę. Być może, że to wpływ literatury zagranicznej, w której moralność publiczna luźniejsze ma koło.

— Nieinaczaj!—mruknął pedagog.

— Przygody miłości od jój urodzenia aż do ślubu są już tak mało ciekawe! Najwyższe naprężenie uczuć może tylko w naprężonych objawiać się sytuacjach. A gdzież stosowniejsze do tego pole, jeżeli nie tam, gdzie te uczucia spotykają się z żelaznymi pierścieniami...

— Ustawy społecznej i praw Bożych.

— Tak... chciałem powiedzieć małżeństwa. Jakaż to ciekawa walka rozpoczyna się wtedy w człowieku, jakie olbrzymie siły może wtedy człowiek do walki postawić, jak wspaniałym może być bohaterem, gdy naturalnym biegiem wypadków zażąda adwersarz życia jego na stwierdzenie tego, co serce czuje?...

Rozumne czoło pedagoga skurczyło się jak miech kowalski.

— To jest uczucie zbrodnicze!—wyrzekł i zakrył twarz Jowiszową, chmurą dymu.

— W rzeczach uczucia nie ma zbrodni!—podjął z ożywieniem sąsiad—jest tylko walka! Przyznam się panu, że z wielkim interesem słucham komedji francuzkiej, w której zazwyczaj odbywają się walki tak drastyczne; z gorączką prawie czytam romans francuzki, w którym serce młodej kobiety walczy przeciw tytanicznym pokusom wręczących uczuć z zimną żelazną obróżą obowiązków żony.

— I matki kilkorga dzieci!

— Może być i to... i matki kilkorga dzieci.

— Upadam do nóg! U pana jak widzę ideałem bohatera jest jeden z owych donżuanów buduarowych, którzy pociemku oszukują najlepszych swoich przyjaciół. Jest przyjacielem męża, całuje go i ścis-ka, a poza nim wyciąga rękę do żony i kusi ją do złego jak szatan. Nie przeczę, jest w tém pewien urok, ale dla ludzi złych, przewrotnych, przedewszystkiem już zużytych. Jest to sztuczne wzbudzenie apety-tu pieprzem i assafetydą! Upadam do nóg!

Pedagog podniósł nogę swoją jeszcze wyżej, pokiwał nią czas nie-jaki i prawit dalej:

— Wyobrażam sobie, jak te rzeczy buduarowe wyglądają. Mę-ża niema w domu, poszedł na sesyą lub partyjkę. W buduarze siedzi jejność i nudzi się. Nie jest ona pierwszej młodości, bielidło i róż należą u niej do codziennego użytku. Niedosyć na tém. Trzeba światło przyćmić, aby niebardzo artystyczne linie brwi i oczu w półcie-niu okazać. Prócz tego ołowiany proszek pudru trzeba ożywić. Na-krywa się lampę różową przesłoną, bierze się do ręki książkę w czerw-nej oprawie. Wchodzi przyjaciel... człowiek, który ją lepij rozumie od męża, od matki i od dzieci!.. Jakże nie kochać takiego człowieka?.. Upadam do nóg!

Pedagog podniósł drugą nogę.

— Mości Lucyanie—rzekł zwracając się do młodego towarzysza z bajrońskim kołnierzem—mam ci wiele rzeczy w świecie okazać, ale przedewszystkiem ostrzegam cię przed taką miłością buduarową, o któ-rój może nieraz w książkach francuzkich czytałeś, bo ona jest najprzód głupia a potem poniewiera człowieka jak ścierkę! Rozumiesz? Upa-dam do nóg!

Młody człowiek z bajrońskim kołnierzykiem ruszył głową w kie-runku pionowym, co miało znaczyć że się z pedagogiem zupełnie zgadza.

— Gdybym się kochał—rzekł po chwili—to zawsze w młodej pannie!

— Tak, dobrze powiadasz—odrzekł pedagog —w młodej pannie i z tą młodą panną potem do ołtarza, mój kochany Luciu!

Lucio poprawił kołnierzyk niesforny, aby wyglądał poważnie jak narzeczony. Dziwny jednak wyraz przebiegł mu po twarzy.

— Panie łaskawy—rzekł zwrócony do pedagoga—a czy to bę-dzie dobrze? Jeżeli ja z młodą panną się ożenię, a potem mój przy-jaciel...

— Co téż mówisz?

— Przecież lepij jest być... tym przyjacielem niżeli mężem, który ma przyjaciela!

Pedagog spuścił nogi a podniósł rozumne czoło.

— Widzisz pan?—zawołał do sąsiada z kresą—widzisz pan na jakie myśli naprowadza lektura takich romansów francuzkich? Do-brze że Lucio jest pod opieką doświadczonego człowieka, który mu nie da popaść w tak ohydny pułapkę; ale gdyby inaczej było?...

Amator nowożytnej powieści francuzkiej uśmiechnął się jak człowiek, którego świat nie pojmuje, zapalił cygaro i ozwał się:

— Nie trzeba nigdy rzeczy brać z najgorszej strony. Nie mówiąc o tych rozbójnikach buduarowych, ani o tych godnych ich bohaterkach, które męża do posług publicznych wysyłają, a same przy różowym świetle lampy kochanków potajemnie przyjmują!

— Upadam do nóg! A o czymże pan mówisz?

— Są pewne wyjątkowe sytuacje. Są kobiety, które padają ofiarą stosunków społecznych, czy to z całą bohaterską świadomością czy bez niej; te kobiety po pierwszym upojeniu, poświęcenia się lub nagłej zmiany przychodzą do praw swoich i widzą, że te prawa są im wzbronione!... Serce budzi się, pragnie miłości, a tu zamiast człowieka spotyka się zimny głaz ozłoconego cielca lub próchniejący kadłub pochylonego do grobu starca....

— Tereferę. Upadam do nóg! A cóż to, czy panna ślepa, czy idyotka? Czy ona nie wie za kogo idzie?

— Są wyjątkowe położenia...

— Tylko dla głupich cielątek! Upadam do nóg! A jeżeli która powiada, że jest ofiarą miłego grosza, to ta jest gorszą od cielęcia, bo jest przewrotną!

— Pan jesteście zwykłym moralistą, a nie psychologiem. Wierzą mi pan, że przy każdej nawet pospolitej zbrodni jest pewna walka szlachetnych w człowieku zasobów....

— Upadam do nóg! I cóż ztąd?

— Otóż ta walka, przy tak naprężonych strunach jest bardzo ciekawa! Ztąd też pochodzi, że obrazy takich walk, jakie nam daje literatura francuzka, tak magicznie na nas działają, i tyle mają miłośników! Nic jestem człowiekiem różowym światłem buduarów popsutym, ale przyznam się panu, że gdybym był tak nieszczęśliwy i w jakiejś meżatce się zakochał, to wyobrażam sobie, że szczęście moje miałoby dla mnie daleko więcej uroku, już z tej prostej przyczyny, że walczyć potrzeba! Czymże jest miłość bez walki? Gdybym był ubogim, to mógłbym się przynajmniej w bogatej pannie zakochać. A tak, przy niezgorszym majątku jestem mniejwięcej dla każdej prawie panny dobrą partją, jak to z uśmiechów i zapraszani mamy, babci i cioci widzę, nie mówiąc już nic o pannach, które na wioski podolskie bardzo czułe serce mają!...

— Upadam do nóg! Z taką niewiarą w ludzi wolałbym się zaraz utopić!... Zresztą znamy się na takich szpakach! Luciu! Pamiętaj, abyś nigdy dla ekstraktów nie porzucił żywych kwiatów! Rozumiesz?

— Rozumiem. Łaskawy panie—odparł Lucio i uśmiechnął się do swoich cichych marzeń.

W tej chwili zatrzymał się pociąg. Pan Marek przebudził się z pewnym komfortem.

Podróźni przerwali rozmowę, bo czwarty obcy świadek nie był im na rękę.

Przebudzenie się pana Marka było tak naturalne, że nikt nie mógł go podejrzyc o podstęp! Pan Marek chrapnął najprzód głębiej niż zwykle, potem wyciągnął jedną rękę, która aż do bajrońskiego kołnierzyka dostała; wyciągnął potem drugą, która w drodze o rozumne czoło pedagoga zawadziła, a wreszcie kopnął nogą trzeciego towarzysza w sposób tak naturalny, że tenże aż krzyknął.

— Przepraszam—zawołał poziewając—Łucyo, Łucyo! straszne rzeczy mi się śniły!

Rzekłszy to otworzył oczy i zadziwiony spojrzął wkoło siebie.

— Przepraszam panów—rzekł po raz drugi—myślałem że ze mną jest....

— Zapewne żona lub córka?—uzupełnił pedagog.

-- Tak... tak... coś podobnego—zakłopotany odparł pan Marek.

— I przypadkiem wymówiłeś pan imię, na które mógłby się odezwać mój młody sąsiad!

Młody człowiek i angielski kołnierzyk pochylili się przed znacnym obliczem pana Marka.

Pan Marek nie chciał się wdawać w dalszą rozmowę: wstał z siedzenia i zbliżył się do szyby.

Przychodziły teraz do niego różne oferty. Chłopiec z dzbankiem glinianym zawołał do niego:

— Wody, świeżej wody!

Pan Marek ruszył głową.

— Francuzkie śliwki, figi i rodzynki! -- krzyknął mu żydek w sam nos.

— Kawy, piwa, herbaty!—wołał chłopiec z białym fartuchem.

— Piękne, świeże róże!—śpiewała miłym głosem mała dziewczynka.

Pan Marek skinął na nią.

— Co chcesz, dziewczynko, za ten bukiet?—zapytał.

— Dwie dziesiątki—odpowiedziała.

— Masz trzy, i idź tam do trzeciego wagonu, w którym same pannie siedzą i zapytaj się, która jest z nich Łucya. Dasz jój bukiet... Albo zaczekaj, pójdę sam!

Pan Marek otworzył drzwi i wysunął się z wagonu.

Zrazu nie sprawiło to na podróżnych żadnego wrażenia. Pedagog można było posądzić, że się do snu układa wygodnie, sąsiad jego chciał na seryo teraz zająć się czytaniem, a młody Lucio wahał się, co ma z sobą zrobić. W sam czas przypomniał sobie, że stary towarzysz napół we śnie wymówił imię, które było podobne do jego imienia i że dla tego prawdopodobnie imienia kupił bukiet z róż, który własnoręcznie poszedł doręczyć.

Bukiet z róż nie mógł być dla kogo innego przeznaczony jak dla kobiety; Lucio wyjrzał więc oknem, aby Łucyą obaczyć.

— Patrz pan—zawołał do pedagoga—jaka to ładna osoba chodzi po peronie z naszym starym towarzyszem! Nazywa się Łucya, tak jak ja!

Pedagog poczuł się do obowiązku wyjrzyć na peron. Uczynił to także i trzeci sąsiad, chociaż z większą od innych apatyą.

— A! prawda!—odkrząknął pedagog.

— Zapewne córka—dorzucił Lucio.

— Nic a nic niepodobna!

— Prędzej żona!—zauważył sąsiad z kresą.

— Byłby przecie powiedział, gdy z nim mówiłem!—wtrącił poczciwy pedagog.

— Szczwany lis!—mruknął starszy towarzysz—boi się....

— Walki serca z obowiązkami!—dokończył pedagog i prędko usiadł, bo w tej chwili ruszył pociąg w dalszą drogę.

Pan Marek nie wrócił.

DROGI ŻELAZNE W KRÓLESTWIE POLSKIEM. PRAWA AKCYONARYUSZÓW.

PRZEZ

A. Wrotnowskiego.

I.

Żywe współubieganie się o otrzymanie koncesyi na budowę każdej drogi żelaznej, jest faktem dostatecznie przekonywającym, iż każdy koncesyonaryusz podejmuje się budowy dla spodziewanego na niej zysku i przedsiębiorstwo teje budowy poczytuje za korzystne. I nie może być inaczej, skoro do każdego wielkiego przedsiębiorstwa, oprócz starań i pracy, wprowadzić potrzeba bardzo znaczny kapitał, wszędzie i zawsze tę mający właściwość, iż pozostaje głuchym, ilekroć niema dla siebie widoków korzyści i zysku. Cyfrowy wyraz tegoż zysku musi się znowu mierzyć cyfrą kapitału wprowadzonego w grę; zkaąd wynika, że zyski na budowie drogi żelaznej muszą być znaczne, skoro na każde takie przedsiębiorstwo potrzeba wydatkować miliony.

Wątpliwości téż nie ulega, że koncesyonaryusze mają korzyści na budowie każdej niemal drogi żelaznej i że jeszcze przed otrzymaniem koncesyi, korzyści te dają się przewidzieć a nawet przybliżenie obliczyć. Są one zaś godziwemi lub niegodziwemi, odpowiednio do dobrego lub złego zbudowania drogi. Dla korzyści niegodziwych nie można nawet wskazać miary, skoro zależą od tego, do jakiego stopnia każda kategoria robót i zakupów dopełnioną została zle i nieodpowiednio do anszlagów i warunków technicznych podjętego przedsiębiorstwa; wiadomo zaś, że pod tym względem niepodobna zakreślić granicy. O tego rodzaju zyskach wszakże, mówić nie mamy zamiaru.

Korzyści koncesyonaryusza są godziwemi, ilekroć z zadania swego wywiązał się sumiennie, t. j. zbudował drogę dobrze, przy ściśłym zastosowaniu się do anszlagów i warunków technicznych. I wtedy przecież jest prawie zawsze zysk na antreprzyzie budowy. Każdy bowiem rząd, zamierzając budowę nowej drogi żelaznej, rozporządza przedewszystkiem dokonanie studyów technicznych, t. j., za pośrednictwem wyznaczonych przez siebie inżynierów nakreśla kierunek drogi i oblicza jój koszt. Ta praca przygotowawcza, będąca podstawą sporządzanego anszlagu robót, ich kosztorysu i układanych następnie warunków technicznych saméjże budowy, nie jest i nie może być matematycznie ścisłą, i musi w rezultacie wykazać cyfrę wyższą od téj, jaka przy wykonaniu budowy będzie rzeczywiście wydatkowaną. Gdyby bowiem kosztorys nie dawał możności oszczędniejszego zbudowania drogi, nie miałoby miejsce ubieganie się o koncesyą, co znowu nie jest w interesie samego rządu, pragnącego znaleźć chętnych do podjęcia się budowy.

Głównejsze kategorye na których zysk daje się z góry przewidzieć są następujące:

1. Pomiędzy czynnikami składającymi się na ogólną sumę kosztorysu, obliczenie *robót dolnych*, a zwłaszcza ziemnych (nasyków, przekopów i zrównania plantu pod szyny), zajmuje pierwsze miejsce.

Przyjmując za podstawę kierunek linii zaprojektowany przez rząd, obliczenie to oznacza z *możliwą* dokładnością, ilość stóp kubicznych każdego przekopu lub nasypu, ilość i koszt potrzebnego na ten cel materiału, robocizny i t. p. Łatwo pojąć, że pod tym względem, niepodobną jest bezwzględna matematyczna dokładność. Obliczenie to, chociażby najbardziej ścisłe, nie może przecież być miarą rzeczywistego wydatku na zbudowanie drogi, skoro sam kierunek linii projektowany przez rząd nie jest ostatecznym. Jakoż warunki budowy, określające wszystkie obowiązki przedsiębiorcy otrzymującego koncesyą, poprzestają na wskazaniu miejscowości mającej być początkiem drogi i miejscowości, do której taż droga ma być doprowadzoną, tudzież kilku co najwięcej miejscowości, przez które ma przechodzić. Pod względem zaś wynalezienia najdogodniejszych w każdej z tych miejscowości punktów i najłatwiejszych między wszy-

stkiemi stacyami kierunków, pozostawioną bywa przedsiębiorcy pełna swoboda, z zastrzeżeniem, by prowadzone przez niego linie, nie oddalały się więcej nad pięć wiorst w jedną lub drugą stronę od linii zaprojektowanej przez rząd.

To prawo wyboru punktów i kierunków, połączone z dopuszczeniem krzywizn czyli łuków linii drogi, *nieszkodzące bynajmniej głównemu celowi zadania*, staje się pierwszym źródłem korzyści dla budujących drogę. Rzadko bowiem spotyka się tak jednostajną konfiguracją kraju, przez którą droga ma być prowadzona, iżby dokładniejsze studia przez nich dokonane, nie doprowadziły do znalezienia innych kierunków, któremi prowadząc linią uniknie się potrzeby wielu nasypów lub przekopów, otrzymana się ławiejsze warunki techniczne dla wszelkich robót i przygotowanie plantu pod szyny da się wykonać ze znaczną oszczędnością kosztów. Że zaś roboty ziemne tworzą poważną rubrykę każdego kosztorysu, a rubryka ta musi być zawsze stawianą szeroko, wystarczająco na *maximum* tego, co przy budowie wydatkować przyjdzie, dziwić się więc nie należy, iż oszczędność na tej rubryce jest zwykle bardzo znaczną, a studia techniczne przedsiębiorców budowy zawsze wskażą taki kierunek linii, jaki wymaga mniej owych robót i mniej kosztów na przygotowanie plantu pod szyny, od obliczenia kosztorysowego.

2. Każda koncesya zakreśla czas na pobudowanie drogi i otwarcie jej do publicznego użytku. Że zaś przed rozpoczęciem na niej ruchu, otrzymujący koncesyą niema ani dochodu z eksploatacyi, ani prawa do żądania od rządu dopłat na procent od kapitału, ryczałtowo gwarantowanych, kapitał zaś ten wydatkuje od chwili rozpoczęcia budowy i przez ciąg jej trwania; fundusz przeto na procenta od tegoż kapitału musi być przez rząd zapewnionym w inny sposób, bo by znowu nikt nie przyjął obowiązku wydatkowania znacznych sum na budowę, nie mając pewności pobierania procentu przez czas od rozpoczęcia robót do dnia otwarcia ruchu na drodze. Jakoż, fundusz na rzezone procenta, obliczone od kapitału za czas na budowę drogi zakreślony w koncesyi, dodawanym jest do sumy kosztorysu technicznego i wraz z funduszem na koszt administracyi przedsięwzięcia budowy, staje się jednym z czynników, tworzących właśnie ową ogólną sumę kosztu zbudowania drogi. Suma ta, stawiana ryczałtowo i ryczałtowo obniżona w skutek konkurencyi pomiędzy ubiegającymi się o koncesyą, jest podstawą umowy nadawczej, wkładającej na otrzymującego koncesyą obowiązek zbudowania drogi *à forfait* odpowiednio do warunków technicznych (*cahier des charges*) właśnie za tak obniżoną sumę; co znaczy, że wszelki brak funduszu na dokończenie budowy, przejdzie na jego wyłączny ciężar, czyli stratę, a nawzajem wszelka oszczędność, stanie się jego wyłączną korzyścią.

Czas na otwarcie ruchu na budującej się drodze zakreślony przez rząd, musi być znowu wystarczającym na wykonanie robót z pośpiechem średnim. Jeżeli więc przedsiębiorca budowy, (a co ma miejsce

prawie zawsze), prowadząc ją energicznie, potrafi otworzyć na drodze ruch w ciągu np. lat dwu, zamiast po upływie lat trzech zakreślonych w koncesyi; w takim razie oszczędza on procent od całego kapitału i wydatki na koszt administracyi za rok trzeci. Wtedy bowiem i ten procent i te koszty, są już pokrywanymi z dochodów drogi uzupełnianych gwarancją rządową.

3. Przy umiejętnem zresztą zarządzaniu i prowadzeniu robót, przy ścisłym nad nimi dozorcze i przy rozwinięciu całej działalności, do jakiej zdolnym jest umysł, ożywiany nieustającym bodźcem interesu osobistego, przedsiębiorca budowy otrzymać może oszczędność nie tylko na każdej rubryce, ale nawet na każdej prawie pozycji kosztorysu: na wznoszonych budynkach i urządzeniach, na ilości i cenie robocizny, na kosztach sprowadzenia materyałów, szyn, taboru, i t. p. Każda z tych oszczędności staje się *godziwą korzyścią* przedsiębiorcy, jako naturalne, prawne i sprawiedliwe następstwo umowy *à forfait*.

Zapominać bowiem nie należy, że pojedyncze pozycje i rubryki kosztorysu, nie są bynajmniej podstawą koncesyi, czyli umowy nadawczej i w stosunkach pomiędzy rządem z jednej, a przedsiębiorcą budowy z drugiej strony, żadnego znaczenia nie mają. Rubryki te były dla rządu materyałem, posługującym jedynie do udeterminowania ogólnej summy, jaką na koszt zbudowania drogi przyjdzie oznaczyć. Z chwilą udeterminowania tej sumy i postawienia jej ryczałtowo, a następnie z chwilą jej obniżenia w skutek współubiegania się o koncesyę i z chwilą udzielenia téjże koncesyi *à forfait*, za tak obniżoną sumę, obliczenia i rubryki kosztorysu, tracą wszelkie znaczenie. Koncesya jest umową dwustronną; w skutek téj umowy, rząd ma prawo żądać sprawdzić i dopilnować, by droga została zbudowaną dobrze, odpowiednio do warunków technicznych, do tegoż aktu dołączonych, a nawet by żadna z robót wymienionych w anszlagu, nie została pominięta; ale pozbawionym zostaje prawa wglądania w rachunki przedsiębiorcy i niema już żadnego tytułu żądać, by tenże przedsiębiorca usprawiedliwił się z tego, ile wydatkował na każdą kategorię dopełnianych robót, ile na każdej kategorii zyskał lub stracił.

Korzyść przeto na przedsiębiorstwie budowy drogi, tak samo jak na każdej innej antreprzyzie, jest niewątpliwie nabytkiem sprawiedliwym i zarobkiem godziwym, pod warunkiem wszakże, aby cała budowa drogi dokonana była odpowiednio do warunków technicznych, dołączonych do aktu nadawczego, dobrze, z użyciem materyałów jak można najlepszych i przy zaopatrzeniu drogi w tabor dobry, dający rękojmią bezpieczeństwa i trwałości. Warunku tego pilnują same rządy; nie mamy więc ani potrzeby, ani kompetencyi zaznaczać, czy zawsze, wszędzie i w jakim stopniu czyni mu się zadosyć.

Korzyść najbardziej godziwa, może przecież nie iść na rzecz tych, którzy do niej mają prawo. Na skutek koncesyi na budowę każdej drogi żelaznej, koncesyonaryusz podejmuje się na swój zysk lub

stratę, dwu oddzielnéj natury antreprzyz: 1) zbudowania drogi i 2) jéj eksploatacyi przez pewien okres czasu. Gdyby obie antreprzyzy prowadził sam, własnymi funduszami i środkami, na własny zysk lub stratę; wszelka oszczędność na budowie drogi należałaby doń wyłączenie, prawie i sprawiedliwie. Że jednak nie dzieje się tak ani na kontynencie, ani zapewne w innych częściach świata, a przynajmniej taki przypadek byłby najbardziej wyjątkowym; że koncesyonaryusz zawsze i wszędzie otrzymując zarazem prawo na zawiązanie towarzystwa akcyjnego, natychmiast podstawi je we wszelkie swe prawa i we wszelkie swe zobowiązania, a tém samém uwalniając się od wszelkiéj osobistéj odpowiedzialności, obie antreprzyzy prowadzi kapitałami spółkowemi, na zysk lub stratę spółki bezimiennéj, czyli akcyonaryuszów, których do wykonania przedsięwzięcia powołał; rozjaśnić przeto wypada: kto ma prawo do zysku na każdéj z tych dwu antreprzyz i w jakim stosunku rozdzielaną być powinna pomiędzy mających toż prawo, wszelka korzyść otrzymywana tak na budowie drogi, jak i z jéj eksploatacyi; w jaki zresztą sposób prawu temu staje się zadość, czyli co się dzieje z temi zyskami? Pytania te zastępują bezwątpienia na uwagę nie tylko akcyonaryuszów, ale i samych rządów, a nawet każdego, kto na spalenie sumienia publicznego obojętném nie umie spoglądać okiem.

II.

Od najdawniejszych czasów, chciwość posługująca się podstępem lub siłą, stawiała w sprzeciwieństwie z wszelkimi zasadami słuszności i wprowadzała zamęt w stosunki społeczne. Dziedzina zwłaszcza spółek i stowarzyszeń, zawsze otwierała szerokie pole do nadużyć silniejszego względem słabszych. Nadużycia tego rodzaju musiały za czasów Ezopa wydawać się rzeczą naturalną i nieuniknioną, skoro w obrazie spółki pomiędzy lwem, osłem i lisem, ów niesprawiedliwy podział korzyści spółkowych już go bynajmniej nie razi, ani jego uwagi nie zwraca; a w nauce jaką z téjże bajki wyprowadza, zamiast krytyki na gwałcących prawo, widać korną uległość sile. Następne wszakże pokolenia dopatrzeć musiały w téj bajce sens donioślejszy ¹⁾, skoro z niéj wprowadziły do dawnych ustaw i do ów-

¹⁾ „*Le lion, l'âne et le renard.* Un lion, un âne et un renard, s'étant associés, sortirent pour chasser. Lorsqu'ils eurent pris force gibier, le lion donna l'ordre à l'âne de le leur partager. Celui ci donc, ayant fait trois parts égales, les engageait à choisir; mais le lion irrité le dévora. Ensuite il ordonna au renard de faire les parts. Ce dernier, ayant réuni tout en une seule, ne laissa pour lui que très peu de chose. Le lion lui dit alors: „et qui donc, mon cher, t'a appris à partager ainsi?” L'autre lui répondit: „l'accident arrivé à l'âne.” *Morale.* Cette fable montre que les malheurs de leurs voisins sont pour les hommes des leçons de sagesse. (*les Auteurs Grecs expliqués....*)

czesnego języka prawniczego ¹⁾, specjalną nazwę dla takiego rodzaju umów i stosunków, w którym pod maską pozorną i kłamliwą spółki, jeden ze spółników przywłaszcza sobie wszystkie korzyści; niebezpieczeństwo zaś strat wkłada wyłącznie na innych spółników. Każdy, na takim tle osnuty stosunek, wywołując najwyższe oburzenie prawników rzymskich ²⁾, był przez nich zwanym *spółką lwią* (*societas leonina*), nazwa zaś ta miała uwydatniać ogólną zasadę prawodawczą: że gdy wspólne dobro i wspólny interes jest głównym celem, treścią i istotą każdej spółki; każdy przeto stosunek spółkowy opierać się powinien na sprawiedliwym i uczciwym rozdzielaniu tak korzyści, jak strat pomiędzy wszystkich spółników; że więc spółnik zasadę tę łamiący, krzywdzi innych, właśnie jak ów lew w bajce Ezopa.

Usiłowania w ciągu wieków na drodze prawodawczej podejmowane, przynajmniej ten wydały owoc, że już dziś *jawne* zawieranie takich spółek jest przez kodeks wszystkich krajów wyraźnie zabronionem. Prace przygotowawcze do Kodeksu Napoleona, będące miarą tych usiłowań ³⁾, znalazły ostateczny wyraz w energicznych

par une société de Professeurs et d'Hellenistes. Esope. Fables choisies traduites par C. Leprevost. Fable XIII).

Krasicki w bajce: *Lew i Zwierzęta*, oddał tę samą myśl, temi wyrazami:

„Lew, ażeby dał dowód jak wielce łaskawy,
Przypuszczał konfidentów do swojej zabawy:
Polowali z nim razem, a na znak miłości,
On jadł mięso, kompanom ustępował kości” i t. d.

(edyc. Paryż. str. 3, bajka 26).

¹⁾ Lex 29 § 2. lex 30 § 30. Dig. Pro socio.

²⁾ *Iniquissimum genus societatis*, mówił *Ulpian* (pro socio).

³⁾ *Recueil complet des travaux préparatoires du code civil* par A. Fa-
net. Tom XIV, str. 397, 398, 411, 419, 422. W zbiorze tym czytamy
między innemi: *co do określenia treści każdego kontraktu spółkowego*: „il s'agit
uniquement de cette espèce de société, qui se forme entre deux ou plusieurs
personnes, à l'effet de mettre en commun ou une propriété, ou des jouissances
pour se rendre compte et partager les bénéfices de l'association;” (wyjątek ze
sprawozdania P. Treilhard mówcy rządowego, przedstawiającego projekt prze-
pisów Kodeksu o spółkach, na posiedzeniu ciała prawodawczego 10 Ventose
r. XII, czyli 1 marca 1804). „L'espoir de partager les bénéfices que la chose
commune pourra produire, est la vue intentionnelle qui dirige ce contrat;” (ze
sprawozdania mówcy rządowego p. Gillet na takimże posiedzeniu z dnia 8 mar-
ca tegoż roku. *Pod względem zaś zabronienia spółek zwanych leonines*: „Les
associés peuvent insérer dans leur contrat toute clause qui ne blesse ni la loi
ni les bonnes moeurs, et la mesure de leurs engagements est celle dont il leur
a plus de convenir. Nous l'avons déjà dit, la bonne foi est surtout nécessaire
dans le contrat de société, et comme toute clause qui tendrait à jeter sur l'un
toutes les charges et à gratifier l'autre de tout les bénéfices, se trouverait en

przepisach tegoż Kodeksu, dotyczących bezwarunkową nieważnością każdą spółkę, któraby nosiła na sobie cechę spółki lwiej¹⁾. Takież same przepisy istnieją dziś we wszystkich innych prawodawstwach europejskich²⁾.

W dziedzinie prawodawczej uczyniono więc wszystko co było możliwem. I nauka prawa, i wykładnia sądowna opierając się na literze kodeksu i na myśli prawodawców, przez jego urzędowe motywa poświadczoną, za niezmienną przyjmują zasadę: że nieważną jest każda spółka przyznająca wszystkie korzyści jednemu ze spółników a uwalniająca go od przykładania się do strat; nieważną każda spółka, przyznająca *wszystkie* korzyści jednemu ze spółników, chociażby jednocześnie pociągała go do obowiązku ponoszenia części tychże strat; nieważną wreszcie każda spółka, któraby przypuszczając spółników do sprawiedliwego udziału w zyskach, wkładała na jednych obowiązek ponoszenia strat, uwalniając od tego obowiązku innych. Krzywda jednego ze spółników, a niegodziwa korzyść innych, cechujące spółkę *lwią* (leonina), istniałyby w każdym z tych trzech przypadków, łamiąc zarówno i zasadę sprawiedliwości i samą istotę stosunku spółkowego. Korzyści zresztą jednego ze spółników mogą być stosunkowo wyższemi od korzyści innych spółników; kodeks bowiem nie wymaga bynajmniej, iżby rozdział zysków odpowiednim był do czynionych przez każdego z nich wkładów.

Wynagrodzenie za wyjednanie lub wytworzenie interesu, albo za pracę dla spółki podejmowaną, może znaleźć swój wyraz w przyznaniu wyższego nad wkład udziału w spółce; spółka nie stanie się przez to nieważną (leonina). Nieważność istnieje, ilekroć którykol-

opposition manifeste avec la bonne foi et la nature de l'acte, *pareille convention serait essentiellement nulle.* (Treilhard, loco citato). „Si le projet au surplus, a le soin d'ajouter qu'une convention qui donnerait à l'un des associés tous les profits, et l'affranchirait de toutes les pertes, n'est pas une société, mais l'association si justement proscrite sous le nom de *société leonine*, c'est principalement pour ne pas laisser oublier que jamais la violence, la force ne produiront les véritables droits“ (wyjątek ze sprawozdania p. Bouteville na ogólnem zebraniu trybunów dnia 5 marca 1804 roku). „La convention qui donnerait à l'un des associés la totalité des bénéfices, serait la *société du lion*; elle serait nulle“ (ze sprawozdania p. Gillet: loco citato).

¹⁾ Art. 1832 Kod. Nap. „La société est un contrat par lequel deux ou plusieurs personnes conviennent de mettre quelque chose en commun, dans la vue de partager le bénéfice qui pourra en résulter.“

Art. 1855 tegoż Kodeksu: „La convention qui donnerait à l'un des associés la totalité des bénéfices est nulle. Il en est de même de toute stipulation qui affranchirait de toute contribution aux pertes les sommes et effets mis dans le fonds de société par l'un ou plusieurs des associés.“

²⁾ *Confer.* „concordance entre les codes civils étrangers et le code Napoléon“ par Antoine de Saint Joseph, pod artykułami 1832 i 1855.

wiek ze spółników *przychodzi w innym stosunku do strat, a w innym do korzyści*, taki bowiem niesłuszny rozdział, zdradzający brak dobrej wiary, żadnego w oczach prawodawcy nie mógłby już znaleźć usprawiedliwienia.

W obec powyższych zasad, które, jak się wyżej rzekło, są wspólnemi wszystkim prawodawstwom europejskim, dla podejmujących się budowy dróg żelaznych, z celem zatrzymania *całego* na tój antreprzyzie zarobku, nie pozostawało nic innego, jak po otrzymaniu koncesyi, przedsiębiorstwo to uczynić wyłącznie swoim, to jest prowadzić je na własną rękę, we własnym imieniu i własnymi środkami. Gdy zaś brak dostatecznej zamożności, nawet u najbogatszych, zniewał ich do podstawiania w swe miejsce spółek bezimiennych, niezwłocznie przez nich zawiązywanych; wszystkie przeto możliwe na tём przedsiębiorstwie korzyści, wedle sprawiedliwości i prawa, przechodzą w całości na rzecz tychże spółek, nie pozostawiając dla założycieli nic ponad udział przypadający na akcyę przez nich samych zatrzymane.

Spółka jest wprawdzie w obowiązku zwrócić założycielowi wydatki na wykonane przez niego studia przygotowawcze i wszelkie inne koszta otrzymania koncesyi; obowiązek ten z samą zasadą rozdziału korzyści spółkowych żadnego przecież nie ma związku. Koncesyonaryusz miałby także tytuł do żądania wynagrodzenia za swą pracę, lecz wynagrodzenie to powinno być wskazanem wyraźnie w samej ustawie spółkowej, i należałoby je poczytywać za bezwarunkowy lub warunkowy dług spółki, niemogący również rzeczonyj zasady osłabiać lub zmieniać. Spółki te bowiem, opisane w kodeksach pod nazwą *bezimiennych* ¹⁾, ulegając zestawionym wyżej zasadom ²⁾, nie dopuszczają nierównego rozdziału zysku pomiędzy uczestnikami i sama natura tego stosunku prawnego, ustala przedewszystkiém po stronie spółników (akcyonaryuszów) *prawo do oszczędności otrzymanej na budowie drogi*. Skutkiem tego prawa, wszystkie korzyści interesu spółkowego powinny być oddawane akcyonaryuszom, każdemu z nich mianowicie, w stosunku ilości akcyi, jakie posiada.

Koncesyonaryusz przez podstawienie spółki bezimiennój w całość praw i w całość obowiązków określonych w akcie koncesyi, traci wszelkie prawo do zysku na antreprzyzie budowy drogi, skoro z dniem zawiązania rzeczonyj spółki z prawa tego się wyzuł i koncesyonaryuszem być przestał. Z tą chwilą, przeistoczył się on w uczestnika

¹⁾ Art. 29 i nast. Kodeksu handlowego francuzkiego.

²⁾ Art. 18 tegoż Kodeksu: „le contrat de société se regle par le droit civil, par les lois particulières au commerce et par les conventions des parties.” Art. 1873 Kod. Nap.: „les dispositions du présent titre ne s'appliquent aux sociétés de commerce que dans les points qui n'ont rien de contraire aux lois et usages du commerce,” *confer. Saint Joseph (loco citato, pod tymże artykułem)*.

spółki bezimiennéj, a po otrzymaniu od niéj zwrotu złożonéj przez siebie kaucyi, tudzież kosztów w interesie poniesionych i wynagrodzenia, jakieby mu przypadać mogło, nie ma już większych praw od tych, jakie służą każdemu innemu uczestnikowi téjże spółki. Gdy zaś wszelkie korzyści tak samo jak wszelkie straty spółkowe rozdzielają się pomiędzy wszystkich uczestników, a właściwie pomiędzy wszystkie akcye towarzystwa; przy tym przeto podziale, żaden z nich nie powinien otrzymać więcéj nad to, co przypada na ilość akcji, jaką posiada w chwili tegoż rozdziału. Jeżeli np. oszczędność na budowie wynosi 100,000, a kapitał towarzystwa składa się z 10,000 równéj wartości udziałów zwanych akcjami, na każdą z nich przypada więc 10 i żadna cząstka tego zysku na antreprzyzie budowy do koncesjonariusza już nie należy. I nie może być inaczej, nietylko dlatego, iż on podstawił w swe prawa ogół akcyonaryuszów, ale i dla téj przyczyny, iż w braku funduszów na dokończenie budowy, nic z własnéj nie dopłaci kieszeni, skoro wtedy sami akcyonaryusze stracą część wartości swych akcji, bądź w skutek potrzeby zaciągnięcia długi na dokończenie budowy, bądź w skutek likwidacyi towarzystwa, w razie niemożności dokończenia téjże budowy. Wszelka więc korzyść założycieli bądź widoczna, bądź ukryta, nadawałaby spółce bezimiennej cechę spółki lwiéj (*leonina*), istniejącej jak już wykazano, ilekroć którykolwiek z jéj uczestników w innym stosunku przychodzi do udziału w korzyściach, w innym zaś stosunku przykłada się do strat; a właśnie koncesjonaryusze do tych strat nie przykładają się bynajmniej.

Ta sama zasada ma pełne zastosowanie do wszelkich innych korzyści spółkowych na cały czas trwania towarzystwa akcyjnego, mianowicie zaś, do udziału w dywidendach, będących zawsze wyrazem czystego zysku z eksploatacyi drogi żelaznéj; możliwe bowiem straty, także nie będą dotykać założycieli, ale spadną na samychże akcyonaryuszów, pozbawionych wtedy części lub całości procentu od kapitałów w przedsięwzięciu włożonych.

I w istocie, wszystkie ustawy spółkowe pozbawiają koncesjonaryuszów praw do zysku na budowie drogi, chociaż zysk ten był jedynym a przynajmniej głównym z celów i pobudek ubiegania się o koncesyę; wszystkie przeto, cały zysk z téj pierwszój antreprzyzy, (zbudowania drogi), zachowują wyłącznie dla akcyonaryuszów. Przeciwnie zaś, istnieją w tychże ustawach zastrzeżenia, dające koncesjonaryuszom udział w korzyściach drugiej antreprzyzy, będącej jednocześnie przedmiotem każdéj koncesyi (to jest z eksploatacyi drogi), chociaż nie to drugie przedsiębiorstwo jest głównym celem konkurencyi pomiędzy ubiegającymi się o budowanie drogi.

Należałoby więc mniemać, że zasad kodeksowych i niewątpliwie wyrażonéj woli prawodawców, nie naruszyć nie było zdolném; że przeto żaden z założycieli spółek bezimennych nie mógł i nie zagarnął zysku na budowie drogi z krzywdą swych spółników (akcyo-

naryuszów), ale każdy poprzestał na tych korzyściach, jakie dlań zostały zastrzeżone w samej ustawie spółkowej. Wszędzie przecież działa się dotychczas inaczej; wszędzie koncesyonaryusze zysk na budowie drogi ukrywali starannie przed okiem akcyonaryuszów i sami bogacili się tym zyskiem. Zatrzymywali więc swą *część lwią* (la part du lion) bez żadnego względu na sprawiedliwość, a powtórę na legalność.

Postaramy się wykazać, jakimi środkami koncesyonaryusze i gründerzy dochodzili *gdzieindziej* do powyższego celu. Rys wszakże tych środków uprzedzić musimy wyjaśnieniem: co zawiązująca się spółka bezimienna wynagrodzić powinna koncesyonaryuszowi, jaka zasada byłaby pod tym względem racjonalną i sprawiedliwą; czy zresztą sposób wynagradzania zastrzegany dlań w ustawach spółkowych, jest sprawiedliwy i z prawodawstwem ogólnym zgodny?

Każdy z ubiegających się o budowę drogi żelaznej, musi przedewszystkiem zbadać techniczną stronę interesu i ocenić za jaką sumę może się tego przedsięwzięcia podjąć. Przedewszystkiem przeto zarządza studia techniczne i znaczny na nie wydatek czyni na swe ryzyko; w razie bowiem nieotrzymania koncesyi, wydatku tego nikt mu nie zwraca. Stając następnie w rzędzie ubiegających się o koncesyą, musi zuowu złożyć dość znaczną kaucyą w papierach publicznych, dla zapewnienia rządu, iż w razie otrzymania tejże koncesyi, zawiąże spółkę bezimienną, zbierze odpowiedni kapitał i przystąpi do budowy drogi. Ma przeto drugie ryzyko, może bowiem kaucyą tę utracić, w razie gdyby powyższym zobowiązaniom zadosyć nie uczynił; poświęca wreszcie czas, pracę i czyni wydatki dla otrzymania antreprzyzy.

Spółka bezimienna antreprzyzę tę na siebie przejmując, jest w obowiązku: koszta studyów technicznych i wszelkie wydatki w interesie poczynione, koncesyonaryuszowi z procentem powrócić, i złożoną przezeń kaucyą, własnymi papierami procentowemi zastąpić. Zwroty te dają się udeterminować liczebnie z całą ścisłością i są bezwątpienia długiem ciężącym zawiązującą się spółkę; każdy przecież koncesyonaryusz otrzymuje je z pierwszych funduszów spółki, i jój ustawa przedmiotem tym zajmować się nie ma potrzeby.

Pozostaje więc wynagrodzenie za wspomniane wyżej ryzyko, tudzież za czas i pracę koncesyonaryusza. Ustanowienie cyfry tego wynagrodzenia jest bez wątpienia trudnem; przyznanie pewnej tanytemy z zysku na budowie drogi, byłoby załatwieniem trudności najprostszém i najsprawiedliwszém. Wprawdzie należałoby wtedy przyjąć za podstawę najpełniejszą dobrą wiarę po stronie koncesyonaryusza i mieć przeświadczenie iż on żadnej części rzeczzonego zysku nie utai, że rzetelny rachunek akcyonaryuszom złożywszy, poprzestanie na tanytemie oznaczonej w ustawie spółkowej. Dobra wiara łączy się z pojęciem każdego kontraktu i każdego stosunku cywilnego; szczególniej zaś wymagana jest od każdego spółnika w jego stosun-

kach z innymi spółnikami, jest bowiem główną podstawą i dźwignią każdej spółki, tak dalece iż bez dobrej wiary, każda spółka przeistoczyłaby się musiała w arenę oszukaństwa i spoliacyi. Zresztą idzie tu przede wszystkim o zasadę, a zasada tanyemy z zysków na budowie drogi, byłaby najsprawiedliwszą. Mianowicie zaś, dawałaby udział z tego właśnie zysku, który był głównym celem koncesyonaryusza w chwili otrzymania koncesyi i który od jego znajomości rzeczy, starań i pracy, przeważnie jest zawisłym.

Za samo zaś prawo przez koncesyonaryusza na rzecz spółki przenoszone, nie przynależę mu żadne wynagrodzenie, skoro ubiegał się i otrzymał koncesyą nie dla siebie, ale dla spółki, jaką zawiąże; od samego więc początku nie zastrzegał zysku dla siebie, gdyż sam, bez funduszu przez akcyonaryuszów dostarczonego, podejmowanemu zadaniu uczynić zadość nie był w możności; wiedział też, że prawo nie da mu innego tytułu do udziału z zysków na budowie, jak w stosunku do ilości akcji, jaką dla siebie zatrzyma. Zamiast powyższej zasady, zgodnej z naturą kontraktu spółkowego i z przepisami wszystkich kodeksów, a dającej koncesyonaryuszowi udział z tych korzyści spółkowych, które głównie miał na celu, ustawy spółkowe wynagradzają go inaczej; mianowicie zaś: zastrzegają dlań *na cały czas istnienia spółki bezimiennęj*: a) prawo do pobierania tak zwanęj *renty założycielskiej*; b) prawo do otrzymania *al pari* akcji następných emisji.

Przez pierwsze z tych praw, nadając korzyść od losu zawisłą a w każdym razie odległą, ustawy spółkowe przenoszą obowiązek z jęj antreprzyzy (budowy drogi) na ciężar antreprzyzy 2ej (eksploatacyi tejże drogi). Przez drugie z tych praw pogorszają znowu położenie akcyonaryuszów.

Obadwa te prawa zastrzegane są we wszystkich prawie ustawach spółek bezimienných, zawiązywanych w celu budowy i eksploatacyi dróg żelaznych. Weszły one w zwyczaj, któremu powagi w rzeczach przemysłu i handlu zaprzeczać nie można. Nawet wyższe umysły, w tych rzeczach wytrawne i o dobro publiczne dbałe, nie dopatrują w rencie założycielskiej ani niezgodności z naturą kontraktu spółkowego, ani niesprawiedliwości. Nie potępiają więc jęj w zasadzie, ale raczej dopuszczają krytykę przy zastosowaniu tęj renty, ilekroć ona stawałaby się nieodpowiednią do owego ryzyko i do prac koncesyonaryusza, tudzież jego dla spółki zasług. Sprowadzają więc kwestyą z zasady renty założycielskiej na jęj wysokość. Do pobierania zresztą tęj renty przychodzi bardzo rzadko: wypłaca ją koncesyonaryuszom zaledwie kilka na kilkadziesiąt istniejących spółek bezimienných.

Pragniemy jednak o obudwu tych prawach pomówić obszerniej. Nie zaprzeczając bowiem doniosłości ani zwyczajom handlowym, ani zapatrywaniom się umysłów w rzeczach przemysłu wytrawnych, poważamy się mniemać, że metoda wynagradzania koncesyonaryuszów

rzeczonemi prawami nie jest szczęśliwą, a co ważniejsza, że do tych stosunków wprowadza znowu *ową część lwią* zabronioną przez wszystkie prawodawstwa. Przedewszystkiem jednak przyznajemy, że oba te prawa stają się *nabytemi (quaesita)*, przez fakt zatwierdzenia ustawy spółkowej przez rząd, zatwierdzenia przeistaczającego też umowę w specjalny dla danego towarzystwa akcyjnego kodeks, derogujący prawodawstwu ogólnemu. Tak ustalonych praw nie można już sądownie wzruszać ani ich wykonywaniu się sprzeciwiać; raz jednak to uznawszy i poświadczwszy, krytyce przysługuje pełna swoboda, na powyższe stosunki z ogólnego i naukowego stanowiska spoglądając, wszechstronnemu poddawać je ocenie. Z tej przeto niewątpliwiej swobody, skorzystać zamierzamy.

a) Na podstawie zastrzeżenia *renty założycielskiej*, założyciel spółki bezimiennój, pobiera corocznie 10% z nadwyżki, czyli dziesiątą część czystego zysku, przewyższającego 5 lub 6% procentu od kapitału przez akcjonariuszów włożonego. Daninę tę wybiera on nietylko wtedy, gdy, po zawiązaniu towarzystwa, dalsze jego dobre lub złe losy z akcjonariuszami dzieli, ale nawet i w tym razie, gdy wyprzedawszy akcje pierwiastkowo przez siebie zatrzymane, żadnego już udziału w spółce ani żadnego interesu w dalszym jej rozwoju niema. Po śmierci założyciela, daninę tę wybierają corocznie jego spadkobiercy; renta bowiem założycielska zastrzeżoną bywa w ustawach, na cały czas istnienia towarzystwa, a więc na lat 70 do 99, gdyż na taki okres czasu udzielane są zwykle koncesye dróg żelaznych. Pobierający tę daninę zastaniać się mogą argumentem, iż o niej jako zastrzeżonej jawnie, akcjonariusze, a zwłaszcza pierwsi subskryptorowie akcyi, byli z góry uprzedzonymi; argumentem bardzo ważnym, skoro w obec tej jawności *dobra wiara po skonie założyciela niewątpliwie istnieje*. Pomimo to przecież mniemamy, że każda renta założycielska jest w zasadzie niesprawiedliwą i acz ulegalizowana, ze wszelkiej prawowitości ogołoconą.

Jakoż, każde przedsięwzięcie przemysłowe lub handlowe różnym podlega losom; straty w złych latach powinny się nagradzać zyskami lat pomyślniejszych i *vice versa*. Renta założycielska, burząc naturalny przyrząd tej nieustannój kompensaty rezultatów dobrych ze złymi, jest właśnie i *par excellence* ową częścią lwią (*part du lion*), tak stanowczo przez kodeksa zabronioną. Założyciel nie przykłada się bowiem do strat w latach dla spółki ciężkich, niema więc żadnej zasady do udziału w zysku z lat pomyślnych. Renta założycielska wprowadza przeto do spółki stosunek, widocznie i radykalnie przeciwny prawodawstwu ogólnemu i poczytywany przez nie za bezwarunkowo nieważny.

Stosunek ten staje się jeszcze bardziej rażącym z chwilą wyjścia założyciela ze spółki; renta bowiem przeistacza się wtedy w daninę, w podatek ciążyący towarzystwo akcyjne; traci więc wszelką zasadę swego bytu i wszelką prawowitość, skoro nie idzie na pożytek

budżetu krajowego. Cechą zaś i usprawiedliwieniem każdego podatku, jest to właśnie, że składając się na dochody tegoż budżetu, ma pokrywać ogólne potrzeby społeczeństwa, nie zaś stawać się korzyścią osób prywatnych. Koncesye na drogi żelazne zastrzegają zwykle na rzecz rządu udział z naddywidendy, i zastrzeżenia te są ze wszech miar sprawiedliwemi; słuszną jest bowiem rzeczą, by towarzystwo akcyjne oddawało na ogólne potrzeby społeczeństwa część zysków otrzymywanych z eksploatacyi drogi, zbudowanej ściśle biorąc kosztem tegoż społeczeństwa. Trudno przecież pojąć, za co mają pobierać coroczną daninę założyciele spółki bezimiennój, których całą jest zasługą, iż w staraniach o koncesyę otrzymali pierwszeństwo przed innemi współkonkurentami. Zawiązanie towarzystwa jest więc raczej dziełem koncesyi rządowej i pomocy budżetowych, jakie też koncesyja zapewniła; osobistość koncesyonaryusza nie ma pod tym względem żadnego wpływu, skoro każdy z usuniętych konkurentów, byłby był przy tychże pomocach, także samo towarzystwo utworzył. Zasługa więc redukuje się prawie do zera, i tytułu do pobierania daniny przez długi szereg lat nie usprawiedliwia wcale.

Nie należy zresztą renty założycielskiej brać za jedno lub porównywać z tanyemami, w ustawach i kontraktach wszelkiego rodzaju spółek zastrzeganiami na rzecz administratorów tychże spółek, a stanowiącemi bardzo sprawiedliwe i dobrze obmyślane dla tychże administratorów wynagrodzenie, za pracę, czas, znajomość rzeczy, a chociażby i za firmę, na usługi spółki przynoszoną. Tantyemy bowiem idą na ich rzecz, tylko za czas, przez który interesami spółki kierują; są zaś wynagrodzeniem ustosunkowanym do rezultatów, przedsięwzięcia, rezultatów zależnych najgłówniej od ich pracy i znajomości rzeczy a nawet od stanowiska, jakie w daném społeczeństwie zajmują, od dobrego imienia, jakiego używają. Administratorowie spółek niosą te wszystkie usługi darmo, w latach których czyste zyski nie pokryły przynajmniej procentu od wkładu wszystkich spółników; sprawiedliwą jest więc rzeczą, przyznać im udział z korzyści spółkowych w latach, w których one tenże procent przenoszą. Tantyemy te więc, z ową rentą założycielską żadnego podobieństwa nie mają.

b) Prawo do *wzięcia al pari pewnej ilości akcji następných emisji*, zastrzegane na rzecz założycieli, nosi na sobie jeszcze większe cechy niesprawiedliwości, a również odpowiada pojęciom o swęj części lwięj, uznawanęj przez kodeks za stypulacyą nieważną i bezskuteczną. I w istocie, daje się do tegoż prawa odnieść i z równą zastosować siłą to wszystko, co wyżej, przeciwko prawowitości renty założycielskiej zostało wypowiedzianém.

W zastrzeżeniach dotyczących rzeczzonego prawa, tkwi nadto drugiego rodzaju nieważność, zagrożona każdęj stypulacyi opartęj na *warunku możności* ¹⁾. Jakoż, wedle osnowy tych zastrzeżeń, założy-

¹⁾ Art. 1170 Kod. Napol.: la condition *potestative* est celle, qui fait dépendre l'exécution de la convention d'un événement, qu'il est au pouvoir de

ciela towarzystwa, mają prawo wyboru wzięcia lub niewzięcia *al pari* akcji następnych emisji; z czego wynika, że korzystają z tego przywileju, w takich jedynie razach, gdy wobec pomyślnego stanu interesów spółki, akcje jej stoją *wyżej pari*, chociażby ta pomyślność rozpoczęła się wtedy, gdy ciż założyciele uczestnikami téjże spółki już oddawna być przestali. Powiększenie kapitału spółkowego, za pośrednictwem wytworzenia nowój emisji akcji, acz wywołane potrzebą rozwoju przedsięwzięcia, ma przecież dla posiadaczy akcji poprzednich emisji ten skutek, iż rozdzielając na przyszłość dochody pomiędzy większą liczbę uczestników, pogorsza położenie spółników dotychczasowych. I z tego téż względu czytać można w każdój ustawie lub umowie spółkowej ten roztrząpany przepis, iż w razie powiększenia kapitału spółkowego, każdy spółnik ma prawo udział swój odpowiednio zwiększyć, czyli innémi słowy, każdy akcyonaryusz, ma prawo otrzymać *al pari* odpowiednią ilość akcji następnych emisji.

Zasada ze wszech miar sprawiedliwa, skoro w razie potrzeby zwiększenia kapitału spółkowego przy kursie akcji niższym od *pari*, dotychczasowi akcyonaryusze są w konieczności, albo akcje następnej emisji pomimo ich niższego kursu rozebrać, albo zaciągając dług, obniżyć przez to wartość posiadanych akcji, albo w niemożności jednego lub drugiego, przystąpić do likwidacyi interesu, t. j. spółkę rozwiązać.

Założyciele nie korzystając wtedy z owego zastrzeżenia, z żadną pomocą nie przyjdą; mają więc znowu stanowisko uprzywilejowane, brania udziału w korzyściach, bez niebezpieczeństwa przyłożenia się do strat spółki, są uczestnikami co do zysków, obcymi zaś względem spółki co do strat, i w razie pomyślnego rozwoju spółki bezimiennój, biorąc *al pari* akcje emisji następnych, widocznie pogorszają położenie dotychczasowych uczestników téjże spółki.

Obadwa przeto zastrzeżenia, niezgodne z ideą sprawiedliwości i z kardynalnemi w téj materji zasadami obowiązujących wszędzie prawodawstw, wprowadzają w stosunki ekonomiczne tę jeszcze anomalią, iż mają pełny skutek prawny w spółkach zatwierdzonych przez rząd, chociaż jednocześnie, każda z powyższych stipulacyi zamieszczona w kontrakcie spółkowym, pod zatwierdzenie tegoż rządu nie przychodzącym, byłaby bezwarunkowo nieważną; jak gdyby zestawione wyżej przepisy prawodawstw ogólnych, poczytywane były za tak dalece przestarzałe i nieodpowiednie, iż je modyfikować należy przy każdój sposobności. A tak przecież nie jest.

Zastrzeżenia, o których mowa, wchodzą bardzo wyjątkowo do ustaw, mających urządzić instytucje kredytowe, finansowe, przemy-

l'une ou de l'autre des parties contractantes de faire arriver ou d'empêcher.

Art. 1174 tegoż Kodeksu: toute obligation est nulle, lorsqu'elle a été contractée sous une condition *potestative* de la part de celui qui s'oblige.

słowe i handlowe, rozwijające się o własnych siłach bez pomocy budżetowych. Jakoż, w ogólnej regule, rozdział zysków i strat dla tych wszystkich spółek bezimiennych, określonym jest sprawiedliwie. Porównanie tychże spółek z towarzystwami dróg żelaznych, wykazuje więc drugiego rodzaju anomalię; tę mianowicie, że niesprawiedliwość rozdziału zysków i strat, dopuszczaną jest tam właśnie, gdzie powinny być jak najmniej spodziewaną, w tych właśnie spółkach które bez pomocy budżetowych obejść się nie mogą i których byt jest z interesem społeczeństwa tak ściśle związanym, że wszelkie przepisy tenże byt regulujące, poczytywać się dają za będące *ordinis publici*. Szukając na to przykładu w ustawach spółek bezimiennych istniejących w naszym kraju, nie napotykamy w żadnej z tychże ustaw zastrzeżenia nadającego założycielom prawo do wzięcia *al pari* akcji następnych emisji; renta założycielska zaś, i to w bardzo skromnych rozmiarach, weszła wyjątkowo jedynie do ustaw dwu towarzystw akcyjnych ¹⁾; gdy tymczasem obadwa te zastrzeżenia są w ustawach zatwierdzonych dla dróg żelaznych, które uczyniliśmy przedmiotem tych studyów.

Z prawdziwem przeto uznaniem zaznaczyć przychodzi, iż żadne z tych zastrzeżeń nie znalazło miejsca w 4-ch ustawach, zatwierdzonych dla tyłuż dróg żelaznych, na budowę których udzielone zostały w r. 1874 koncesye rządowe ²⁾; co znowu dozwala mieć nadzieję,

¹⁾ *Niéma renty założycielskiej*: w spółce przemysłowej: „Lilpop, Rau, Loewenstein” (§§ 48 i 49 ustawy zatw. 8 września 1873 r.); w *Warsz. Towarzystwie Kopalń węgla* (§ 44 ust. zatw. 12 lipca 1874), w *Towarzystwie Warszawskiej fabryki maszyn i narzędzi rolniczych* (§ 48 ust. zatw. 5 grudnia 1875), w żadnym z towarzystw fabryk cukru (§ 32 ust. *Dobrzelińskiego tow.* 9 sierpnia 1873 r., § 19 ustawy *Warsz. tow. fabryki cukru* z d. 27 listopada 1870 i t. d.), w żadnej z instytucji kredytowych, w ustawie *Warsz. Banku handlowego* (§ 61 ustawy zatw. d. 24 lutego 1870). *Jest zaś renta założycielska* zastrzeżoną w ustawie *Warsz. Tow. Ubez. od ognia* (§ 60 ustawy z dnia 1 maja 1870 r. przewyżka dywidendy nad 12⁰/₀ idzie na rzecz założycieli, nie może jednak przenosić 10⁰/₀ rocznego czystego dochodu. Renta ta ustaje z upływem lat 25 od dnia zatwierdzenia ustawy); jest także w ustawie *Warsz. banku dyskontowego* (zatwierdzonej 21 maja 1871 r.) z czystego zysku, jaki się wykaże po strąceniu wszelkich wydatków i strat, oblicza się 5⁰/₀ na kapitał zasobowy. Pozostałość, jeżeli nie przewyższa 8⁰/₀ od kapitału zakładowego, idzie na dywidendę dla akcyonaryuszów, jeżeli ta pozostałość przewyższa 8⁰/₀, to ta przewyżka rozdziela się w sposób następujący: 15⁰/₀ na korzyść założycieli lub nabywców ich praw. Obliczanie procentów przeznaczonych na korzyść założycieli, trwa tylko przez lat 30 od otwarcia czynności Banku (§ 68).

²⁾ §§ 44 i 45 ustawy z 22 lutego 1874 r. dla *Tow. Drogi żel. Nadwiślańskiej* i odpowiednio §§ ustaw dla dróg żelaznych *Fastowskiej*, *Orenburskiej* i *Urałskiej*.

że już na przyszłość żadna stypulacya, nadająca koncesyonaryuszom ową część lwia, nie zostanie do statutów spółkowych dopuszczoną.

A jednak, obiedwie te korzyści dla wielu koncesyonaryuszów były jeszcze niedostatecznymi; stawiały się bowiem na odleglejszym planie i od dłuższego czasu, tudzież od rozwoju eksploatacyi musiały być zawisłemi.

Jedną zaś z cech obecnego stulecia jest właśnie gorączkowość, z jaką ludzie ubiegają się za zyskiem natychmiastowym, w chęci natychmiastowego użycia, jak gdyby u kresu swych dni, nie mieli komu przekazać nabytej fortuny, lub jak gdyby nie nie chcieli zostawić dla następców.

Co zaś ważniejsza, ani renta założycielska, ani prawo do wzięcia akcji emisji następnych, nie ogarniały zysku na antreprzyzie budowy, owęj głównej pobudki ubiegania się o koncesyą, owych oszczędności, o jakich wyżej była mowa, a które i wedle ogólnego prawodawstwa i wedle statutów spółkowych zatwierdzanych przez rząd, są własnością samychże akcyonaryuszów. Wprawdzie założyciele, jak to powiedziano wyżej, mogli byli wprowadzać do tychże statutów zastrzeżenie pewnej tantiemy z tegoż zysku, jako wynagrodzenia za pracę dla towarzystwa niesioną i za kierownictwo interesu saméjże budowy:—tego rodzaju stypulacye byłyby nawet w zupełnej zgodzie ze sprawiedliwością i z przepisami kodeksów.

Droga ta przecież nie prowadziła koncesyonaryuszów do upragnionego celu, raz dlatego, iż wysokość tantiemy wypadłoby oznaczać z pewnem umiarkowaniem, chociażby dla przyzwoitości i względów na opinią publiczną; powtóre dlatego, iż każda, chociażby najwyżej oznaczona tantiema, pociągałaby za sobą obowiązek wydania akcyonaryuszom reszty zysku spółkowego, pozostającego po jój zaspokojeniu, a koncesyonaryusze mieli właśnie na celu cały zysk na antreprzyzie budowy zagarnąć, wyłączając wszystkich akcyonaryuszów od wszelkiego udziału w tymże zysku.

Że zaś nawet projektować było rzeczą niepodobną, a tém bardziej nie można się było spodziewać, iżby do ustaw spółkowych dopuszczonym został warunek, pozostawiający własność tych zysków właśnie temu, kto jednocześnie spółkę bezimienną w swe prawa i w swe obowiązki podstawił; nie pozostawało więc nic innego, jak o legalność już się więcej nie troszczyć, lecz działać tak, jak sama chciwość podyktuje. Weszła przeto do wszystkich ustaw spółkowych zasada, zgodna z przepisami prawodawstw, niepozabawiająca akcyonaryuszów żadnej korzyści, jaką im zapewnia charakter uczestników spółki bezimiennéj, a koncesyonaryusze niestypulując żadnej za swą pracę i starania tantiemy, całe oszczędności i zyski na budowie dróg żelaznych, zatrzymywali dla siebie po za prawem i pomimo prawa.

Nie zmieniło się więc nic pod tym względem od czasów Ezopa, a tak głośno podnoszony postęp ludzkości i zdobycze nauki, wiek XIX odznaczające, posłużyły raczej do łatwiejszego działania na dro-

dze spoliacy, podając zręczne środki obejście prawa akcyonaryuszom służącego.

W tym przeto celu, założyciel stając się prezesem towarzystwa akcyjnego przez siebie zakładanego, (co mówiąc nawiasem jest rzeczą bardzo naturalną i poniekąd konieczną), a więc mając główny kierunek interesu, uciekał się zwykle do symulacji, przybierającej rozmaite formy, zamiast iść drogą prostą, jasną i uczciwą. Albo porozumiewszy się z innymi członkami dyrekcji towarzystwa, sam od tegoż towarzystwa brał pod entrepryzę zabudowania drogi *à forfait*, za cenę oznaczoną w koncesyi, a tém samém żadnej dla akcyonaryuszów nie pozostawiał korzyści; albo dla uniknienia zarzutów lub w razie gdy litera ustawy towarzystwa zabrania takiego kontraktowania ze sobą samym, czynił to przez osoby podstawione, i wtedy pod ich imieniem szło do jego kieszeni to wszystko, co na rzeczonój cenie mogło być oszczędzonem i zarobionem. W innych znowu razach, prywatne z subantreprenierami i dostawcami umowy, zapewniały założycielowi zysk pod nazwą rabatu, komisu i t. p.

W każdym zaś przypadku, rachunki z budowy zestawiane są w taki sposób, iż na tém przedsiębiorstwie żadnego zarobku niema, i w ostatecznym rezultacie założyciel staje się owym lwem, inni członkowie dyrekcji towarzystwa lisami z bajki Ezopa, akcyonaryusze zaś.... porównywani są do stada Panurga.

A spotykają ich innego jeszcze rodzaju niespodzianki: zdarzało się np. że założyciel łącznie z kilkoma przez siebie przybranymi kapitalistami, rozebrawszy całą ilość wypuszczanych akcji, tworzył tak zwane *consortium* dla przedaży tychże akcji. Consortium to, za pośrednictwem pewnych środków giełdowych, podniósłszy kurs tych akcji o 20, 30 lub więcej nad sto, nadawało temu papierowi spekulacyjnemu szeroki w dziennikach rozgłos, a zapowiadając wielkie korzyści z przedsiębiorstwa budowy drogi lub z jój eksploatacji, znajdowało nie małą liczbę łatwowiernych, którzy się o nabycie tego papieru ubiegali. Akcye te, pozbawione zwykle udziału w zarobku na budowie drogi, musiały następnie tracić na kursie; jeżeli zaś obok tego, towarzystwo nie miało gwarancji rządowej, a więc nie było w możności płacić akcyonaryuszom zapowiedzianego procentu, strata na kursie stawała się wtedy znaczną i dotkliwą. Przekonywa o tém porównanie obecnego kursu akcji wielu dróg żelaznych w Europie z ceną, po jakiej też akcye w początkach zawiązania towarzystw były kupowanemi. W takich więc razach, założyciele oprócz zarobku na budowie drogi, bogacili się całą nadwyżką kursu akcji przez siebie rozsprzedawanych, a bogacili się z widoczną krzywdą tych, którzy ufając szumnym prospektom, mienie swe w nabycie akcji wkładali.

Nadużycia dobrej wiary i obejście tak przepisów ogólnego prawodawstwa, jak odpowiednich zastrzeżeń, troskliwie zamieszczanych w ustawach towarzystw akcyjnych, dochodziły nieraz do tego stopnia, że zaczęto już poczytywać za pewnego rodzaju zasługę, gdy założy-

ciel zagarnąwszy wszystkie zyski na budowie drogi, okazał przynajmniej tyle umiarkowania, iż ukończył budowę i otworzył ruch na drodze, bez potrzeby obciążania interesu długami, czyli gdy wystarczył kapitał oznaczony w koncesyi. W takim bowiem razie, zwłaszcza przy gwarancji rządowej, akcyonaryusze acz pozbawieni zarobku na interesie saméjże budowy, otrzymywali przynajmniej zwykły procent od włożonego kapitału. Położenie wprawdzie nie bardzo świetne: bo jakkolwiek kurs akcyi nie tak dotkliwéj ulegał wtedy obniżce, pod względem przecież korzyści akcyonaryusze stawać musieli na równi z wierzycielami towarzystwa (z posiadaczami obligacyi), nie otrzymując jednocześnie jednakowego z nimi bezpieczeństwa kapitału i pozostając zawsze pod wielolicznemi niebezpieczeństwami, na jakie uczestnik każdéj spółki bezimiennéj może być wystawionym. W takich przeto przypadkach akcyonaryusze mogli przynajmniej ocalić włożony przez siebie kapitał, nie byli więc krzywdzeni do takiego stopnia jak ci, którzy tracili większą część swych wkładów albo nawet ich całość. A i takie rezultaty dawały się dostrzegać w rocznikach spekulacyi kolejowéj.

Przytoczyliśmy wyżej, iż prawie każde przedsiębiorstwo budowy drogi za cenę oznaczoną w koncesyi, daje korzyść, gdy jest prowadzonym ze znajomością rzeczy. Jakoż, w obec obecnego rozwoju i ścisłości nauk służących za podstawę obliczenia rządowego, (mechaniki, matematyki, hydrauliki, geologii i t. d.); obliczenie to jest zawsze dokładnym, wystarczającym na zbudowanie drogi, chociażby ją w kierunku przez inżynierią rządową projektowanym prowadzić przyszło. Nadzwyczajne wypadki, jak np. długo trwająca wojna lub silna zaraza dziesiątkująca ludność i wywołująca znaczne podrożenie robocizny; wielkie przesilenia piéniężne, pogorszające warunki umieszczania obligacyi, lub podnoszące ażo monety zagranicznéj, którą za obstalunki płacić trzeba, i co najwięcej, źle wybrane miejsca dla tunelów lub nieumiejętne prowadzenie robót pod ziemią, mogłyby tłumaczyć brak funduszu przeznaczanego na koszt zbudowania drogi. O braku przecież akcyonaryusze dowiadują się częściej niżby to przypuszczać należało, mianowicie zaś zawsze, ilekroć chciwość założycieli towarzystwa nie umie zakreślić dla siebie granicy, i gdy oni zaraz na pierwszych kategoriach robót, zbogacali się tak niepomniernie, iż wyczerpali kapitał, nie zostawiając żadnego funduszu na dokończenie budowy. Towarzystwo musi w takich razach, albo zaciągnąć pożyczkę, a więc obciążyć nią swój zakładowy kapitał, czyli zmniejszyć wartość wypuszczonych przez siebie akcyi, albo ogłosić swą upadłość. I wtedy dopiéro podnosiły się skargi i zarzuty ze strony akcyonaryuszów, nie umiejących najczęściej dać sobie rady i dla tego najczęściej bezowocne. Zbogacony zaś założyciel, używając spokojnie owocu swéj *zręczności*, wiedział, że co najwięcej na téj lub owéj giełdzie powiedziano o nim językiem delikatnym, iż ze swymi akcyonaryuszami postąpił *niedelikatnie*, pocém całą tę historią

puszczono w zapomnienie. Surowsza nazwa, z języka uczciwych ludzi zapożyczona, byłaby tu zaiste właściwszą!

III.

Metoda postępowania założycieli towarzystw akcyjnych, w poprzednim opowiedziana rozdziale, przestała być dla publiczności tajemnicą, w obec gorszących spraw, rozwijających się od pewnego czasu przed sądami różnych krajów. Dziwić się nawet można, że tu i owdzie znajdują się jeszcze nieogledni, biorący akcje bez dokładnego rozpatrzenia warunków przedsięwzięcia i bez przeświadczenia, czy założyciel towarzystwa, obok znajomości przedmiotu, jest dość na to uczciwym, aby się zarobkiem z akcyonaryuszami sprawiedliwie podzielił. Przystępowanie bowiem do towarzystwa bez nadziei udziału w zyskach na budowie drogi, nietylko niema żadnego celu, ale nawet cechuje zupełną bezmyślność; kto bowiem dla swych pieniędzy szuka lokacyi, zapewniającej dany procent, ten mając do wyboru tyle pewnych papierów lokacyjnych, powinien stronić od papierów spekulacyjnych, jakimi są właśnie akcje dróg żelaznych, nie będących jeszcze w eksploatacyi, a tém bardziej dróg jeszcze nie zbudowanych. Jeżeli więc pomimo tylu przykładów, ten lub ów rzuciwszy lekkomyślnie swe zasoby w interesa, których nie zna i od których powinięby stronić, bezmyślnie lézie w błoto; jest to fakt bezwątpienia smutny, ale niezastęgujący na współczucie i nie wywołujący uwag ogólnych, tak samo jak nie budzą politowania zgrywający się na giełdzie, do której to gry, sam fakt tracenia na akcyach dróg żelaznych ma wiele podobieństwa. Nie czynilibyśmy więc żadnego na ten przedmiot nacisku, gdyby sam fakt, obok straty akcyonaryuszów, nie miał odwrotnej strony medalu, sięgającej głęboko w życie społeczne, i gdyby ona na ogół nie odziaływała szkodliwie. Tą zaś odwrotną stroną medalu, jest właśnie owa spoliacya dokonywana *coram populo* przez założycieli towarzystw akcyjnych. Podkopuje ona przedewszystkiē zdrowe zasady ekonomiczne, podając je w wątpliwość u mas ludności, a co gorsza podsycając tak zwaną walkę z kapitałem, dopomaga do burzenia harmonii społecznej. Nauka na jednej stawia linii *kapitał* i *prace*, jako czynniki wszelkiej produkcji i wszelkiej działalności ekonomicznej, i przyznaje *równą* użyteczność obudwum tym czynnikom ¹⁾. Każda więc społeczność starać się powinna nietylko o rozwój pracy, ale jednocześnie i o pomnażanie kapitału, by w dziedzinie

¹⁾ W nauce ekonomii społecznej, kapitał ma znaczenie bardzo obszerne: „nous appelons *capital* tout produit conservé pour servir à la production,” mówi Roscher (Tom I § 42, przekład Ludwika Wołowskiego). Nazwa ta ogarnia więc i pieniądze (złoto, srebro, bilety bankowe i t. p.), będące żywotnym narzędziem wszelkiej zamiany i zarazem jedną z postaci kapitału, pojmowanego w znaczeniu ekonomiczném.

ekonomicznej utrzymać zawsze równowagę pomiędzy obudwoma czynnikami. Zamią ją bogacze, ilekroć usiłują nadać przewagę kapitałowi nad pracą; co im znowu przychodzi najłatwiej, za pomocą każdego przywileju i każdego monopolu, mającego tę właśnie cechę, iż daje możliwość krzywdzenia słabszych i wyzyskiwania ogółu. Ta krzywda jest początkiem i przyczyną często ponawiającej się walki przeciwko kapitałowi; inaczej bowiem stanowisko posiadaczy tegoż kapitału musiałyby zawsze zachować to uznanie ogółu, jakie się przynależy każdemu, mającemu w ręku jeden z czynników pracy zbiorowej i wprowadzającemu tenże czynnik w działalność.

Walka na jakiémbyż polu przeistacza się zwykle w namiętność dochodzącą do takich rozmiarów, że zamiast w nadużycie, uderza w nadużywających. Walczący przeciwko przewadze kapitału nie postąpili inaczej; powstały więc systemata i teorye, pod hasłem *śmierć kapitałowi* niosące wojnę tam, gdzie właśnie potrzebny największy spokój i nienaruszona harmonia na polu produkcyi ekonomicznej. Te i tym podobne mrzonki socjalizmu i komunizmu nie są bez wątpienia zdolnemi obalić zdrowych zasad społecznych i kapitał pozostanie zawsze jak dotąd owym czynnikiem dla wszelkiego rozwoju użytecznym i koniecznym; roznoszą jednak błędne o rzeczy pojęcia i jak powiedzieliśmy, zakłócają ową harmonią społeczną.

Prostowanie takich pojęć należy przeto do rzędu istotnych zadań całego społeczeństwa; tém więc bardziej jest ono w obowiązku stojąc na straży sprawiedliwości zapobiegać, aby się nie działa nikomu krzywda, podkopująca zaufanie do zdrowych zasad i pomnażająca szeregi niechętnych. Otóż i sam fakt straty, dotyczącej tych, którzy acz z chęci zysku w wir spekulacyi pociągnięci, niemniej jednak pozabawiani są skromnych zasobów, a często jedynych swych oszczędności i sama metoda postępowania tych znowu, którzy za pomocą zrzęczości i przewagi jaką im daje kapitał i stanowisko w towarzystwie akcyjnym, wszystkie korzyści zatrzymują dla siebie, są to rzeczy konieczne podkopujące zaufanie do sprawiedliwości a tém samym przeistaczające się w broń w owęj walce podnoszonej przeciwko kapitałowi. I pod tym właśnie względem spoliacya ta jest dla całej społeczności szkodliwą.

Jest ona przecież jeszcze szkodliwszą dlatego, iż udaremniając skutek ustaw i przepisów prawodawczych, osłabia zarazem wiarę w moc i siłę praw krajowych; i w téj więc dziedzinie, doprowadza znowu umysły do zupełnej anarchii. Odróżnianie tego *co moje, a co twoje*, będąc jednym z ważniejszych zadań życia, jest punktem wyjścia każdego prawa pisanego, w którego przepisach i zasadach powinna znajdować najbliższy swój wyraz. Ilekroć więc wbrew tymże ustawom i przepisom ponawiają się czyny temu zadaniu przeciwne i spoliacya prawie publicznie na wielką dokonywa się skalę, musi wtedy powstać w umysłach ludzkich zamęt i zwątpienie o sprawiedliwości rzeczonych ustaw a nawet o samych podstawach istniejącego porządku.

ku społecznego, poczytywanych przez ogół za złe a przynajmniej bezsilne.

Najszkodliwiej wszakże oddziaływa ta spoliacya na moralność publiczną. Widząc jakimi to szlakami chodzą założyciele towarzystw akcyjnych i nabierając przeświadczenia, iż ich czyny, acz sprawiedliwości, prawu, a nawet najprostszej uczciwości przeciwnie, nie tylko przechodzą bezkarnie, ale nawet w opinii publicznej zasłużonego nie spotykają potępienia; ten i ów traci bezwiednie poczucie tego, co jest godziwem a co niegodziwem i we wszystkich swych pojęciach o zasłudze i cnocie, widzi się naraz całkowicie zachwianym. Że zaś takiemu psychologicznemu wpływowi ulega zwykle bardzo wielka liczba umysłów, wynika ztąd koniecznie obniżenie poziomu moralności publicznej i społeczeństwa, w których łonie pojawiają się podobne fakta, nie mogą już być w stanie pełnego zdrowia.

W innych czasach, na wyżynach społeczeństwa widywano mężów długoletniej zasługi dla kraju i ani dziwiono się, ani spoglądano z zawiścią na majątki lub odznaczenia, jakimi toż społeczeństwo, nagradzało ich u kresu służby publicznej a chociażby i wcześniej, w razach świetnych czynów na polu bitwy, lub wyjątkowo pożytecznej działalności w radzie, w sądzie, albo w administracyi kraju. Takie odznaczenia i nagrody, stając się też zachętą do pracy około dobra publicznego, musiały wpływać dodatnio na moralność ogólną. Wprost przeciwnego na masy ludności wpływu oczekiwać należy z przykładu spanoszonych gründerów, bryzgających w oczy tłumom najjaskrawszym przepychem, i rzucających na prawo i lewo złotem, nabytém za pomocą opisanych wyżej sposobów. Ten przepych i to złoto, otwiera im wstęp wszędzie i napelnia ich salony ludźmi dającymi najczęściej ton nietylko pojedynczym koteryom, ale stolicom, za którymi zwykle idą całe kraje. A chociaż ten lub ów pojąć nie może, czém tak dalece zasłużył się ogółowi spekulant, który za kapitały dostarczone sobie przez tenże ogół i przy pomocach budżetu krajowego, zbudował lepiej lub gorzej drogę żelazną, od zarobku zaś na antrepryzie téj budowy usunąwszy własnych swych współników, zarobek ten zagarnął; chociaż ten lub ów bezskutecznie usiłuje znaleźć podobieństwo, a chociażby jaki taki stosunek między mężami rzeczywistej zasługi dla kraju, a rzeczonymi gründerami, przywdziewającymi na siebie takież same co tamci gwiazdy i wstęgi; to znowu, nietylko tłumy, ale nawet umysły mniej zastanawiające się nad faktami społecznymi (a takich właśnie jest wszędzie najwięcej), biją czołem przed tegoczesnymi potęgami i bezwiednie przyswajają sobie ową osławioną maksymę: jakoby każdy środek był dobrym i godziwym.

Wiedziano także dawniej, że majątek jest wszędzie podstawą pewnego na otaczających wpływu, ale pytano przedewszystkiém o źródło i sposób nabycia tego majątku. Nie dziwiono się więc temu, że długoletnia praca i oszczędność wydaje owoce; ale prawe serca i umysły oburzały się przeciwko tym, na których ciążyły łyzy ludzkie

lub cudza krzywda. Każda praca i każda działalność, czy to w handlowej czy w przemysłowej dziedzinie, poprzestająca na godziwym zarobku i nieprzywłaszczająca sobie korzyści, jakie komu innemu przynależą, godną jest pełnego uznania i poszanowania. Nie mogłyby więc dziwić wszelkie, chociażby najszersze, odznaczenia, niesione temu, ktoby własnymi środkami, bez pomocy budżetu krajowego, drogę żelazną zbudował. Dzieło to, musiałyby być poczytanem za zasługę publiczną, tém pożyteczniejszą dla ogółu, im większe swemu twórcy przynosiłoby dochody; wysokość ich bowiem byłaby właśnie miarą użyteczności zbudowanej drogi. Nie możnaby także odmawiać uznania temu, kto otrzymałszy koncesyją i pomoc budżetową na budowę drogi, wywiązał się z zadania sumiennie, mianowicie zaś, wykonał budowę dobrze i trwale i ukrytych korzyści na tém przedsięwzięciu nie szukał, ale wykazując cyfrę całego zarobku, podzielił się nim ze swymi akcyonaryuszami, chociażby z tego podziału przypadła dlań znaczna suma, odpowiednia wielkiej ilości zapłaconych przezeń akcji. I działanie i podział, byłyby wtedy najściślej sprawiedliwymi.

Każdego przecież gorszyć muszą te olbrzymie fortuny gründarów, wyrastające jak grzyby, nagle i jednocześnie z utratą całości a chociażby i części funduszu, włożonego przez akcyonaryuszów w przedsięwzięcie, które dla nich fatalne, dla jednego tylko założyciela towarzystwa wypadło pomyślnie. A właśnie, takie rezultata są na kontynencie powszedniemi, nie wywołującemi już, nietylko zgorzenia, ale nawet i zadziwienia.

Czy powyż opisane prawo akcyonaryuszów zostało uszanowaniem przez koncesyonaryuszów czterech dróg żelaznych w Królestwie, postaramy się zbadać w następnych rozdziałach; przedewszystkiem wszakże objaśniamy, że w kwestyi, jaka nas w tém miejscu zajmuje, pierwszych subskryptorów akcji zawiązującego się towarzystwa, należy mieć głównie na oku.

FILOZOFIA SPINOZY I DZISIEJSZY PANTEIZM.

PRZEZ

Dra M. Straszewskiego.

Z dniem 23 miesiąca lutego upłynie w bieżącym roku lat dwieście, jak w holenderskiem mieście Hadze rozeszła się wieść o śmierci

ci człowieka, którego imię znane dobrze mieszkańcom Hagi, otaczała dziwnego rodzaju aureola. Wymawiano je wprawdzie ze czcią i uszanowaniem, ale zawsze z pewnym rodzajem wstrętu i bojaźni. Człowiek ten mieszkał w domu malarza von der Spyck. Gospodarstwo i domownicy uwielbiali jego słodycz charakteru, jego swobodę umysłu i spokój w cierpieniach, jego rozum i ewangeliczny prawie sposób życia. Ci, co go nie znali bliżej, wiedzieli o nim jednak, że był żydem wyklętym i wyrzuconym z gminy przez współwyznawców swoich w Amsterdamie, słyszeli o jego wielkiej mądrości i sławie naukowej; nietajnym było bowiem w mieście, że najznakomitsi owego czasu uczeni zatrzymywali się umyślnie w Hadze, aby go poznać, a księżęta wabili go na dwory swoje i ofiarowali mu katedry uniwersyteckie. Nie mało téż dziwili się wszyscy, że ten szczególny człowiek o to wszystko nie dbał, i że mogąc obfitować w dostatki, żył w ubóstwie, w nędzy prawie, sam zarabiał na utrzymanie swoje, a oddany był wyłącznie rozmyślanii i pracom naukowym. Pomimo tego jednak, nie jeden z mieszkańców Hagi ostrożnie oglądał się, wymawiając imię tego wyklętego żyda, tego cichego myśliciela, a to z obawy, aby nie był posądzonym o bliższe z nim stosunki; uchodził bowiem powszechnie Baruch de Spinoza za największego ateusza, bezbożnika i bluźniercę, jakiego kiedykolwiek ziemia nosiła.

Cóż mogło być powodem do wytworzenia się tak surowej, a tak niebezpiecznej w owych czasach opinii o człowieku, którego życie było tak ciche i tak bez skazy?

Baruch de Spinoza potomek portugalskiej żydowskiej rodziny, która chroniąc się przed prześladowaniem religijnym, osiadła w Amsterdamie, urodził się w roku 1632. Przeznaczony przez rodziców swoich na rabina, uczył się od lat najmłodszych do szkół rabińskich i kształcił się pod kierunkiem jednego z najslawniejszych uczonych talmudzystów, nazwiskiem Levi Mortejra. Zgłębiwszy całą literaturę Starego Testamentu i talmudu, przeszedł do studyów nad średnio-wiecznymi żydowskimi filozofami i nad *Kabbalą*. Ale ani talmud, ani fantastyczna Kabbala nie zdołały zadowolnić jasnego a chciwego widzy umysłu Spinozy. On pragnął, jak powiada Kuno Fischer, poznać Boga i Naturę; judaizm zaś nie zdołał zaspokoić tego pragnienia. Zwrócił się przeto młody Spinoza w inne strony i zamiast zostać rabinem, zaczął stopniowo oddalać się od judaizmu. Spostrzegli to nauczyciele jego, a usiłując zażegnać grożące gminie niebezpieczeństwo z odstępstwa tak zdolnego członka, różnych ku temu używali środków. Ale Spinoza nie chciał zaprzeczyć się przekonań swoich; przyszło więc w roku 1656 do katastrofy: dnia 27 lipca rzucono nań wielką klątwę w amsterdamskiej synagodze, a władze rządowe uproszone przez rabinów, zakazały mu surowo pobytu w mieście rodzinnym. Od tego czasu mieszkał Spinoza w zaciszu zdala od Amsterdamu, najpierw na wsi u jednego z przyjaciół swoich, potem w miasteczku

Voorburg, a nareszcie w Hadze, gdzie w roku 1677 życia dokonał, piersiową zgnębioną chorobą.

Kłątwa żydowska wycisnęła jaskrawe piętno swoje na całym życiu Spinozy. Nie tłumaczy nam ona jednak powszechniej o nim opinii bezbożnika. Społeczeństwo chrześcijańskie mogło w kłątwie żydowskiej widzieć raczej zasługę Spinozy. Ale Spinoza będąc wyklętym żydem, nie przyjął żadnej innej religii. To musiało się już w owych czasach wydać podejrzanem. Gdy zaś do podejrzenia tego dodano wieści, że Spinoza szerzy potajemnie między przyjaciółmi swymi nową filozofią, w której świat cały i naturę nazywa Bogiem, duszy ludzkiej odmawia nieśmiertelność i wolność, a odrzuca powagę Objawienia i Pisma Świętego; gdy nadto doszło do wiadomości ogółu, że Spinoza jest autorem osławionego dzieła p. t.: *Traktat teologiczno-polityczny*, książki, która wyszła bezimiennie w roku 1670; wtedy nazwa ateusza nadawana mu zyskała powszechną sankcyą. Za życia szanowano przynajmniej osobiste cnoty i charakter Spinozy. Po śmierci zatarta się jednak pamięć osobistych przymiotów, pochwycono natomiast jego wielkie pośmiertne dzieło, to jest *Etykę* i odtąd imię i pamięć Spinozy stały się jeszcze w wyższym stopniu przedmiotem wzgardy i wstrętu. „Nosił na czole piętno potępienia,” pisze o nim prawie współczesny Menagius. A blisko w sto lat później, Lessing odzywa się do Jakobiego, że „ludzie zawsze jeszcze mówią o Spinozie, jak o psie zdechłym” ¹⁾. Życie jego i śmierć zohydzono najrozmaitszemi baśniami. Wspomniany wyżej Menagius utrzymuje, że Spinoza uciekłszy z Francyi, gdzie chwilowo przebywał, umarł ze strachu przed Bastylią. Według innych znowu pogłosek, miały go dręczyć na łożu śmiertelnem najstraszniejsze wyrzuty sumienia, tak że z obawy przed śmiercią upoił się sokiem mandragory. Pewnemu uczniowi Thomasiusa nazwiskiem Stolle, opowiadał jeden z mieszkańców Hagi, że Spinoza miał nadużywać trunków i różnych innych rozkoszy; że skutkiem tych nadużyć umarł ²⁾. Nakładca pism Spinozy i jego przyjaciel Rieuvertz narzeka, że nikt już prawie w Holandyi pism Spinozy nie ceni, „gdyż, ilu miał wielbicieli, to wszyscy w dziesięć lat po jego śmierci gdzieś się podzieli” ³⁾. A w roku 1700 wydaje po raz wtóry pewien profesor zreformowanej teologii, nazwiskiem Chrystyan Kortpolt, pismo pod tytułem *De tribus impostoribus magnis* (O trzech wielkich szalbierzach, to jest o filozofach Herbercie, Hobbesie i Spinozie), w którym z oburzeniem mówi, że Spinoza powazył się przybrać imię Benedykta (w miejsce hebrajskiego Baruch). „Należałoby go nazwać raczej Maledictus, pisze; ciernista bowiem

¹⁾ F. H. Jacobi Ueber die Lehre des Spinoza. In Briefen an den Herrn Moses Mendelssohn Leipzig 1785.

²⁾ Zob. Hugo Ginsberg. Einleitung zur Etitik des Spinoza. Leipzig 1875 str. 20.

³⁾ Tamże str. 23.

skutkiem boskiego przekleństwa ziemia (*spinosa terra*), nie nosiła nigdy człowieka bardziej przeklętego od tego Spinozy, którego dzieła tyłoma najeżone są kolcami“ (*spinis*). Nawet skeptyczny Bayle w swoim dykcyonarzu historyczno-krytycznym i bestronny Colerus, pierwszy Spinozy biograf, pełen podziwu dla jego cnót i wielkości charakteru, obaj nie mogą wstrzymać się od potępienia „ateusza“ Spinozy. Colerus nie znosi, aby mu dawano po śmierci przydomek „świętej pamięci.“ Z powodu, iż pewien golarz i krawiec w Hadze zgłosili się po swoją należytość, którą im, jak się wyrazili „świętej pamięci pan Spinoza pozostał winien,“ pisze Colerus: o gdyby ci dobrzy ludzie byli wiedzieli, jakie to religijne przekonania miał ten Spinoza, toby pewno nie byli użyli tak lekkomyślnie wyrazu „świętej pamięci“¹⁾. Biografia Colera najdokładniejsza i najwięcej bezstronna nie pozostawia przeto najmniejszej wątpliwości, iż jedyną przyczyną, która sprowadziła potępienie i wzgardę na imię Spinozy, były jego filozoficzne prace i poglądy. Nie szły one w parze do tego stopnia z panującym duchem czasu, były wstrętne tak dalece społeczeństwu przejętemu nawskroś jeszcze zasadami wiary i religii chrześcijańskiej, że z nich padł także cień i na osobę samegoż myśliciela.

Sto lat z górą pokrywał imię Spinozy ten cień powszechnej prawie wzgardy i wstrętu. W Niemczech pierwszy dopiero Lessing ośmielił się wystąpić w obronie sponiewieranego myśliciela. Niezadowolony z leibnicowskiego pojęcia stosunku Boga do świata, nie mógł on wyobrazić sobie inaczéj rzeczywistego bytu świata jak tylko w Bogu i wystąpił w obronie pojęcia wszechjedności Spinozy przyjmując otwarcie *Ἐν καιπᾶν* za godło swojej filozofii²⁾. Obrona Spinozy była jednak w owych czasach czémś tak śmiałym, tak niezwykłym, iż posądzono Lessinga o Spinozyzm czyli (wówczas znaczyło to samo) o ateizm. Wywiązała się nawet z tego powodu żywa polemika między Jakobim a Mendelssohnem, która znacznie przyczyniła się do nadania szerokiego rozgłosu imieniu i filozofii Spinozy.

Pobudzony przez Lessinga wystąpił Herder śmielój jeszcze. Zaprzeczył on wprost, jakoby Spinoza był ateuszem i dopatrzył się u niego najczystszeo i najwznioślejszeo pojęcia Istoty Boskiej, na jakie tylko człowiek zdobyć się może³⁾. Do Lessinga i Herdera przyłączył

¹⁾ La vie de B. de Spinoza tirée des écrits de ce fameux philosophe et du témoignage de plusieurs personnes dignes de foi qui l'ont connu particulièrement par Jean Colerus; à la Haye 1706. Zob. Gfroerer, Corpus philosophorum. Stuttgart 1830, tom III str. LXIII.

²⁾ Ueber die Wirklichkeit der Dinge ausser Gott. Lessing's Werke 18 str. 327. Berlin. G. Hempel.

³⁾ Gott. Einige Gespräche über Spinozas System Herders Werke 18 Berlin. G. Hempel.

się także Goethe, którego potężny umysł skłaniał się zawsze ku panteistycznemu na świat pogładowi ¹⁾.

Filozofia Spinozy zaczęła wreszcie do tego stopnia zachwycać niemieckie umysły, iż nawet Jakobi, ten sam Jakobi, który Lessingowi wytykał Spinozizm i który oparty na Objawieniu i Wierze był Spinozy największym przeciwnikiem, utrzymuje, nie mogąc w rozumowaniach jego żadnego wykryć błędu, że wszelka czysto rozumowa filozofia musi prowadzić do Spinozizmu i w takich o jego twórcy odzywa się słowach: „O bądź mi błogosławionym, ty wielki, nawet święty Benedykcie! w jakikolwiek sposób rozmyślałeś nad naturą Najwyższej Istoty; jakkolwiek pomyliłeś się w słowach, to przecież Jego prawda była w twój duszy a Jego miłość twém życiem ²⁾).

W XIX stuleciu wzmożło się jeszcze w wyższym stopniu podziwienie dla imienia Spinozy i jego filozofii a dzisiaj po latach dwustu oblewa je dziwnie jasne światło sławy i powszechnego w świecie uczonym uwielbienia. Dostyc powiedzieć, że uczony świat dzisiejszy przejęty jest tak wielką czią dla geniuszu Spinozy, iż postanowiono obchodzić uroczystie pamiątkę dwóchsetnej rocznicy jego zgonu i zamierzono wznieść dlań pomnik w Hadze, gdzie ostatnie lata życia przepędził.

Utworzony w tym celu międzynarodowy komitet, w którego skład weszło wielu najznakomitszych uczonych, ogłasza gorące odezwy a składki przyływają ochoczo ze wszystkich stron świata.

Aureola opromieniająca dzisiaj imię Spinozy nie zastanawiałaby nas wcale, gdyby była podobną do téj, jaka otacza imiona i innych wielkich filozofów. Jeżeli ze czią i uwielbieniem wspominamy imię Platona, Arystotelesa, Seneki, dlaczegóż nie mielibyśmy uczyć także i imienia Spinozy? Można nie zgadzać się z nim, można nie uznawać jego wyników i widzieć jego błędy; ale należy zawsze uchylić czoła przed potęgą myśli, która do najszczytniejszych wyżyn ducha wzniesić się potrafiła. Uważny jednak badacz dzisiejszego ruchu umysłowego łatwo dostrzeże, że aureola otaczająca w naszym wieku imię i filozofią Spinozy, znacznie różni się od sławy innych filozofów, a podobną jest bardzo do téj, która otaczała imię Arystotelesa w wiekach średnich. Spinoza uwielbiany jest przez dzisiejszych uczonych i filozofów, nie tylko jako wielki myśliciel, ale jako myśliciel, którego system zawiera w sobie rdzeń *prawdy filozoficznej*. Pojęcia jego i myśli, w najrozmaitszy obrabiane sposób, są dzisiaj wspólnym gruntem, na którym różne spotykają się kierunki, a co jest rzeczą najciekawszą, że każdy kierunek widzi w nim to, co widzieć pragnie.

Schelling nazywa go szczęśliwym geniuszem, pierwszym filozofem, który wykrył pojęcia mogące służyć za podstawę do silnego

³⁾ Zob. Goethe's Werke 23. Berlin Hempel. (Dichtung und Wahrheit) IV str. 7.

⁴⁾ Zob. A. von der Linde Spinoza. Göttingen 1862 r. str. 197.

utwierdzenia obydwu końców naszej wiedzy; Hegel utrzymuje, iż wszelka prawdziwa filozofia musi być Spinozyzmem, dodając, że nie ma wyższej i szczytniejszej moralności nad moralność Spinozy.

Mniejsza jednak o Schellinga i Hegla, wszak nie trudno dopatrzeć się na pierwszy rzut oka pewnego pokrewieństwa między ich systemami a filozofią Spinozy. Ale kiedy nie tylko transcendentalna filozofia niemiecka widzi w Spinozie źródło najwyższej i prawdziwej mądrości; to samo upatrują w nim z jednej strony teologowie protestantcy a z drugiej dzisiejsi materyaliści i przyrodnicy. Tamci mają go za teistę najczystszej wody, ci zaś znowu za ojca prawdziwie nowoczesnego materializmu. Oto jak się wyraża o nim Schleiermacher, ten filozof w głębi uczuć swoich tak religijny, ten reformator protestanckiej teologii: „Pozwólcie mi ofiarować jeden jeszcze splot włosów ceniom świętego wzgardzonego Spinozy. Jego przeniknął wielki duch świata, nie-skończoność była jego początkiem i końcem, wszechświat jego jedyną wieczną miłością, pełen religii był on i pełen Ducha Świętego i dlatego stoi przed nami sam jeden, jako niedościgniony mistrz w swój sztuce, wyższy nad wszystkich, bez uczniów i bez prawa obywatelstwa ¹⁾).

Natomiast Feuerbach znowu, który z ucznia Hegla stał się ojcem dzisiejszego materializmu ogłosił Spinozę „Mojżeszem nowoczesnych wolnomyślicieli i materyalistów ²⁾).

Pozytywista Lewes nazywa go wielkim między największymi filozofami ³⁾), nowoczesnym Arystotelesem, a jeden z najmłodszych epigonów niemieckiej filozofii przyrody, chroniący się pod skrzydła Haeckla i Darwina, Ludwik Noiré wyznaje z uniesieniem, że prawdziwą myśl nowożytną filozofii wypowiedział dopiero Baruch Spinoza, ten największy umysł filozoficzny od czasów Arystotelesa ⁴⁾).

Tenże sam autor zaś na inném miejscu przypuszcza, że Spinoza tylko przez hipokryzją t. j. aby u współczesnych nie wywołać zbyt wielkiego zgorznięcia, zatrzymał pojęcie Boga w swojej filozofii ⁵⁾).

Śpiewanych na podobną nutę hymnów pochwalnych moglibyśmy bardzo wiele naliczyć; nie zabrakłoby nam nazwisk filozofów, teologów i przyrodników, gdybyśmy chcieli postać Spinozy otoczyć poważnym orszakiem palących wspólnie na cześć jego kadzidła pochwał i frazesów. Ale nam idzie o co innego. Wybierając najwybitniejszych przedstawicieli sprzecznych napozór kierunków, mieliśmy na myśli nie apoteozę Spinozy ale współczesny nam ruch w dziedzinie filozofii. Jeżeli idealizm niemiecki, który swój świetny i samodzielny rozwój

¹⁾ Schleiermacher. Ueber die Religion. Reden an die Gebildeten unter ihr Verächtern. 6 Aufl. Berlin 1859 r. str. 47.

²⁾ Feuerbach. Philosophische Kritiken und Grundsätze, str. 290 S. W. II.

³⁾ G. H. Lewes. Geschichte der neueren Philosophie. Berlin 1876 r.

⁴⁾ Der monistische Gedanke von Ludwig Noiré Leipzig 1876 r. str. 7.

⁵⁾ Tamże str. 306.

rozpoczyna z Leibnicem a więc z antytezą Spinozizmu, dochodzi ostatecznie do wyznania, iż alfą i omegą wszelkiej filozofii jest system Spinozy; jeżeli dalej teologia protestancka, która pierwotnie tak namiętnie przeciw Spinozie występowała, widzi w nim teraz nie szalbirza ale świętego prawie proroka i apostoła; jeżeli wreszcie dzisiejszy materializm, pozytywizm i w ogólności dzisiejsza filozofia nauk przyrodniczych, która chlubi się pogardą wszelkiej metafizyki, przed tym jednym metafizykiem kornie chyli czoło uznając myśli jego za swoje: to przecież ta filozofia Spinozy dziwnie musi odpowiadać filozoficznym dążnościom naszego wieku, to musi ona posiadać pewne cechy, które będąc wspólną własnością panujących obecnie w świecie umysłowym kierunków, wskazują im system filozoficzny Spinozy jako gwiazdę przewodnią dzisiejszego ruchu umysłowego.

Wnioski te nasunęły nam myśl niniejszej pracy. Rozpatrzyć się w zasadniczych pojęciach filozofii Spinozy, zbadać czynniki, które na powstanie tego filozoficznego na świat poglądu złożyły się, wysledzić w dalszym ciągu jego wpływ na rozwój nowożytnej filozofii i wykazać w końcu zasadnicze pokrewieństwo między myślami Spinozy a panującymi w naszym stuleciu filozoficznymi kierunkami: oto cel, któryśmy sobie wytknęli. W pracy tak pojętej pragnęlibyśmy wyjaśnić powstanie nowożytnej a tak potężnej dzisiaj panteistycznej filozofii, równocześnie zaś sprowadzić do jednego mianownika jej różnorodne napozór kierunki, wykazujące iż one wszystkie tkwią w Spinozynie.

Obok tych mamy jednak i inny jeszcze wzgląd na oku.

Spinoza uchodzi powszechnie za ucznia Kartezjusza, za ucznia, który jedynie tylko myśli mistrza swego do ostatecznych doprowadził konsekwencji. Tymczasem wydobyte w ostatnich latach z zapomnienia a częścią nowoodkryte nieznane dotąd prace i listy Spinozy, rzuciły nowe światło tak na postać samego myśliciela, jako téż i na jego filozofią. Pokazuje się, że nie sam Kartezjusz ale i inne jeszcze czynniki wpłynęły na powstanie systemu Spinozy, który w głównych zarysach dojrzał był już w jego głowie, zanim Kartezjusz mógł nań wywrzeć wpływ stanowczy. Dawniejsi krytycy Spinozy zwracali wprawdzie uwagę na związek zachodzący między jego filozofią a judaizmem, ale czynili to w celach nienawistnej polemiki swojej¹⁾, późniejsi zato nie uwzględniali prawie całkiem tego faktu, że Spinoza był żydem i w żydowskich pierwotnie kształcił się szkołach. Jakkolwiek zerwał on później z judaizmem, to czyż można przypuścić, aby był w stanie wypruć z umysłu swego wszelki ślad filozoficzno-religijnych pojęć żydowskich w tej formie, którą one przybrały po rozprószeniu się żydów po

¹⁾ Najbezsronniej stosunkowo rozbiiera tę rzecz Joh. Wachter w dziele: „Der Spinozismus im Judenthum oder die von dem heutigen Judenthum und dessen geheimer Kabbala vergottete Welt von Mose Germano sonsten Joh. Peter Speeth von Augsburg gebürtig befunden und widerlegt. Amsterdam 1699.

świecie. Z jednej przeto strony judaizm a z drugiej znowu rozkwitające wówczas nauki przyrodnicze i włoska filozofia przyrody wywarły na umysł Spinozy wpływ potężny. I tu właśnie należy szukać rozwiązania zagadki Spinozizmu, rozwiązania dla nas dzisiaj nader pouczającego. Obeznac czytelników z temi nowemi na filozofią Spinozy poglądami, oto także jedno z zadań niniejszej pracy naszej.

L I S T Y

TADEUSZA BUŁHARYNA DO JOACHIMA LELEWELA.

OD 1821 DO 1830 ROKU.

Podając te listy z autografów, udzielonych nam przez szanownego Prota Lelewela a brata wielkiego historyka, musimy dla objaśnienia, przypomnieć tak ich autora, jak i czasy, w których były pisane.

Tadeusz Bułharyn urodził się na Litwie 1789 r., kształcił się w korpusie kadetów w Petersburgu, a następnie w r. 1807 jako oficer wojsk rosyjskich odbył kampanią. Uwolniony w r. 1809 udał się do Francji. Wszedłszy do armii polskiej Księstwa Warszawskiego, bił się w Hiszpanii. Zajmujące są jego *wspomnienia* z téj epoki, które wydał w r. 1823. Podzielał losy wielkiej armii i krótkiej niewoli pruskiej; wróciwszy do Wilna, poświęcił się literaturze polskiej, zasilając ówczesne pisma peryodyczne to wierszami, to artykułami humorystycznymi. Od r. 1819 przeniósł się na stałe mieszkanie do Petersburga. Tu przy pomocy przyjaciela swego Mikołaja Grecza, poznawszy dokładnie język i literaturę rosyjską, zaczął pierwsze utwory niewprawnego jeszcze pióra w *Synu ojczyzny*, przez tegoż Grecza redagowanym drukować. W r. 1822 sam już stanął jako redaktor czasopisma *Archiwum Północne*, i z téj doby jest właśnie poniższa korespondencja z Lelewelem, w której styl i wyrażenia Bułharyna zachowujemy wiernie podług oryginału.

Okres ten (od 1821 do 1830 r.) był chwilą największego rozgłosu imienia Bułharyna: stał się on ulubionym pisarzem w całej Rosyi. W r. 1825 wraz z Greczem redagował *Pszczolę północną*, sam w tymże roku wydał pierwszy w języku rosyjskim almanach dramatyczny (noworocznik) p. n. *Ruska Talia*. W r. 1827 ogłosił zbiór pism swoich w 4 tomach; w r. 1828: *Obraz wojny tureckiej 1828*. Wszystkie powyższe prace tłumaczone były na języki niemiecki i francuzki. W r. 1829 wydał sławny romans obyczajowy: *Jan Wy-*

żygin i zaraz dalszy ciąg: *Piotr Wyżygin*; z historycznych powieści: *Dymitr Samozwaniec i Mazepa*. Romanse te i powieści mamy przełożone na język polski.

W r. 1837 wydrukował obszerne w 4 tomach dzieło: *Rossya pod względem historycznym, statystycznym, geograficznym i literackim*. Od r. 1843 wydawał przez lat kilka pismo tygodniowe *Ekonom*. W *Bibliotece do czytania* od r. 1846 zaczęły się ukazywać jego *Wspomnienia*, które wyszły i w oddzielnj książce. Jestto także pierwsze dzieło w literaturze rossyjskiej w formie *pamiętników* pisane: pełne treści, odznaczające się dowcipem i humorem, oraz mnóstwem zajmujących szczegółów.

Umarł w Petersburgu 1859 r.

Joachim Lelewel, jak wiadomo, zaczął pisać krytykę historii Karamzyna, ale jój wzupełności nie wykończył. W chwili największej działalności swojej literackiej, Bułharyn podany przez Lelewela na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk i przyjęty został: niemały téż miał rozgłos u nas jako wojak z doby Napoleona I. Tłumacz polski *Jana Wyżygina*, na czele pierwszego tomu podał nam jego wizerunek. Jeszcze wówczas nieznano piorunującego wiersza największego z poetów rossyjskich, Puszkina, który Bułharynowi w rozdrażnieniu, rzucił w oczy. Pomimo to, w okresie lat 25 t. j. od r. 1822, do 1847 zajmuje on wielce wydatne i znakomite stanowisko w literaturze rossyjskiej.

Przystępujemy teraz do wspomnianych listów zachowując styl autora.

Petersburg, d. 15 Października 1821 r.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Chociaż nie mam honor znać JMPana Dobrodzieja osobiście, lecz ogłaszając po tyle razy w Państwie Rossyjskiem Jego zasługi w literaturze i nabytą przez to sławę, dziś się ośmielam udać się do JMPana Dobrodzieja z moją najpokorniejszą prośbą. Pan Kazimierz Kontrym, już od roku podchlebia mnie, że JMPan Dobrodziej umieścisz w mym dzienniku *Archiwum Północne*, krytykę na Karamzyna. Pan Kontrym wytłumaczy Panu Dobrodziejowi, jak to wielki zaszczyt dla Pana przyniesie i mój dziennik ozdobi, ponieważ cała partya w Ministeryum co się nazywa *Dominante*, dobrém okiem spogląda na wyjawienie błędów człowieka, który się wynosi nad wszystkich pisarzy i *Tacyta* i *Tucydya* błaznami mieni, a Greków i Rzymian, dziki mi ludźmi. Prosiłbym nawet, aby Pan Dobrodziej, gdy mnie raczysz okazać te dobrodziejstwo, przysłał krytykę po polsku, bo Łoboyko co tak się w Wilnie nadyma, źle wytłumaczy i będzie kilka miesięcy ciągnął, ciężko mu przychodzi porodzenie frazesów. Daruj Panie śmiałość moją ale bądź przekonany, że gdy raczysz uskutecznić obietnicę Kontryma a moją prośbę, zapisuję na całe życie szubrawską moją duszę na wielbienie i uszanowanie JMPana Dobro-

dzieja i poświęcę wszystkie momenta na wyszukanie środków na wywdzięczenie się.

Z najwyższém i prawdziwém uszanowaniem mam honor być
JMPana Dobrodzieja Najniższym Sługą

Tadeusz Bulharyn.

d. 8 Grudnia 1821 r.

Szanowny Panie!

Krytyka czyli raczej wstęp do krytyki, zrobił tu silny rozruch. Wszyscy nie mogą się odchwalić. Imię Pańskie przelatuje z ust do ust i najwięksi ludzie, jako Golicyn, Sperański, Olenin, etc. oddają hołd uczoności, zdolności Pańskiej i niecierpliwie razem z całą publicznością oczekują kontynuacyi. Ja nie mogę się pokazać nigdzie, mnie obarczają pytaniami o Pana i proszą jak najprędzej kontynuacyi. Kilku zagorzałych Karamzynistów marszczy się, lecz i ci oddają sprawiedliwość Panu. Karamzyn milczy, bo niema co mówić. Ja dla uleczenia Jego boleści, drukuję w 24-tym numerze najgłupszą pochwałę Jemu, wyjętą z niemieckich gazet, którą mnie przysłał jego zagorzały przyjaciel, a potem zbiję te głupstwa, żeby oczyścić mój dziennik od plamy. Łaskawy Panie i mój szanowny spółziomku! racz mnie uszczęśliwić i nadeszlij niebawnie kontynuację. Wznosząc swoją własną sławę i mnie wydzwigasz, dziennik mój robisz klasycznym i trwałość jego zapewniasz. Cóż mogę uczynić, żeby się wywdzięczyć? Rozkazuj, a gotów jestem na wszystko. Ja podałem Pana na członka dwóch tutejszych uczonych Towarzystw, zrobisz nam zaletę, gdy zechcesz wstąpić do naszego grona, gdzie wszyscy Pana uwielbiają.

Oczekując łaskawej odpowiedzi, wyznaję, iż do zgonu jestem z najwyższém uszanowaniem i wdzięcznością, Najniższym i Szczerym sługą.

Tadeusz Bulharyn.

d. 22 Oktobra 1822 r.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Nie znajduję wyrazów dla wynurzenia méj wdzięczności za przysłanie początku krytyki na Karamzyna, która dla Pana zrobi sławę a mój Dziennik podniesie i ustali na czas długi.

Tę pomoc ze strony szanownego rodaka będę czuł przez cały ciąg życia i najszczęśliwszym się nazwę, gdy się okoliczność nadarzy w jakikolwiek sposób wyświadczyć Panu. Wyższej łaski nikt w świecie, nie mógłby mnie uczynić.

Pan Kazimierz Kontrym pisał do mnie, że mam odebrać z szanownych rąk Pańskich rozprawę o Słowianach, niecierpliwie oczekuję tego sącownego daru.

Śmiem upraszać Pana o prędszą kontynuację rozpoczętej krytyki, którą zapowiadałam w moim dzienniku; gdybym do Nowego roku odebrał, miałbym to za szczególną dla mnie łaskę. Krytyka na *wstęp* drukuje się w 23 numerze Archiwum i wyjdzie 1 decembra. Cenzura podpisała. Ośmieliłem się zrobić niektóre poprawy, których wymagał duch rossyjskiego języka, bardzo biédnego co do rozpraw filozoficznych.

Śmiem także prosić szanownego rodaka o jedną łaskę, to jest żebyś nie darował dumnemu historyografowi najmniejszego uchybienia, co do faktów historycznych.

Tutejsza publicum najwięcej na to zwraca uwagę i chciwie poławia omyłki człowieka, który się poczytuje przez swych stronników za nieomylnego, gdyby papież od katolików.

Ministeryum oświecenia i wszyscy więksi ludzie w Państwie już dawno życzyli i oczekiwali krytyki dzielnej i uczonój i Imię Pańskie stanie się sławném w Rossyi i zapewne téż krytyka przyniesie Panu wiele i w każdym zdarzeniu będzie pomocą; będą mówili: *Eto tot Lelewel, kotoryj pisał krytyku na Karamzina*, gdy siedząc w stolicy i mając jakie takie związki, będą mogli w czémkolwiek służyć Panu.

Proszę mnie rozkazywać, jestem Jego najwierniejszym sługą; składając zatém szczere i prawdziwe uszanowanie mam honor pozostać na całe życie wdzięcznym i do usług gotowym

Tadeusz Bulharyn.

NB. Proszę Pana Dobrodzieja bądź łaskaw pierwszą pocztą uwiadomić mnie: 1) o dniu i roku urodzenia Maryny Muiszchówny żony Cara Dymitra (samozwańca); 2) jakie było imię Chrzanowskiej która wybawiła Trembowłą, mnie się zdaje Eleonora, mnie pilno potrzeba.

d. 2 Stycznia 1823 r.

Szanowny Rodaku!

Czekam z niecierpliwością obietnicy Pańskiej, wyglądam poczty prawie z desperacją. Racz mnie uszczęśliwić, a siebie jeszcze bardziej wstawić. Przyszlij choć arkusz druku krytyki, żeby publicum nie wzięła mojej proklamacyi za samochwalstwo!

Mam honor oznajmić Panu, iż Towarzystwo Miłośników Literatury pod prezydencją Glinki zostające, jednomyślnie obrało Pana na członka honorowego.

Patent dostanie Pan po świętach.

Z najwyższém uszanowaniem mam honor być W-go Pana Dobrodzieja Najniższym Sługą.

T. Bulharyn.

d. 20 Stycznia 1823 r.

Szanowny Panie!

Proszę mnie darować, gdy się naprzykrzałem, mnie publicum więcej się naprzykrza, ze wszech stron odbieram listy i zapytania. Posyłam Panu uwiadomienie prezydenta o przyjęciu Pana na członka Towarzystwa. Historią Karamzyna Pan odbierzesz z okazji, która wkrótce się nadarzy; czekam, czekam z bolesnym sercem w nadziei, że niewystawisz mnie na sztych i zostaję z najwyższym uszanowaniem W. Pana Dobrodzieja

Najniższy Sługa

T. Bulharyn.

d. 13 Lutego 1823 r.

Szanowny Panie!

Stoję przed Panem na kolana i przepraszam, że nie pisałem. Proces nasz familijny, od którego zależy los mój i moich krewnych, teraz już w słuchaniu. Zdaje mi się, że skończę go wkrótce, tymczasem latam jak szalony z rana do wieczora, piszę prośby, ekstrakty i dyaból wie co. Tylko wczoraj wziąłem się do tłumaczenia Pańskiego artykułu i to prawie po nocach. Niewiem, czy wytrzyma zdrowie moje, historykowi musi być wiadomo, co to jest proces w Rosyi.

Francuzki egzemplarz Pan odbierzesz wkrótce. Niemieckiego tłumaczenia nigdy nie będzie, bo Nauenschild straciwszy miejsce w Rosyi wyjechał i podobno na zawsze. On się gniewa na Rosyją, a zatém wątpię, żeby tłumaczył dalej.

Tu miał widoki u dworu, spodziewał się wiele, a teraz pewnie nie zechce rezykować.

Za artykułu tłumaczenie pewnie się nie będziesz gniewał. Sam tłumaczę, a kiep Łoboyko łże, gdy mówi, że to musiał tłumaczyć krajowiec. Ja od sześciu lat mego wieku byłem zawieziony do Rosyi, wychowałem się w korpusie kadetów i znam lepiej ruski język jak polski, którego w wojsku polskim nauczyłem się.

Niech Pan nie wierzy temu piszczykowi petersburskiemu. Z pochwał rozlanych, w artykule Pańskim dla Karamzyna widzę jawnie, że on musiał coś Panu nabąkać. Tutaj Pan Wojcikow wydawca *Inwalida* i *pantofel Karamzyna*, chwali się, że on kazał Łoboyce nastraszyć Pana. Przysięgam na honor, że to prawda. Niewiem czy pisał kto do Pana, że moje Archivum będzie oficjalnym dziennikiem ministerium oświecenia. Wtedy i ja pokażę kto jest pan Łoboyko.

Czy nie możnaby jakimbądź sposobem dowiedzieć się, w którym roku urodziła się Maryna Mnischówna, żona Cara Dymitra: bardzo potrzebuję i nigdzie nie wynajdę.

Czekam Pańskiego szczegółowego rozbioru i spodziewam się, zaprzestasz chwalić Karamzyna, w którym ja nic nie widzę oprócz

brzmiących wyrazów. Zresztą wola Pańska, ja biorę co dają i za to wdzięczny jestem.

Zasyłając tysiączne wdzięczności i poruczając się łaskawej Jego pamięci, mam honor być W. Pana Dobrodzieja wiernym do zgonu Sługą.

T. Bułharyn.

NB. Ojca mego Pana Kazimierza ściskam serdecznie i poruczam się także jego pamięci; lecę do Senatu! *O wej mir!*

d. 4 Kwietnia 1823 r.

Szanowny Panie!

Cztery tygodnie trwało słuchanie mego dzieła w Senacie; dzieło od którego zależy cały los mój i mojej familii, a zatem nie miałem czasu nietylko, że się zająć literaturą, lecz istotnie listów pisać przestałem. Dziś gdy czas wolniejszy wziąłem się do tłumaczenia Pańskiej krytyki, gdyż mnie nie dają pokoju; nie mogę ani w domach ani na ulicy się pokazać; pierwsze pytanie: „A cóż Lelewel? czy zamilkł?” (szto że wam Lelewel? szto umołk). „Proszę darować, Panowie, moj Lelewel nie milczy, ale Senat mnie związał ręce“ taka moja odpowiedź (izwinitie miłostiwye gosudara. Lelewel nie mołczyt, no Senat swiazał menia ruki). Wczoraj odebrałem z poczty 63-ci list od prenumeratów co mnie wyrzucają czemu nie trzymam obietnicy; listy te przesłałem Panu, żebyś zachował jako pamiątkę. Mówią że i Najwyższemu Monarsze podobał się Pański ustęp. Prawda, że ten artykuł co teraz tłumaczę nie będzie tak interesującym dla Rossyan w ogólności, ponieważ uwagi nad Karamzynem są przeplatane uwagami nad Naruszewiczem, którego tu ani znają ani wiedzą, a zatem wytykanie wad jego i przymiotów, porównanie z Karamzynem jest rzeczą obojętną, tak równie jakby kto krytykując Naruszewicza porównywał go z Chińskim historykiem Fu-chi-san.

Lecz myśli Pańskie o Karamzynie i uwagi ogólne o historyi, bezwątpienia znajdują pochwałę i uwielbienie. Muszę odstąpić nieco od rzeczy naukowej, żeby powiedzieć Panu moje myśli, obawy i nadzieje. Ja w siódmym roku zawieziony byłem do Rossyi. *Miłość do Polski Starożytnój* i nadzieja, że kraj się podźwignie, zaprowadziły mnie do Francyi; kochając jednak Polskę, *comme un être methaphysique qui n'existe que dans l'Histoire*. Nigdy nie ufałem moim współrodakom, gdyż nikt na świecie nie odmienia tak prędko opinii jak Polacy, nikt tak prędko nie zrywa związków, ani odrzuca rozpoczętej pracy, jak kochani nasi ziomkowie. A zatem z najwyższym szacunkiem dla Pana i z największym entuzjazmem do prac jego literackich, zawsze byłem niespokojny od czasu obietnicy Pańskiej przesłać mi krytykę Karamzyna, to jest od Nowembra 1821 r. aż do dziś dnia. Postrzegłeś to Panie i słusznie mnie wymawiałeś; lecz myśląc, że najlepszy sposób

działania jest otwartość, wynurzam w tój mierze moje myśli, będąc pewnym, iż będąc szlachetnym, nie weźmiesz tego za złe. A tak odebrawszy teraz list Pański, w którym każesz mi nadesłać swój oryginał, zląkłem się niezmiernie, czy nie jakie podejście ze strony moich nieprzyjaciół i zazdrośników, zmusiły Pana do tego kroku. Wydawca *Invalida*, mój główny wróg, mógł poduszczyć swoją kreaturę Łobojkę żeby coś Panu fałszywego donieść. Lecz ja przysięgam, że Książę Minister i dwór Cesarski (co wiem od Longinowa, który jest przy młodej Cesarzowej) niecierpliwie czekają pięknego rozbioru Pańskiego.

Oto jest epizod w moim liście.

Oryginał Pański odeszł z pierwszą pocztą. Tłumaczenie kontynuuję i niecierpliwie czekam szczegółowych uwag. Przypisków we francuzkiem i niemieckiem tłumaczeniach być nie może, gdyż starożyty języka kronik tłumaczyć niepodobna, jak się zdaje.

Panu Kontrymowi memu ojcowi i łaskawcy zasyłam prośbę, aby poprosił Twardowskiego spełnić rekomendacją głównego prawlenia uczyliszcz (Gławnoe prawlenie uczyliszcz), o wzięciu mego dziennika do Uniwersytetów i okręgow szkół, przepisanie jest pod datą 10 februaia tego roku.

Czyż na to nie zasłuży wasz ziomek, żeby kilkanaście egzemplarzy wziąć dla gimnazyów?

Dziwno mnie, że Pan Marcinowski ani słowa nie powie w dzienniku o egzystencyi mego Archiwum. Tłumaczy z *Invalida* wyjątki, z gazet niemieckich i z dziennika departamentu tłumaczenia z niemieckiego, nawet raz przetłumaczył artykuł o Taganroku z tutejszego *S. Peters. Zeitschrift*, który wziął odemnie i nie wyraził, że to z Archiwum, ale że z *Zeitschrift*, to się nazywa *mauvaise foi*.

Wszak *Annal. des voyages, Journal des voyag. Geogr. Ephemerid, Revue Encyclopedye* etc. biorą artykuły i dobrze mówią o Archiwum, a Polska niechce wspomnieć: wstyd i hańba. Przeszo Polska upadła, iż uczucia zazdrości i niezgody zawsze kierowały czynnościami spółzawodników: nigdy nie myślałem żeby Marcinowski w takie się wdawał drobnostki.

Żegnaj Pana, polecam się Jego pamięci i przyjaźni, mnie zaś zawsze znajdziesz jednostajnym, to jest szczerym i przywiązanym.

Tadeusz Bulharyn.

NB. Sękowski skończył swoją rozprawę o Lachach, przeszedł Panu, lecz nie wszystkie rysunki gotowe, ledwo nie umarłem ze śmiechu czytając. Szlachta Polska według Sękowskiego są Lety czyli Lezgińcy z Kaukazu, a chłopstwo Niemcy. I tak Słowianie nie egzystują. Słowianin pochodzi od słowa człowiek. Kto ty jesteś? Szłowak, to jest człowiek, to jest poddany. Z tём wszystkiём wiele dowcipu w tój rozprawie, a za prawdę nie ręczę.

d. 11 Kwietnia 1823 r.

Szanowny Panie!

Posłuszny rozkazom Pańskim odsyłam oryginał, lecz mam honor oznajmić, iż tłumaczenie już gotowe; czytałem pozawczoraj Oleniowi, Greczowi i Gnieźdniczowi, znaleźli że pięknie, dobrze, ładnie i że Naruszewicz do rzeczy stoi obok Karamzyna. Na moje obawy Pan nie uważaj, ponieważ ja boję się, żeby mnie nie obwinili w zbytecznym Polacyzmie, wtedy trzeba się pożegnać z kredytem publicy i paść bez powstania jak Anastasiewicz, który w sławnej satyrze Batuszkowa figuruje.

Procz z muzoj polskoj swojej
Hałup Anastasiewicz.

Ze strachem i nadzieją oczekuję listu Pańskiego i kontynuacy i pozwolenia drukować, co już gotowe. Nie myślę, żebyś Pan chciał mnie skompromitować przed publiką, której obiecałem na słowo Pańskie do świąt wypuścić krytykę. Na honor, że nie przeżyję tego, żeby mnie oszustem nazywano.

Sługa wierny do zgonu.

T. Bułharyn.

d. 21 kwietnia 1823 r.

Tadeusz Bułharyn winszuje świąt Panu Dobrodziejowi i śmie przypomnieć obietnicę, iż na święta, Karamzyna krytyka będzie ukończoną. Jak kania dżdzu, jak żydzi Mesyasa, tak Bułharyn wygląda krytyki. Tenże Tadeusz Bułharyn zasyła tysiączne prośby, pada na kolana i wznosząc ręce do nieba woła i prosi o krytykę!

Zlituj się Panie nademną!

d. 15 czerwca 1824 r.

Wielmożny Mości Dobrodziężu!

Za kontynuacją krytyki nie mam słów dziękować. Jestem tyle obowiązany Panu, że całe życie nie potrafię się wywdziżyć.

Na dowód jakie wrażenie czyni Pańskie pismo, niech Pan przeczyta w Almanachu *Polarna gwiazda* na 1824 r. co powiedziano o krytyce Pańskiéj, *Polarnej gwiazdy* rozkupione 1500 w trzy tygodnie. Co się tycze szerokości pisma, którego Pan się boisz, mam honor oświadczyć, iż czém więcej tym lepiej, ponieważ każde słowo Pańskie ma cenę i wagę; o Wołyńskim Latopisie, o którym mnie Onacewicz męczy od parę lat, nie umiem Panu powiedzieć z kąd on wziął, że ten się drukuje, i że łatwo go dostać, ani u Rumieńcowa go niema, jest tylko jeden egzemplarz w Publicznej Bibliotece, ale tam przystęp zabroniony do rękopismów. Onacewicz dziwák, co sobie uroi nie daje sobie wy-

perswadować. Ja nawet nie widziałem nigdy Wołyńskiego latopisma a on mnie szturmuje o przysłanie. Jego manuskrypt wróć z okazyą, w tych dniach jeden jegomość wraca do Wilna. Ja bardzo szanuję i nawet kocham poczciwego i dobrego Onacewicza, rad jestem odbierać jego pisma, ale proszę bardzo, żeby on nie kładł wierszów z Kochanowskiego do swoich listów i żeby nie rozgrzewał ich patryotyzmem, ponieważ to zupełnie się nie zgadza z moim sposobem życia i moim losem. Ja patrzę jedynie w księgi, a co się dzieje na świecie znać nie chcę, oczekuję niecierpliwie kontynuacyi Pańskiej, i proszę pozwolenia czasem, co stosownego do kraju i obyczajów przełać w inne formy. O Niechaczynie pisarzu nikczemnym opuściłem cytate, gdyż on niema żadnej wagi, zresztą tłumaczenie zdaje się wierne.

Z wysokim szacunkiem mam honor być na wieki, wieczny sługa.

T. Bulharyn.

NB. Proszę oświadczyć Kontrymowi, Onacewiczowi, Szydłowskiemu żeby mnie młodzieży wileńskiej nie rekomendowali, bo z młodzieżą wileńską więcej biędy jak pożytku. Ja wcale żadnego ze studentów u siebie przyjmować nie będę, niech ich Bóg broni, a nam spokojnym literatom trzeba od nich stronić.

d. 15 listopada 1825 r.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Mam honor uwiadomić Pana, że ciąg krytyki Pańskiej przyjęty z większym entuzjazmem jak pierwszy artykuł. Filozoficzne i uczone jego uwagi i głębokie zastanowienie się nad dziełem Karamzyna, zyskały mu powszechne oklaski. Nie wiem, czy podobają się Panu moje rozdziały krytyki, lecz ja robiłem tak jak potrzeba dla publicum, która mnie dobrze jest znana.

Ani jednej myśli Pańskiej nie minąłem, ani jednej swojej nie dodałem. Z listów pokładłem dodatki jak mogłem wyrozumieć, gdyż to niezmierna była praca i my z Sękowskim ledwo mogliśmy wynaleść te miejsca. Cenzura tylko wynotowała te słowa *nie stało Polski i Naruszewicza*, jeszcze parę frazesów o losie Polski. Musiałeś Panie wyczytać moje tłumaczenie się przed publicum, honor polski i osobistość nasza każą mnie spodziewać się, że Pan Dobrodziej zechcesz kontynuować krytykę, którą z Jego woli ja obiecałem wystawić moim czytelnikom. Po tém wszystkiém, co pisałem o Panu i Jego dziełach i charakterze w moim dzienniku, spodziewam się że Pan nie zechcesz mojej zguby, bo w przypadku, gdybyś zaniedbał krytykę, ja zaprzestamę wydawać dziennik, lecz sława Pańska, uczciwość i miłość do nauk, utrzymują mnie w téj nadziei, że wkrótce zobaczę kontynuacyą, czego oczekuję jak żydzi Mesyasza.

Z wysokim szacunkiem i prawdziwem przywiązaniem jestem do grobu W-go Pana Dobrodzieja. Najniższy sługa

T. Bulharyn.

d. 12 lutego 1829 r.

Szanowny Kolego!

Pierwszą wiadomość o wyborze moim na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, winien byłem Twojemu listowi. Bez wątpiania i do samego tego wyboru zdanie Twoje nie mało się przyczyniło. Niosę Ci szczere dzięki za te dowody przyjacielskiej życzliwości, którą nadal utrzymać będzie miłém dla mnie staraniem. Wybór Towarzystwa tak blizki jednomyślności, przeszedł wszelkie moje oczekiwania; bez wątpienia, chcieliście na mnie dać dowód, że i dalekich miejscem i innym piszących języku rodaków wspierać i zachęcać pragniecie. Dziś piszę do Towarzystwa i do czcigodnego Prezydenta, ale upraszam abyś raczył jeszcze powtórzyć moje podziękowania i zapewnić, że żadnej nie opuszczę sposobności zarobienia na przychylność moich nowych Towarzyszy i okazania jak wysoko cenię sprawiony mi przez nich zaszczyt. Panu Gołębiowskiemu za jego pochlebne zdanie o moich pismach, składam także moje podziękowania. Pozwól mi szanowny kolega cieszyć się nadzieją, że odtąd będę miał częściej sposobność ponawiania Ci wyrazów prawdziwego szacunku, z którym jako też z wysokim uszanowaniem i szczerem przywiązaniem mam honor być Szanownego Kolegi Dobrodzieja Najniższy sługa

T. Bulharyn.

d. 28 febr. 1830 r.

Kochany Kolego!

Przyjm łaskawie nowe dzieło moje! w cytatach znajdziesz swoje nazwisko. Jest to wierny obraz ducha i charakteru swego wieku, zwłaszcza co do Rossyi. Historyczna część odrobiona jak historia. Romans ten z zapalem tu przyjęty i w tydzień wyszło 2500 egzemplarzy, a druga edycya w druku. Ruscyc literacy za to się gniewają, nie moja wina.

Składam wysokie uszanowanie i polecam się pamięci Najniższy sługa

T. Bulharyn.

W O J N A

ZYGMUNTA I^{go} Z BOHDANEM

WOJEWODĄ MOŁDAWSKIM W 1509 ROKU.

PRZEZ

Kazimierza Pułaskiego.

Bohdan wojewoda mołdawski, syn i następca wojewody Stefana, po którym objął rządy w 1504 roku, już za Aleksandra dawał się Polsce we znaki, kolejno zajmując i utracając przyległe do ziem jego Pokucie. Ostatecznie poskromiony, przyjął warunki pokoju, podane przez Władysława króla węgierskiego i czeskiego, występującego zawsze w roli pośrednika między Polską i Wołoszą. Zaraz zaś potem Bohdan odnowił pierwój już (1504), podawane propozycje małżeństwa jego z Elżbietą siostrą króla Aleksandra. Propozycje te przez czas długi odrzucały, wreszcie przyjęte zostały i na mocy układu, zawartego w Lublinie (16 lutego 1506 roku) z postami Bohdana, przyrzeczono mu rękę siostry królowej Elżbiety. On zaś zobowiązywał się zachowywać wieczne przymierze z Polską ¹⁾, pozwolić miał na rozszerzenie obrządku rzymskiego w swoim kraju i przeciw wszelkim nieprzyjaciołom króla, w szczególności zaś przeciw Tatarom posiłkować w każdej potrzebie. Śmierć atoli Aleksandra, niechęć Elżbiety do związków z dzikim prawie wojewodą, jak niemniej także ze strony Bohdana żądza łupów, w skutek tego częste napaści na „graniczników polskich” ztąd lekceważenie najgłówniejszych warunków umowy: to wszystko przyczyniło się do zerwania przymierza i matrymonialnych układów, przez które Aleksander spodziewał się pozyskać ważnego sprzymierzeńca dla Polski, mogącego trzymać w szachu najezdnicze hordy Tatarów, a zarazem rozkrzewić obrządek rzymski ku wschodnim kresom świata chrześcijańskiego.

Zaraz po śmierci Aleksandra, panowie polscy, zawiadamiając wojewodę Bohdana o śmierci królewskiej, wyrażali nadzieję, iż pokój z nim zachowanym będzie, i wzywali go, ażeby zalecił poddanym swoim utrzymywać zgodę i sąsiedzką przyjaźń, nie czyniąc szkód i najazdów na nadgraniczne ziemie polskie. Takiż sam rozkaz wysłali do nadgranicznych mieszkańców polskich, iżby uniknąć wszelkiego powodu sporów

¹⁾ *Acta Tomiciana* Tom I Appendix nr. V str. 19. „...y maiet hospodar nasz wojewoda y wsi poddanyje Jeho mir wiecznoy y przyjaznosti y przylezności y obrony zluczenye z kraleem J. M. zapisati w zapisiech...”

i niechęci. Nadto przypomnieć kazali wojewodzie, że nieraz dawali mu dowody, jak pragną z nim przymierza ¹⁾. Mimo jednak tych odezwo i przyjaznego usposobienia panów Rad Korony Polskiej, Bohdan korzystając z bezkrólewia w Polsce, wpadł na Pokucie. Czy nie spodziewał się, ażeby układ zawarty z Aleksandrem względem małżeństwa jego z Elżbietą mógł być do skutku doprowadzonym; czy raczej przemogła żądza łupów i najazdów: dość że wpadłszy w nadgraniczne powiaty polskie, całą okolicę spustoszył, uprowadzając dużo jeńców polskich. Zebrani wówczas w Krakowie panowie polscy, choć widzieli, iż ów napad nie wróżył bynajmniej pokoju i zgody, nie chcieli jednak nic przedsiębrać, nie przełożywszy całej sprawy pod sąd Władysława króla węgierskiego i czeskiego i natychmiast wysłali do niego posłów jako do pana przyrodzonego (*tanquam ad dominum naturalem*), uskarżając się, iż Bohdan, któremu żadnego nie dano powodu do nieprzyjaźni, wbrew traktatom i zobowiązaniom, napadł na ziemię przed rokiem zwróconą Polsce, t. j. Pokucie ²⁾, a niektóre jego oddziały aż w stronę Kamieńca sięgały, pustosząc włości okoliczne. Prosil więc panowie polscy, ażeby Władysław *władzę swoją* powstrzymał Bohdana od podobnych najazdów, iżby mogli spokojnie odprawiać elekcję ³⁾. W tymże duchu pisali także do panów węgierskich ⁴⁾.

Nie mamy śladów, czy Władysław odpowiednie poczynił kroki w celu powstrzymania Bohdana od dalszych napaści. Niewątpliwie jednak owe przedstawienia panów polskich musiały być dobrze przyjęte na dworze węgierskim, i wpływom snadź Władysława przypisać należy, iż Bohdan wstrzymał się od dalszych najazdów; gdyż niewątpliwie korzystając z bezkrólewia w Polsce, ażeby bezkarnie łupić i najeżdżać nadgraniczne okolice, byłby powtarzał swe wyprawy: tymczasem żadnych już nie mamy wiadomości o ponownych łupieztwach Wołochów.

Bezkrólewie nie przeciągało się długo, położenie kraju zalecało jak najspieszniej przeprowadzić elekcję nowego króla; wkrótce też Zygmunt Jagiellończyk, brat Aleksandra, obrany został jednogłośnie tak na Litwie jak w Koronie, i dnia 24 stycznia 1507 roku odbyła się koronacja jego w Krakowie. Wobec licznych ze stron wielu niebezpieczeństw, Zygmunt jakkolwiek wiedział iż wiarołomstwa Bohdana nie wróżą długiego pokoju, pragnął do czasu przynajmniej zachować dobre stosunki z Wołoszą, ażeby zapobiedz groźniejszym ze stron innych niebezpieczeństwom. Jeszcze przed przyjazdem swoim do Krakowa,

¹⁾ *Acta Tomiciana* tom I nr. 1 str. 5 Legatio a Consiliariis Regni Polonie ad Wojewodom Valachiae, post mortem regis Alexandri.

²⁾ „...occupavit illam terram quam superiori tempore restituerat et in ea collocavit gentes suas...”

³⁾ *Acta Tomiciana* tom I nr. 2 str. 6 Consiliarii regni Polonie Vladislao Regi Hungarie i nr. 3 Legatio a consiliariis Polonie ad Vladislauum regem Hungarie.

⁴⁾ *Acta Tomiciana* tom I nr. 4 str. 7 Ad Dominos Hungarie.

na zjeździe w Mielniku rozpoczął Zygmunt traktacje z Mendligirejem, hanem Tatarów Perekopskich, które do ścisłego przymierza spodziewał się doprowadzić. Znane są powszechnie ciągłe zdrady, przeniewierstwa i bezustanne najazdy Perekopców na Polskę i Litwę za czasów Aleksandra, a niepomiernie utrudniające stosunki Polski z Moskwą, która ścisły zawsze z tego powodu zachowywała sojusz z Perekopem. Zadaniem więc polityki Zygmunta względem Tatarów było oderwanie ich od przymierza Moskiewskiego, ba, nawet zwrócenie ku ziemiom moskiewskim ich najezdniczych zapędów. Z tegoż zjazdu Mielnickiego wyprawił Zygmunt posłów do wielkiego kniazia moskiewskiego, nie znalazłszy tam jednak dobrych chęci do pojednawczego załatwienia sporów, przez długie już lata ciągnących się, słusznie spodziewać się mógł Zygmunt, iż z tej właśnie strony na największą zanosi się burzę, tém groźniejszą, iż nieprzyjaciel zewnątrzny mógł podać rękę knowaniom i spiskom wewnętrznym. Przygotowywany wybuch na Litwie podważał niebezpieczeństwo obcego najazdu, albowiem Michał Gliški, ów wszechwładny książę na Litwie, dzięki słabości Aleksandra dla niego, gromadził obok siebie liczne grono niechętnych Polsce separatystów litewskich, rozbudzając zawiści społeczne, religijne i narodowe. Plany jego były już widoczne, a w zbrodniczych swych zamysłach wytworzenia odrębnego litewsko-ruskiego księstwa, liczył na pomoc zawistnych Polsce sąsiadów.

Takie więc położenie rzeczy wzbudzało rzeczywiste obawy: niepewność pokoju ze strony zawsze zdradliwego hana Perekopców, niewątpliwa wojna z Moskwą, groźne zaburzenia mogące co chwila wybuchnąć na Litwie, skarb państwa zupełnie wycieńczony szczodrobliwością lub raczej marnotrawstwem i nieporządkiem Aleksandra; wreszcie powyżej wspomniane wiarołomstwa Bohdana podczas bezkrólewia w Polsce: takie to było położenie kraju z początkiem 1507 r., to jest w chwili rozpoczęcia się rządów Wielkiego Zygmunta. Nie sposób jednak było bić się jednocześnie na północy i południu, kusić się o przywrócenie zaborów dokonanych na Litwie, bronić Pokucia i ziem podolskich i karcieć wiarołomstwa wołoskie; całe kresy dniewprowe, podolskie i litewskie strzedz od możebnych najazdów Tatarów, z którymi układać się dopiero o pokój i choćby ułożono się nawet, takowy nigdy pewnym być nie mógł; tłumić wreszcie wybuch wewnętrznych knowań i spiski z postronnymi. Przezorny Zygmunt widział dobrze, iż wszystkiemu razem podołać nie zdoła. Sprawy litewskie były w obecnej chwili najżywotniejszą kwestyą, co chwila nowy najazd groził znowu ukraiinom litewskim. W tę więc stronę zwrócić miał całą uwagę i wszystkie środki obronne, innych zaś nieprzyjaciół postanowił do czasu przynajmniej utrzymać na wodzy, drogą układów.

Wojnę z Bohdanem, w innych okolicznościach nieuniknioną, w skutek częstych napaści Wołochów na „graniczników polskich” i bezustannego rabowania Podola aż po Kamieniec prawie, odłożył Zygmunt na czas późniejszy, a tymczasem dla przykrócenia swawoli wołoskiej

użył pośrednictwa życzliwego mu brata Władysława króla węgierskiego i czeskiego. Posłowie polscy wyprawieni z sejmu koronacyjnego do Węgier: Jan Lubrański biskup poznański, Stanisław z Chodcza marszałek wielki koronny, Jan Łaski kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, wówczas podskarbi nadworny zawarli wieczne przymierze między koroną polską a węgierską. Poseł zaś Władysława Stefan Theleki, który był obecny koronacyi Zygmunta, ułożył warunki pewnego jakoby pokoju z Bohdanem ¹⁾.

Nie znamy atoli owych warunków przedłożonych Bohdanowi przez posła Władysława. W ogóle nawet nie wiemy w jaki sposób usiłowano załagodzić spory graniczne; zaraz jednak po sejmie koronacyjnym, Zygmunt wyprawił do Bohdana swojego pisarza Bohusza ²⁾, zawiadamiając go o objęciu rządów w Polsce i Litwie, zapewniając o swęj przyjaźni i wyrzucając mu, że znówu poddani jego ukrainom korony polskiej wielkie szkody poczynili, miasta i sioła popalili i mnogich ludzi w plen powiedli. Żądał tedy Zygmunt, aby gospodar powstrzymał nadal podobne gwałty i nadużycia. W odpowiedzi na to pismo królewskie, Bohdan, najpierw w gorących słowach oświadczał swą przyjaźń królowi. Dowiedziawszy się, pisał on: „że Twoja Miłość zasiadłeś na ojcowskich tronach Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony Polskiej, niezmiernie radowaliśmy się a Panu Bogu cześć i chwałę oddajemy, że Bóg Najwyższy pozwolił Twojej Miłości przyjacielowi naszemu objąć swe korony ojczyste. Daj Boże i Przenajświętsza Bogarodzico, ażebyś Twoja Miłość przyjaciel nasz używał przez długie lata szczęścia i dni dobrych.” Dalej tłumaczył się Bohdan z zarzutów czynionych mu przez króla i nie tak już po przyjacielsku o sprawach granicznych wspominał. Mówił tedy, iż właśnie gdy prowadził wojnę z Besarabami, poddani królewscy wpadli w jego ziemię, „ludność uprowadzali i szkody niewymowne czynili i krew przelewali,“ sądził tedy, że są w zмовie z tamtymi. A gdy przyszedł z wojskiem do swojego miasta stołecznego, do Soczawy, nadjechał poseł polski Baliński, któremu wojewoda szeroko przedstawiał doznane krzywdy; chcąc jednak zachować pokój i przyjaźń, mając przytem wzgląd na dobre rzeczy, z którymi przyjechał Baliński, zlecił mu załatwienie wszystkich spraw swoich. Rychło jednak po odjeździe polskiego posła, znówu jak twierdził Bohdan, poddani polscy wpadli z wielkiem wojskiem, wyludniali i palili jego ziemię. Dalej przypomina, że jeszcze Aleksander obiecał być wysłać posłów swoich na granicę dla rozpatrzenia obustronnych krzywd i wzajemnych zażaleń; tymczasem posłów tych aż dotąd nie było i „my (pisał dalej Bohdan) „żądamy, abyśmy mieli z wami pokój i sprawiedliwość, a kupcy nasi, iżby swobodnie

1) *Acta Tomiciana* tom I Comment. str. 15.

2) Poselstwa tego niémamy, a tylko odpowiedź Bohdana, w której przytacza ustęp z pisma królewskiego. Dziwna rzecz jednakże, iż tutaj wzmianki niéma o owém pośrednictwie Władysława i o warunkach pewnego pokoju, posłanych jakoby Bohdanowi przez Thelekiego w imieniu Władysława. Prawdopodobnie był to projekt tylko, którego urzeczywistnienie na czas późniejszy odłożono.

i dobrowolnie jeździli do ziem polskich i litewskich, jak dawniej było, zapłaciwszy słuszne myto. Także abyście przepuszczali ludzi naszych przez waszą ziemię do Moskwy i aby wieczne przymierze, które było między ziemią Litewską i Mołdawską, aby nienaruszenie zachowaném zostało”¹⁾.

Być może, iż ze stron obu miały miejsca nadużycia graniczne, a mieszkańcy kresów podolskich mszcząc się za najazdy Wołochów, używali może prawa odwetu; ale okrom wzmianki powyższej w liście Bohdana o owém „wielkiem wojsku polskiém,” nic nigdzie nie znajdujemy na potwierdzenie zażaleń jego o najazdy ze strony polskiej. Co najwyżej, były to może drobne jakie oddziały nadgranicznych ludzi polskich idących w pogoń za rabusiami wołoskimi z zamiarem odebrania zdobytych łupów, lub też pojedyncze jakie fakta nadużyć i kradzieży, w owym czasie nie rzadko trafiających się szczególnie u granic. Mimo jednak zapewnień Bohdana o przyjaźni, wzajemne nieporozumienia nie ustały i niedługo później znowu Zygmunt wymawiał mu pustoszenie ziem polskich i znowu liczne zanosił skargi²⁾. Dla przyczyn atoli które powyżej skreśliliśmy, teraz nie miał on czasu do zażądania od hospodara zupełnego zadośćuczynienia i przedsięwzięcia stanowczych środków w celu poskromienia tych nieporządków i jak mówiliśmy całą swą wagę zwrócił na sprawy litewskie. Wkrótce też najazd Moskwy powołał króla do Litwy, a jednocześnie dalej prowadzone były układy z Mendligirejem hanem perekopskim, i jedni po drugich posłowie polscy jeździli do Krymu dla utrwalenia przymierza z Tatarami, ba, nawet skłonienia hana do wysłania posiłków królowi przeciw Moskwie.

Zamierzając z tych okoliczności skorzystać, Bohdan usiłował odciągnąć Mendligireja od przymierza z Polską. Wyprawił więc do niego swojego posła Nehryła, donosząc hanowi, że dotąd nie zawarł pokoju z królem polskim, że Zygmunt nie przysłał doń posłów tak jak obiecał i że daremnie na nich oczekiwał w Selewie, a powtórnych posłów wołoskich król nie przypuścił nawet do siebie; wzywał więc hana, aby bez jego wiadomości nie zawierał pokoju z Polską³⁾. Nadto hospodar donosił jeszcze Mendligirejowi, że Zygmunt potajemnie wojsko zgromadza i zbroi się, jak mu donieśli jego posłowie; jeśliby więc szedł na nie-

¹⁾ Poselstwo Bohdana hospodara ziemi Mołdawskiej, w *Zbiorze rękop. aktów z XVI wieku*.

²⁾ Poselstwa tego również niémamy, lecz donosił o niém Bohdan w późniejszym liście do cara perekopskiego: „.....simi razy naszy posłowe od Zygimonta korola Ladskahto przyjechali i powedajut nam tak, iż korol Zygimont z nami miru ne wczynit, ale z mnohimi žalobani žalowatsia na nas kazał, aż na pozbawlenie korolestwa ieho, my ieśmo plenili i popalili zomlu ieho i mnoho reczey na nas wczynił...” (List Bohdana do Mendligireja w *Zbiorze rękopism. aktów*).

³⁾ „.....Ino Rodytelu nasz aż wschoczesz wczyniti mir z korolem Ladskim, ty bez naszoho znania i bez syna twoiego miru z nim ne bery...”

go, prosi o posiłki i pomoc ¹⁾. Wreszcie wspominał jeszcze Bohdan o Szach Achmacie „moim i twoim wrogu, którego król trzyma i pilnie strzeże,“ chcąc przez to dać do zrozumienia, że Zygmunt trzymając na Litwie Szach Achmata, w każdej chwili mógł go użyć przeciw Mendligirejowi. Wiadomém zaś jest powszechnie, jaka zawsze była zawiść między obu tymi carami, jak Szach Achmat zawsze dokładał starań, aby wydrzeć Mendligirejowi i Moskwie dziedzictwo Złotej Ordy, jak znowu Mendligirej przystawał nawet na przymierze z Polską, z obawy własnie wywłaszczonego cara Zawoźniańskiego. Uwięzienie go nawet na Litwie było najgłówniejszym powodem, że Mendligirej zrazu sojusznik Moskwy i wspólnik Iwana w ciągłych najazdach na Litwę za rządów Aleksandra, teraz przyrzekał Zygmuntowi nietylko przyjaźń i pokój, lecz nawet pomoc w wojnie z Moskwą. Z tej też przyczyny, to jest z obawy Szach Achmata, Mendligirej nie dał się uwieść namowom Bohdana i przymierzu z Polską poświęcał owe „zapisy“ między Tatarszczyzną i Wołoszą, które gospodar przypominał hanowi. Nadto wielcy posłowie Zygmunta: Jerzy Zenowewicz wojewoda smoleński, Jakób Iwaszeńcowicz marszałek królewski i inni świeżo wysłuchali w hordzie uroczystej przysięgi Mendligireja, że zachowywać będzie wierne przymierze z królem polskim, przyjaciołom jego będzie przyjacielem a nieprzyjaciołom nieprzyjacielem i przeciwko Moskwie wyprawi syna swojego Machmet Girej sułtana z liczném wojskiem tatarskiém ²⁾.

Ow traktat z Mendligirejem, przeprowadzony wreszcie przez Zygmunta z wielkim trudem i kosztem, znacznym już był tryumfem polityki polskiej nad Moskwą i Wołoszą. Jakkolwiek han perekopski nie zawsze dotrzymywał swych zobowiązań i nie rzadko je zrywał i w stosunkach z Polską, kłamliwemi obietnicami najczęściej ją oszukiwał, jak np. w sprawie owych posiłków tatarskich przeciw Moskwie; to jednak obecnie nie widział własnego interesu w zerwaniu świeżo zawartego przymierza i posiłkowania Bohdana. To też niewątpliwie przyjaznemu pod tę porę usposobieniu hana względem Polski, przypisać należy, iż Bohdan nie rozpoczął najazdów na kresy podolskie. Odpowiedź Mendligireja na powyżej wzmiankowane poselstwo hospodara wołoskiego, wymownie tego dowodzi; przytaczamy ją w całości, zachowując ciekawą charakterystykę ówczesnej dyplomatycznej noty tatarskiej:

„Wielkiej Ordy, od wielkiego cara Mendligireja, synowi mojemu miłemu Bohdanowi wojewodzie ziemi Mołdawskiej, słowo nasze. Ześ

1) „...Ino aż budesz wideti Rodyteli nasz aż na nas idet, ty Rodyteli nasz nas syna swoieho neliszaj i uzry na nas syna twoieho podluh naszych zapisów...“

2) Poselstwo do Mendligireja oraz inne odpowiednie akta w *Zbiorze rękop. aktów z XVI wieku*. Nadmieniamy przytém, iż podanie o przyjętém jakoby zobowiązaniu Zygmunta płacenia hanowi 15,000 złotych rocznego jurgieltu jest błędne. Warunek ten przyjętym został dopiero w 1511 roku. W inném miejscu obszerniej o tém mówić będziemy.

przysłał do nas tłumacza swojego Nehryła z listem, że Zygmunt król sprawił wielkie wojsko i chce na nas ciągnąć, a człowieka, którego do niego posłałeś, król na oczy nie przypuścił i ten człowiek twój widział, że król wielkie wojsko zebrał i piszesz do mnie, abym ja jako ojciec twój, tobie pomocy nie odmówił, i prosisz o to w swym liście. Tymczasem Zygmunt król przysłał do mnie wojewodę smoleńskiego, pana Jerzego Zenowewicza i pana Jakóba Iwaszeńcowicza marszałka i pisarza tatarskiego, kniazia Abrahima, swoich wielkich postów, obiecując, że nieprzyjaciela naszego Szach-Achmata cara trzymać będzie w ręku i My z nim żyć mamy tak jak ojciec nasz Aczygirej car z Kazimierzem królem żyli, przyjacielowi przyjacielem a nieprzyjacielowi nieprzyjacielem będziemy i na to między sobą mocne przysięgi uczyniliśmy. I pytaliśmy postów polskich: a wy z synem moim Bohdanem czy w przyjaźni żyjecie czy w nieprzyjaźni? a oni mnie odpowiedzieli: Jeżeli tobie Bohdan, wojewoda mołdawski przyjacielem, to i nam przyjacielem; jeżeli on hospodara naszego króla Zygmunta ziemiom szkodzić nie będzie a swoich złych ludzi powstrzymywać będzie, to i my jemu przyjaciółmi będziemy; lecz jeżeli on szkodzić będzie hospodara naszego ojczyźnie, to będziemy nieprzyjaciółmi jego i ty razem z naszym hospodarem masz być wspólnie nieprzyjacielem jego. Ty więc swoich złych ludzi powstrzymuj i nie pozwalaj szkody robić ziemiom królewskim, a jeżeli z twojej strony szkód nie będzie ziemiom króla, to i od króla także szkody mieć nie będziesz, ty więc złego nie zaczynaj. A teraz nam Moskiewski nieprzyjacielem jest, a i król posłał wojska swoje na Moskiewskiego, a i ja syna mego Machmet Girej sultana posłałem z wojskiem na Moskiewskiego ¹⁾, i ty o tym wiedzieć masz i t. d. ²⁾“

Na takie wyraźne sformułowanie żądań hana, nie pozostawało Bohdanowi jak odłożyć na czas późniejszy swe zamiary wojownicze względem Polski. Inaczej byłby niewątpliwie skorzystał z najazdu Moskwy na Litwę, ażeby rozpocząć wycieczki na pogranicze Podolskie; przytém bardzo być może, iż wielki książę moskiewski jako swat Bohdana namawiał go ku temu; w poselstwie nawet powyżej wzmiankowanym Bohdana do Zygmunta, widzimy ślady częstych stosunków Wołoszy z Moskwą, gdy hospodar prosił króla o przepuszczenie ludzi jego jadących do Moskwy, i zresztą tak Iwan jak i Bohdan mieli jeden cel przed sobą; ztąd owa wspólność ich polityki, do czasu gdy Bohdan, sowicie skarcony za najazd, zagrożony zarazem przez Turków i Tatarów, nie przekonał się, że bezpieczniej dlań trzymać się pańskiej klamki Polski, niż przeciw niej występować. Ta atoli dotychczasowa tożsamość interesów z Moskwą, zalecająca Bohdanowi poprzec najazd Iwana na Litwę wyprawą Wołochów na kresy podolskie, nie przewyciężyła prze-

¹⁾ O tym wysłaniu wojska tatarskiego na Moskwę, kilkakrotnie donosił Mendligirej królowi, ale te doniesienia okazały się kłamstwem, bo Tatarzy mimo ciągłych obietnic nie ruszyli się na Moskwę.

²⁾ Poselstwo to bez daty, w *Zbiorze rękopiśm. aktów z XVI wieku.*

cież obawy wznieconej pismem Mendligireja, który wyraźnie dał do zrozumienia gospodarowi, że nieprzyjacielowi Zygmunta nieprzyjacielem będzie.

Mimo jednak powstrzymania zamierzonej wyprawy, nie zmieniły się atoli złe usposobienia Wołoszy dla Polski, i po krótkim czasie znowu się ponowiły drobne walki graniczne, a zatargi i nieporozumienia między ludnością polską i wołoską, z dniem każdym coraz drażliwszym przybierały charakter. Zygmunt zawiadamiał o tém króla Władysława, który ze swój strony zapewniał brata (21 lipca 1508 r.) że odnosił się już do wojewody Bohdana, zalecając żeby utrzymywał pokój i zgodę z urzędnikami i pograniczną ludnością Polski ¹⁾.

Nie wiele przecież wpłynąć musiało owe pośrednictwo Władysława, bo cokolwiek później (1 sierpnia), znowu zgłaszał się doń Zygmunt, proponując, żeby wysłał posła aż na miejsce, dla przekonania się naocznie, jak niesprawiedliwie zachowywał się wojewoda względem poddanych króla ²⁾. Jaki był rezultat tego powtórnego przedstawienia Zygmunta, żadnych nie mamy śladów; zresztą wszelkie kroki dyplomatyczne doprowadzić nie mogły do szczerzego porozumienia z Bohdanem, i ten zaskoczony teraz wojną z Radułem wojewodą wołoskim, odłożyć musiał zamierzoną wyprawę na Polskę, której celem było zagarnięcie ziem tyle już razy zajmowanych i traconych przez Wołochów.

W każdym razie żądza łupów i nadzieja rozszerzenia swych posiadłości, była głównym powodem rychło potem rozpoczętych kroków nieprzyjacielskich Bohdana względem Polski; niemniej przeto przypuszczać można, iż zerwanie układu względem projektowanego jego małżeństwa z królową Elżbietą, przyczynić się także musiało do obudzenia w Bohdanie żądzy zemsty. Połączenie to bowiem z królewskim domem polskim, pochlebiało dumie dzikiego wojewody, zapewniając mu przytém znaczne korzyści. Jak zaś pragnął onego, świadczą powtarzane razy kilka propozycje o rękę Elżbiety. Teraz zaś zaniósł skargę do papieża na niedotrzymanie umowy, zawartej z Aleksandrem, w skutek czego papież Juliusz II pisał do króla (w kwietniu 1509 r.), zalecając iżby nie odkładał umowy brata, która tak wielkie korzyści zapewniała Polsce i całemu Chrześcijaństwu ³⁾. Pismo to nadeszło do Polski przed samém rozpoczęciem wojny z Bohdanem, Zygmunt więc w następnym dopiero roku odpowiedział papieżowi, wykazując cały przebieg sprawy. Wiedział przecież Bohdan, iż skarga ta przelożona papieżowi, nic dlań nie przyniesie: a sprawy graniczne, trwające lat parę, doprowadzić musiały do wojny, odwiekaniej jak widzieliśmy najrozmaitszemi przyczynami, i tak: pośrednictwem Władysława, obawą Tatarów i wojną z Radułem.

1) *Acta Tomiciana* tom I.

2) *Tamże*.

3) *Theiner Vet. Monum. Pol. et Lith.* tom II Nr. CCCLIX.

Z wiosną już 1509 r., Bohdan zgromadzać począł liczne wojska na granicy, król niezwłocznie był o tém zawiadomiony, ale zrazu nie wiadano w jakim celu zbiera swe siły i gdzie je obróci, i jak sam Zygmunt pisał w późniejszym uniwersale, dzieliły się zdania. Jedni myśleli, iż Bohdan zamierza iść na Tatarów, drudzy że na wschodnich Wołochów, inni wreszcie posądzali go o nieprzyjazne względem Polski zamysły; że jednak nie dano mu żadnego powodu do zerwania traktatów, wyczekiwano podwoiwszy tylko środki ostrożności. Sam zaś Bohdan rozpuszczał wieści, iż zgromadził wojska dla stawienia czoła Tatarom ¹⁾. W kwietniu atoli Zygmunt, będący wówczas na sejmie w Piotrkowie, pewniejsze już otrzymał wieści od starostów pogranicznych. Właśnie radzono wtedy o wyborze żony dla króla, wybór padł na księżniczkę Katarzynę meklemburską ²⁾, córkę zmarłego już księcia Magnusa a siostrę księcia Henryka, i zaraz wyprawiono posłów (Jana Łaskiego kanclerza koronnego, Jana Lubranieckiego biskupa przemyskiego i Krzysztofa Szydłowskiego podskarbiego koronnego) w celu proszenia o rękę księżniczki; posłowie ci jednak z drogi (z Poznania) zawróceni zostali, a król odłożył swe projekta małżeństwa, w obec spodziewanej wojny z Wołoszą.

Odbierając coraz groźniejsze z kresów podolskich wiadomości, Zygmunt pisał do Władysława, donosząc o przygotowaniach Bohdana; pisał również iż przed nie wielu dniami, bez żadnego ze strony polskiej powodu, jakiś oddział Wołochów, przeszedłszy granicę, spustoszył kilka włości, uprowadzając więźniów i trzody bydła; prosił tedy Zygmunt ażeby wspólnie rozpatrzone zostały spory graniczne ³⁾.

Przed otrzymaniem jeszcze tego pisma od Zygmunta, Władysław przedsiębrać musiał jakieś kroki, w celu zapośredniczenia między Polską i Bohdanem, gdyż na tymże samym jeszcze sejmie piotrkowskim, znajdował się poseł węgierski, który zapewniał Zygmunta, iż nateraz niczego obawiać się niema ze strony wojewody ⁴⁾; cokolwiek zaś później pisał Władysław, że jeśli układy do pokoju nie doprowadzą, to nawet pomocy dostarczy przeciw Wołochom. Mimo jednak tych zapewnień, nie długo czekać należało na otwarte wystąpienie Bohdana. Pod koniec czerwca nowe przysły wieści od podolskich starostów, którzy pisali, iż co chwila spodziewać się można najazdu Wołochów na ziemię polskie. Zaraz więc (24 czerwca), Zygmunt wyprawił listy do brata z zawiadomieniem o tém; powód zaś nieprzyjaźni ze strony Bohdana, upatrywał w niedoszłym do skutku projekcie małżeństwa jego z królową Elżbietą. Posyłał mu także kopią pisma odebranego w tej sprawie

¹⁾ *Acta Tomiciana* tom I, Comment. str. 32.

²⁾ Decyusz i Wapowski dają jej imię Anny.

³⁾ *Acta Tomiciana* tom I Nr. XXIV.

⁴⁾ Wspomina o tém Zygmunt w jednym ze swych uniwersalów, *Metr. Kor. Ks. XXIV fol. 132*. Poseł ten jednakże przybyć musiał do Piotrkowa już po wysłaniu powyższego listu Zygmunta, inaczej byłby król coś o tém wspomniał.

z Rzymu, wspominając nadto, iż co się tyczy układów zawartych z Aleksandrem pod pewnymi warunkami, on sam nic nie przedsiębrał bez rady i wiadomości samegoż Władysława. Wreszcie prosił go raz jeszcze o pośrednictwo, tak niechętnie miał przyjąć wojnę, którą rozpoczynał Bohdan ¹⁾.

Zadne jednak pośrednictwo powstrzymać już nie mogło zamierzonyj przez wojewodę wyprawy, i zaledwie wyprawione zostało pismo Zygmunta do króla węgierskiego, znowu nadlecieli gońcy z Ukrain podolskich, lecz teraz z wiadomością już, iż Bohdan ze znacznemi posiłkami Tatarów i Turków, przeszedł granicę, obległ Kamieniec, a okoliczne miasta ogniem i mieczem pustoszy. Znowu tedy wyprawił Zygmunt pismo do Władysława, a zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność za tę wojnę, donosił iż mimo najszczerzej chęci zachowania pokoju, dłużej już cierpliwym być nie może, oraz i postanowił nieodmiennie wystąpić do boju, własnej swój nie oszczędzając osoby ²⁾.

Tymczasem Bohdan zebrawszy liczne wojsko, powiększone znacznemi posiłkami Wołochów południowych, Turków i Tatarów ³⁾ wpadł najprzód na Pokucie; potem przeprawivszy się przez Dniestr i ściągnąwszy siły pod Chocimem, ruszył ku Kamieńcowi, który obległ (27 czerwca), rozbiwszy załogę kamieniecką, która zrobiła była wycieczkę pod Chocim ⁴⁾. Nie mogąc jednakże zdobyć warownej fortecy, ruszył pod Halicz, broniony przez okoliczną szlachtę i rycerstwo; lecz i tu także nie lepiej mu się powiodło, bo parę razy porażony, utracił część dział; poszedł tedy dalej, ogniem i mieczem całą okolicę pustosząc, a nie oszczędzając ani płci ani wieku. Wreszcie stanął Bohdan pod Lwowem. Miasto to trzy dni bezużytecznie szturmował z dział wielkich, któremi obsadził przeciwległe zamkowi wzgórza; częste téż wycieczki obleżonych, nadto wiadomości, iż król nadciąga z licznem wojskiem oraz że pospolite ruszenie się zbiera, to wszystko znagliło go do odwrotu. Nie mogąc wszakże zdobyć miasta, spalił tylko przedmieścia. W odwrocie zajmąwszy miasto Rohatyn przez poddanie się jego dobro-

1) *Acta Tomiciana* tom I Nr. XXV.

2) *Acta Tomiciana* tom I Nr. XXVI.

3) We wszystkich prawie źródłach znajdujemy pewne dowody, iż Turcy i Tatarzy posiłkowali Bohdana w tej wyprawie. W jednym z uniwersałow króla czytamy: „...Valachus habeat in auxilium Multanos Transalpinos et Turcos. (*Metr. Kor. Ks. XXIV l. c.*), patrz również *Vapovii Fragmentum* pag. 540. W liście do Łukasza biskupa warmińskiego, pisał Zygmunt: „...actio hec non solum cum perfido Valacho est, sed etiam cum Turcis et Tartaris, quorum auxilia sibi adscivit. *Acta Tomiciana* tom I Appendix Nr. 23 str. 33.

4) Szczegół ten podaje z *Metr. Kor.* Lubomirski w *Trzech rozdziałach historii skarbowości w Polsce*, str. 18.

wolne Bohdan spalił go i zburzył, ludność całą do niewoli uprowadził, a z kościołów pozabierał złote i srebrne sprzęty, kielichy, dzwony i t. d. ¹⁾).

Gdy w ten sposób Bohdan pustoszył południowo-wschodnie kresy polskie i bezkarnie posunął się aż pod sam Lwów, na razie król nie mógł stawić dostatecznego oporu, bo nawet nic przygotowanem nie było do wojny. Zygmunt aż do ostatniej chwili ufał w pośrednictwo Władysława, wierzył ciągle powtarzanym zapewnieniom brata, że pokój utrzymanym będzie. Wprawdzie ze strony Władysława nie brak było najlepszych chęci, a o ile przechowało się szczegółów w korespondencji jego z Zygmuntem, widzimy iż gorąco pragnął utrzymać zgodne stosunki między królem polskim a hołdowniczym mu państwem. Z drugiej znów strony Zygmunt, o ile mógł ociągał się z przedsięwzięciem ostatecznych środków przeciw Wołochom ze względu na Władysława, i urazy, których w innym razie nie ścierpiałby nigdy, przedstawiał tylko bratu, żądając wstawienia się jego w sprawy graniczne. Wreszcie z innych jeszcze względów Zygmunt pragnął mimo to wszystko utrzymać dobre z Wołoszą stosunki, uważając kraj ten jako przedmurze Chrześcijaństwa przeciwko Turkom i Tatarom, a trwałe przymierze Polski i Węgier z wojewodą wołoskim, zapewnić mogło korzystne i bezpieczne względem tamtych stanowisko ²⁾).

Jak widzimy tedy, względy to były nader ważne i dla nichto Zygmunt o ile mógł, to zwlekał wojnę z Bohdanem. Gdy jednak otrzymał wieści o otwartem już wystąpieniu wojewody, tém z większą energią zabrał się do przygotowań wojennych, aby poskromić wiarołomnego sprzymierzeńca i raz na zawsze ukrócić jego zuchwałe zachcianki. Zaraz więc po odebraniu wiadomości o wtargnięciu Wołochów, Zygmunt wydał uniwersały, powołujące pospolite ruszenie, które zebrać się miało około Gródka (niedaleko Lwowa). W uniwersałach tych i listach okólnych, przedstawiał cały przebieg sprawy, wspominał o ciągłym zgromadzaniu wojsk przez Bohdana pod pozorem obrony przeciw Tatarom, o negocjacyach króla Władysława w celu utrzymania pokoju i o wiarołomnem zerwaniu traktatów przez wojewodę, mimo że żadnego nie dano mu na to powodu. W obec zaś smutnych wiadomości przysłanych z Podola o oblężeniu Kamieńca i spustoszeniu jego okolic, jak również w obec znacznych sił nieprzyjaciela, zwiększonych posiłkami Turków i Tatarów, Zygmunt powoływał wszystkich do broni pod surową odpowiedzialnością, ktoby się nie stawił na czas i miejsce oznaczone w uni-

¹⁾ *Decius De Sigis. regis temporibus pag. LXIX, Vapvii Fragm. pag. 540 Acta Tomici. l Coment. pag. 32 Metr. Kor. l. c.*

²⁾ Górski w swych komentarzach pisze „Et rex quidem Sigismundus invitus bellum hoc suscepit adversus vicinam et ohristianam gentem, que et regno Hungariae Polonis confederato, subiecta et munimentum esset tam Hungariae quam Poloniae regnis contra Turcorum impressiones (*Acta Tomiciana tom I pag. 32*).

wersałach ¹⁾, zapewniając iż wyprawa ta musi pójść pomyślnie, jeżeli wszyscy chętnie się do niej przyłożą; w przeciwnym zaś razie kraj większe jeszcze kłęski doznać może, gdyż nieprzyjaciel powodzeniem ośmielony, posuwać się będzie w głąb kraju. Wreszcie zawiadamił Zygmunt, iż sam swoją osobą uczestniczyć będzie tej wyprawie ²⁾.

¹⁾ „Ut quilibet ad bellum obligatus pro die et loco predictis sub vitae et bonorum ammissione compareat...” Gdzieindziej znowu: „Et si quispiam vestrum locum et tempus prefatum neglexerit, vita et bonis irremisibiliter privabitur.” Zwyczajna to była formuła w uniwersałach powołujących pospolite ruszenie, niemniej przeto surowo była przestrzegana. Posiadamy bowiem wyroki tegoż króla Zygmunta, nakazujące konfiskatę dóbr osób które albo nie stawily się, albo się spóźniły na czas oznaczony. Dla uwolnienia się od obowiązującej służby wojskowej potrzebne było wyłączenie na to pozwolenie królewskie. Taką absolucją dla Jana Tarnowskiego, późniejszego hetmana, wydał Zygmunt w 1520 roku, pozwalając mu wyjechać z kraju dla pielgrzymki do kaplicy Loretańskiej (*Metr. Kor. Ks. XXIV kar. 295*). Absolucye takie wydawano dla rozmaitych przyczyn.

²⁾ Z pomiędzy kilku ówczesnych uniwersałów królewskich, podajemy tu parę, które nie znajdują się w Aktach Tomickiego:

Restium Literae: Sigismundus Dei Gracia, Rex Poloniae etc. Universis et singulis subditis nostris ad bellicam expeditionem de jure, constitutione et consuetudine quomodolibet obligatis in terra Cracoviensi et districtu eisdem presentibus requirentes sincere et fidelibus nostris dilectis. Noveritis et quilibet vestrum pro certo sciat quod waywoda Valachie pace, quam hactenus nobiscum et cum universo Regno nostro et dominij habuit, postposita et nobis nihil tale opinantibus violata, exercitum ex omnibus subditis suis validum congregavit, fortassis et a Turco auxilia habituris et jam in crastino festi sancti Joannis Baptiste, villis, opidis Podolie conflagratis, civitatem et castrum Camenez nostrum vallavit et expugnare nititur. Cui quidem si in hoc proposito suo feliciter succederet, sine dubio non remaneret contentus in hoc sed ulterius ad vastandum Regnum procederet. Volentes itaque diffensionem ceteris et opportunam adversus eundem facere et constituere, decrevimus personaliter omnibus terris et subditis nostris exercitualmente congregatis in campum quanto celerius progredi. Qua propter vobis omnibus et singulis status et conditionis cuiuslibet existentibus, servicium bellicum obligatis ad his nostris ultimis restium Literis mandamus et precipimus, ut pro die sancti Petri ad Vincula proximo futuro circa Grodek armati sufficienter in personis suis propriis, conscripta expeditione posthabita, quam hac vice retractamus, sed iuxta bonorum suorum facultatem apud nos compareatis et ad nos omnes conveniatis sub ammissione vite et bonorum, ut ex eodem loco ordinati congregati in Dei nomine hostem oppugnandum et exterminandum procedamus. Etsi quispiam vestrum locum et tempus prefatum neglexerit vita et bonis irremisibiliter privabitur igitur secus non facturi. Praesentes autem Restium alter Literas alteri proximiori fideliter ut moris est mittat, et ultimus easdem Capitaneo loci restituat similiter sub vite et bonorum ammissione. Datum Cracovie feria secunda festi Visitacionis gloriosissime Virginis Marie Anno Domini 1509.

I natychmiast odpowiednie przedsiębrano środki, ażeby silne zgromadzić wojsko odporne. Dla obrony granic rozłożone na Pokuciu wojsko pod Janem Kamienieckim i przy pisarzu polnym Wacławie

Ad Capitaneos. Sigismundus Dei Gratia, Rex Polonie etc. Generose fidelis noster dilecte. Valacho Camenez oppugnanti et in Regnum cum suis exercitibus invasionem facere volenti, in Dei Nomine cum exercitibus nostris occurrere personaliter decrevimus, utque exercitos omnium terrarum circa Grodek congregentur pro festo sancti Petri ad Vincula proxime futuro literas Restium ad te mittimus, tibi mandantes sub vite et bonorum ammissione, ut statim et omni mora postposita, Restes ipsas nostras per Terras et districtus sui Capitaneatus dirigas et circumferri, ut moris est, bellumque proclamare facias ut quilibet ad bellum obligatus pro die et loco predictis sub vite et bonorum ammissione compareat et cum suo Castellano ordinate, dampna non facienda, ad locum deputatum proficiscatur per Terram Lublinensem propter comitatum habundanciam et navigij facilitatem, quod si quis accus fecerit, sine gracia bonis et vita privabitur. Tu vero nihil quod tui officij est neglecturus sub pena superius expressa. Datum ut supra in literis Restium.

Ad Civitates pro curribus bellicis. Sigismundus Dei Gratia Rex Polonie etc. Famosi fideles nostri dilecti. Ad reprimendam hostilem Waywode Valachie vim et impetum, qui his diebus valido undequoque congregato exercitu in terras Podolie Regni nostri excursionem fecit, exercitusque suos ad oppugnandum Camyenez subduxit et, ut certo didicimus, ita se instituit ut possit etiam presidio Thurcarum longius et lacius in Regnum nostrum debachariac illud quanto immemoribus depopulationibus affecere decrevimus personaliter pro die sancti Petri ad Vincula proxime instanti circa Grodek cum universis subditis nostris ad bellicam expeditionem quoquomodo obligatis constituti feliciter. Idcirco vobis mandamus omnino habere volentes ut ad diem et locum supra scriptos, currus ad bellicam expeditionem per vos dari solitos debitosque in omnibus necessarijs et apparamentis atque peditibus armatis expediatis ac sub vite et omnium bonorum vestrorum privacione nobis mittatis, aliter sub penis predictis facere non ausuri. Datum Cracoviae ut supra.

Alie Litere Restium pro ceteriori expeditione. Sigismundus Dei Gratia Rex Polonie etc. Universis et singulis subditis nostris ad bellicam expeditionem de jure, consuetudine et instituto quomodolibet obligatis in terra et districtu Cracoviensi ubilibet existentibus, presentibus requirentes sincere et fidelibus nostris dilectis. Invalescentibus hostibus, qui non contenti quod Camenez oppugnaverunt, expugnantque et illam cinctam obsidionem urgent, sed usque Halycz, Rohatin processerunt et ceteris villis et oppidis in conflagratisque in Leopolim penetrarunt illamque civitatem iam obsidione urgent et atrociter expugnant, cuius suburbia in toto combussissent, si nostri ex civitate erumpentes eos non proppulsissent et quosdam profligassent, decrevimus congregare cogereque ad exercitum quemcumque possumus ut a populandis lacerandisque visceribus Regni eosdem cum auxilio Regni prohibeamus, donec vires nostras efficacius congregemus et reintegremus. Qua propter iam non expectandus est dies in restibus designatus sed velocissime tanquam ad immediam vehementem opprimendum

z Baworowa wynosiło w tym roku 700 koni ¹⁾). Zaszczupłe to były siły dla stawienia czoła wojewodzie mołdawskiemu. Pospolite ruszenie nie prędko zebrać się mogło, Zygmunt więc ściągnął ile mógł zaciężnych Czechów i Niemców. Dla opłacenia ich jednak, jak również dla opędzenia innych kosztów wojny, zaciągniętą została pożyczka; dochody bowiem dotychczasowe z podatków, ceł i mennicy, zużytkowane były na wojnę z Moskwą, a nowe podatki nie tak prędko wpłynąć mogły. Najwięcej pomógł królowi Jan Boner ze spółką, złożonywszy na potrzeby Rzeczypospolitej 18000 florenów. Inni w liczbie czterestu osób (między którymi znajdujemy królowną Elżbietę, biskupów krakowskiego i przemyskiego, Mikołaja Jordana kasztelana bieckiego i t. d.) złożyli 17000 florenów „na słowo i wiarę” poręczycieli: Andrzeja Kościeleckiego i Jana Bonera. W razie nieoddania, warują sobie jako zastaw urząd Krakowa, świeżo wykupione srebra królewskie, a Spytek z Jarosławia starostwo rabsztyńskie. Termin do oddania przed Zielonemi Świątkami roku przyszłego z dochodu komór, żup i mennicy ²⁾).

consurgendum est et succurendum periclitanti patrie, pro qua quilibet vir bonus omnia extrema facere debet. Nos vero parati sumus sed neminem habemus cum quo consurgere debeamus, nam nec serviles adhuc in toto parati sunt. Tamen ubique maturando se preparant.

Ad Castellanos Mandatum. Quocirca Tuam S(inceritatem) hortamur rogamusque et strictissime mandamus consurgat cum terra et districtu ad se pertinenti et veniat versus Pylzno, quia fortassis iam alibi congregatio fieri non potest alijsque omnibus similiter faciendum persuadeat, quod si hac in re tuam diligenciam cognoverimus, plurimum honorem te dignum concedimus atque ideo aliter etc.

Ad Capitaneos. Quocirca F(idelitati) Tue mandamus strictissime precipientes quatinus ubique in Capitaneatu sui mox visis presentibus et absque ulla mora, proclamaciones fieri mandet, ut omnes et singuli subditi nostri de Capitaneatu tuo expeditionem bellicam debentes versus Pylzno se conferant quam citissime, eciam non expectato die in literis Rustiam designato, quia fortassis iam alibi congregatio fieri non poterit. Ideo aliter etc.

Ad Dominos Episcopos. Quoniam vero de statu Regni agitur, qui nunquam propinquior periculo fuit, quilibet presumere debet sibi licere arma sumere et pugnare pro patria, nam ibi nec etati nec sexui nec sacris ecclesiis parcitur. Quocirca S(inceritatem) Vestram rogamus et hortamur mandantes quatinus pro certo patriam in ea calamitate constitutam esse firmiter credat et ideo consuleat hortetur communeficiat dignitarios, terrigenas ut diem Restibus constitutum non observent sed versus Pylzno transire maturent se nobis coniuncturi ut saltem possimus hostem prohibere ne progrediatur, donec se alij congregaverint et ipsemet eciam adiuvet sicuti melius potest rem debitam dignamque et religioni virtutique sue congruam faciet; sicut eandem facturi confidimus. Datum Cracovic feria quinta in Vigilia Sancte Margarethe Anno Domini 1509
Metr. Kor. Ks. XXIV pag. 133, 134.

¹⁾ *Trzy Rozdziały z historii skarbowości w Polsce* str. 17.

²⁾ *Tamże*, str. 18, patrz również Decyusza fol. LXVIII.

Dopełniono jeszcze tę pożyczkę biorąc od Stanisława Małdzyka z Chodywaniec i Jana Odrowąża 2000 florenów pod zastawem starostwa samborskiego, obszernego lecz jeszcze nie ludnego ¹⁾. Pożyczka ta zawarta 2 sierpnia, a d. 4 tegoż miesiąca król wyjechał z Krakowa ²⁾.

Niemniej także pilną zwrócono uwagę na obronę miast główniejszych. W Krakowie jeszcze za Jana Olbrachta, podczas najazdu Turków, Tatarów i Wołochów, poczynione były roboty fortyfikacyjne; wówczas wystawione baszty i brama św. Floryana oraz wały i rowy ³⁾, dostateczną stanowiły obronę stolicy; teraz zaś mieszkańcom Wieliczki odstąpiono część czopowego dla naprawiania murów miasta, niby forpoczty stolicy; również pilnie zaopatrzone inne miasta, zatoczono działa i hakownice na mury Sandomierza, Zawichosta i Kazimierza ⁴⁾.

Tymczasem popolite ruszenie zbierało się pod Lwowem, liczone je aż na 60000 ludzi ⁵⁾. Zbierały się także rotty płatne, 301 koni rot nadwornych, 1000 koni jazdy i 3050 piechoty ⁶⁾, miasta także dostarczyły zwyczajny kontyngens. Dobiesław Chmielecki, koniuszy przemyski, objąwszy naczelnictwo nad armatą lwowską, urządzał ją i porządkował ⁷⁾. Mniej pomyślnie udało się królowi z posiłkami, które pragnął ściągnąć z Litwy. Wysłany w tym celu kanonik krakowski Tarło z niczém powrócił, a w ślad za nim przybyły (już do Lwowa) Wojciech Janowicz przywiózł królowi odpowiedź panów rad litewskich, wymagających się od posiłkowania króla, najpierw dla niebezpieczeństw od granic moskiewskich. Tutaj po zamkach silne trzymać musiano załogi, szczególnie w Smoleńsku, Połocku i Witebsku, Wołyńców zaś z księciem Konstantym Ostrogskim ruszyć ztamtąd nie mogli (jak to też sam Zygmunt zalecał). Zresztą naruszyć nie chcieli przymierza między Litwą i Wołoszą z tego względu, iż Wielkie Księstwo mając już i tak w około siebie groźnych nieprzyjaciół: Moskwę i Tatarów, gdyby jeszcze potrzebowało walczyć z wojewodą mołdawskim nie byłoby w stanie oprzeć się na wszystkie strony. Nadto przypominali królowi niedoszłą wyprawę Wielkiego Księcia Aleksandra, który miał zamiar iść w pomoc swemu bratu Janowi Olbrachtowi do Wołoch, lecz dla tychże samych przyczyn z drogi się cofnął ⁸⁾. Niemniej jednak wielu panów

1) *Trzy Rozdziały* l. c.

2) Podług Decyusza (fol LXIX), 26 lipca.

3) *Miechowity Chronica Polonorum* f. 353.

4) *Trzy Rozdziały* l. c.

5) *Vapovii Fragmentum* fol. 540.

6) *Trzy rozdziały* l. c.

7) *Metr. Kor. Ks. XXIV* f. 1. Regestrum bombardarum, pixidum, pulverum aliarumque rerum, expeditionem bellicam concernencium per olim Regem Albertum relictarum per me Dobeslaum Leopoli reperta ac conscripta feria tertia post Divisionem Apostolorum proxima Anno 1509.

8) Podajemy tu w całości odpowiedź panów litewskich w sprawie żądanych posiłków przeciw Wołochom:

litewskich z licznemi poczty dobrowolnie wzięto udział w wyprawie;

Poselstwo do Hospodaria Icho Miłosti od Panow Rad Welikoho Książstwa Litowskoho panom Woytechom Janowiczom Ochmistrom Korolewoje Jeje Miłosti we Lwowe Meseca Ok. Jndykta Tretchonadcat.

Prelaty, panowe Rada, Welikoho Książstwa Litowskoho, słuhi Waszoje Miłosti kazali Waszey Miłosti powedyt Hospodarowi swojemu, sztoż tymi razy prelaty, panowe Rada Koruny polskoje bratia nasza przysyłali do Nas w poselstwo kanonika Krakowskoho kniazia Tarła, ziwłajuczy Nam załost i szkody kotoryż sia tych czasow nowo stali panstwu Waszoje Miłosti, korune polskoy od nepryjatela Waszoje Miłosti Wojewody Wołoskoho i Wskazali Ich Miłost do Nas czerez toho posła swojeho, żedajuczy Nas aby chmo Ich Miłosti pomocz uczynili protiwo tomu nepryjatelewi, przypominajuczy Nas tymi pomoczmi, kotoryje oni Nam czynili czasu potreby Naszoje tych walek proszlych, kotoryż jeśmo meli z Moskowskim i też nasze prereczenie, ktoroje jeśmo wczynili Ich Miłosti, pered tym, czerez posła naszoho.

Ino Miłostiwyj Hospodariu, My nerozumejem ktoruju bychmo onuju pomocz meli uczyniti Ich Miłosti brati naszoy, nezli tymi ludmi kotoryż tymi czasy leżali na Prypiati, kotorymże Wasza Miłost Hospodar nasz weleli k sobe pryjechati i onymi ludmi dobrymi brateju naszou, kotoryjeż na tot czas mezsłkajut pry Waszoy Miłosti a inyje jeszcze jedut do Waszoje Miłosti zaule Miłostywyj Hospodariu peredytm za brata Waszoje Miłosti sławnoje pamiaty korola Aleksandra; pry Waszoy Miłosti Hospodari naszom paniata abo dworane z koruny polskoje pryjeżdżywali walecznoho czasu dla swojeje przysłuhi a nekotoryi na swoju szkodę a wedžo Miłostiwyj Hospodariu, Panowe Ich Miłost z koruny polskoje bratia nasza pokładali Nam tyje ludi w pomocz.

Prytom Miłostiwyj Hospodariu aby chmo choteli inuju ktoruju pomocz od cęła wczyniti, Wasza Miłost Hospodar nasz Smolenskich ludej i Połockich i Witebskich odtud z Ukrain nakazali ruszati, a kniaziat Druckich i Mohilewcow i Kraszewcow tych ludej Wasza Miłost obernuli do kniazia Fedora Zaślawskoho, a My Miłostiwyj Hospodariu podle rozkazania Waszoje Miłosti pryjechali zdese do Lidy sami z naszymi słuhami leżym, a pry nas powetow welmi mało, a kotoryj zemianie pryjeżdżajut, im Miłostiwyj Hospodariu od nich welikij dokuki majem. Prychodiaczy do Nas z płaczom pokładajut załoby na tych dečkich, kotoryż na nich prawili winy Waszoje Miłosti rekuczy: wolen Hospodar chotia Nas szyjami naszymi kaznit, nemajem o czom jechati, a kniazia Konstantyna z Wołyncey zostawili Wasza Miłost tam sterczy toho państwa zemli Wołyńskoje. Jestli bychmo Hospodariu kniazia Konstantyna z tymi ludmi Wołyncey posłali do Waszoje miłosti, za to majem iż bychmo mir wecznyj tym poruszili z Wołoskim, kotoryż majem, ktoroho sterehli predki Waszoje Miłosti poczonszy od Witowta i od Welikoho kniazia Zygmonti, za otca Waszoje Miłosti i za brata Waszeje Miłosti był potwerczen, kotoryżje mir i do sich czasow wo wpokoi stoi, i koli brat Waszeju Miłosti sławnoje pamiaty korol Alexander wytiahnul był sam swojeju hołowu so wsimi mocami swoimi Welikoho książstwa Litowskoho i w pomoczy bratu Waszoje Miłosti korolu Olbrachtu, i wba- czywszy toje z pany Radami Icho Miłosti i żeby tym był mir weczystyj z Wo-

niektórzy nawet własnych kosztów nie szcędząc „na swoją szkodę“ (ryzyko?) wyruszyli, prowadząc po kilkadziesiąt i więcej koni ¹⁾. Tak więc zgro-

łoskim poruszono, Jego Miłość so wsiami mocami sam z pola wernął nizli szto kniazat i paniat był Joho Miłość odpustil ku korolu Olbrachtu, pod toju meroju holos u wojszczy pustiwszy, jakoby tyje ludi sami dobrowolne jechali ku bratu Waszoje Miłosti korolu Olbrachtu na jego penezu. A wodžo Miłostiwyj Hospodarju tym tot mir mezy twymi państwami był neporuszon, Twoja Miłost Hospodar nasz raczy to wziati przed sebe, iż toje panstwo Welikoje kniazstwo so wsich storon oborneno jest nepryjatelmi Waszoje Miłosti, poczow od Prus i do Liflant, od Liflant i do Moskwy, od Moskwy i do Perekopskoho. Z tych storon Welikoje kniazstwo welikij wpad wiało i innoho otoszo; nizli tolko jeszcz Hospodarju do tych czasow z toje storony od Wołoskoho toje państwo w pokoy meło. Jakoż Božo uchowaj, jeśli by tot mir z toje storony był poruszono, szto Twoja Miłost Hospodar nasz sterezysz służebnymi tych zamków Smoleńska i Połocka i Witebska, potomuz musiły Twoja Miłost i Łucka i inszych zamków osmotrywati służebnymi i toby było z welikoju szkodoju Waszeje Miłosti, a Namby Hospodarju lubomu odpor czyniti. Protoż Miłostiwyj Hospodarju, sterezucz toho czohoż sterechiwali predki Waszeje Miłosti, nemożem toho na swoi holowy wziati. Ino dla toho Miłostiwyj Hospodarju i tyje ludi dobryje bratia nasza kotoryjż do Waszeje Miłosti pojechali, aby pod toju meroju byli ślanemi, jakoby tot mir mezy twymi państwami nebył poruszono. A wedžo Miłostiwyj Hospodarju vse to wyszey pokładajem na rozum Twojeje Miłosti pana naszoho miłostiwoho, Wasza Miłost raczti tako weczyniti, szto sia budet lepszoho wideti Waszej Miłost Hospodarju naszomu miłostiwomu, jakoby wpered było z dobrym Waszeje Miłosti hospodarskim i przytecznym (?) toho państwa ubohoho.

¹⁾ W popisie dworzan Wielkiego Księstwa Litewskiego, cokolwiek późniejszym, spisani zostali ci, którzy podówczas uczestniczyli w wojnie z Wołoszą. Ustęp ten podajemy tutaj:

„Na pamiat katoryje panowe i dworiane słuhi swoje ślali na łasku hospodarskoju z Wołoschom: Pan Hryhorey Marszałok 36 koney; Pan Litawor Marszałok 80 kon., Panowe Wojewodiozy Wileńskie oba 60 kon.; kniaz Czortoryski 80 kon.; Zenowiewicz try 30 kon.; Pan Nemira 10 kon.; Podskarbi Iwan 12 kon.; Iwaszko Sopiężyc 12 kon.; Hromyka 10 kon.; Kopot pisar 8 kon.; Swiatosz pisar 7 kon.; Podskarbi Bohusz 15 kon.; Fedko Hawryłowicz 8 kon.; Jakub Kuncewicz 6 kon.; Stanisław Dowoynowicz 12 kon.; Jesman 10 kon. na peniazach a na łasce 20 koney.—A to tyje na swoju szkodę z łaski służyli: kniaz Iwan Duda 6 kon.; Łukasz Skirman 4 kon.; Iwan Hornostaj 4 kon.; Worona 4 kon.; Lewsza 5 kon.; Wasin 2 kon.; kniaz Petr 6 kon.; Zaranko 5 kon.; Woyna Bohowitynowicz 3 kon.; Stec brat jeha 2 kon.; Andrey Bobrowicz 4 kon.; Andrey brat jeha 2 kon.; Iwaszko Bołhakowicz; Iwaszko Hlebowicz 4 kon.; Miszko Brianec 2 kon.; Weroszczaka 6 kon.; Andrey Kuszyński 2 kon.; Stanisław Wesztort 2 kon.; Waško diak 6 kon.; Tury dwa 20 kon.; Kucuk 4 kon.; Waško Kryczowski 3 kon.; Osanas Moskwitin 2 kon.; Kniaz Jury Hliński 12 kon.; Iwaszko Radobylski 20 kon.; Iwaszko Waś-

madzone wojska polskie przedstawiały poważną siłę, która łatwo mierzyć się mogła z Wołochami. Król przybywszy do Lwowa, sam osobiście miał prowadzić wyprawę, ale zachorowawszy nagle na febrę, z wielkim żalem pozostać musiał i złożył naczelne dowództwo w ręce Mikołaja Kamienieckiego wojewody krakowskiego ¹⁾. Roty zaciężne Czechów i Niemców prowadził Czech Bogusław (Bohun) Czyrnin ²⁾ a rotę zaciężnych Polaków Jan Tworowski, słynny potem hetman, a któremu przez lat wiele powierzano straż granic na Rusi.

Za zbizaniem się licznych wojsk polskich, oraz za przybyciem króla do Lwowa, Bohdan śpiesznie cofać się począł do Mołdawii. Król atoli postanowił srogo skarać najazd, ażeby powstrzymać nadal wiarołomnego wojewodę od podobnychże napaści i rozkazał Kamienieckiemu

kowicz.—Wołochowie: Ursul 5 k.; Neguł 3 k.; Petr Kałusowski 3 k.; Waško 3 k.; Bohdan z Kryczowa 3 k.; Iwan Syczkowski 2 k.—A to tyje szto z Oleśkim jeździli: Książ Żyliński 20 k.; Pana Sołtanowicza 15 k.; Bohdan Koniuszoho syn 12 k.; Weżgayło 4 k.; Olechusz z Dorohiczyna 3 k.; Pańko Worotyńiec 3 k.; Stańko Drożczyński 4 k.; Tarnowski Ratomskoho ziat 4 k.; Sołtan Stawerski 3 k.; Michayło z Połocka Fedkowicz 3 k.; Iwan Moskwitin 3 k.; książ Iwan Seński 15 k.; książ Iwan Potubeński 10 k.; książ Petr Mosalski 6 k.; Mikłasz Drohiczaniec 4 k.; Matey Petrowicz 3 k.; Kulniew 3 k.; Michayło Kureyszyn 4 k.; Matyas z Berestia 4 k.; Kałantajew młody Iwan 4 k.; Olesza Żywołow 4 k.; Danilo Moskwitin 2 k.; Petr Micuła (?). A to kotoryje z Prońskim byli jeździli do Wołoch: książ Proński 20 k.; Marszałkowych pana Szapieżynych 50 k.; Szemetowicza 5 k.; Stanisław Sirewicz 5 k.; Furs Pinianin (?) 4 kon.; Jan Podolanin 2 k.; Lenart Kosiński 5 k.; Kłopotowski z Dorohiczyna 2 k.; Stanisław z Dorohiczyna 2 k.; Andrey Epimach 8 k.; Fedor Michajłowicz 6 k.; Tatarowe Kazimirowiczy, Tewesza Wojtko a Majko a Dawid a Dowlesz 10 koney.

¹⁾ *Vapovii Fragmentum* pag. 540.

²⁾ Autor *Trzech rozdziałów z historyi skarbowości w Polsce* błędnie zrobił uwagę, iż nie Kamieniecki, lecz właśnie ów Czyrnin naczelnym był wodzem w tej wyprawie, opierając się na danym mu tytule *Campiductor* we współczesnych źródłach. Tymczasem, jak słusznie już zauważył p. Hirszberg (*O Życiu Decyusza* str. 98), wódz naczelnym nosił zawsze tytuł *Campiductor generalis*, sam zaś *Campiductor* oznacza dowódcę pewnego tylko oddziału i sądząc z tychże samych rachunków królewskich a jeszcze bardziej z ustępu Decyusza który mówi: „...*militēs mercenarii ex Bohemis et Germanis qui sub Sczireno Bohemo duce militabant* (str. LXIX), wątpić nie można, iż ów Czyrnin był tylko dowódcą najemnych Czechów. Wapowski powtarza razy kilka, iż Kamieniecki był *omnium copiarum dux* (*Fragmen. p. 540*). Toż samo mówią Decyusz i Górski, że Mikołaja Kamienieckiego król przełożył *omnibus recensitis copiis*. Bartoszewicz powiada, że Kamieniecki został hetmanem, t. j. *exercituum regni campiductor, capitaneus generalis*, 1 września 1505 roku, a podanie to jest najpewniejsze, bo nominacja zapisana w *Metr. Kor. Ks. XXII k. 4*.

ściągąc Bohdana, wtargnąć do Mołdawii i prowadzić wojnę bez żadnych względów, iżby w ten sposób odwetować ciężkie klęski zadane Rusi. Wyprawiając zaś rycerstwo, ślub uczynił, iż po szczęśliwem skończeniu wyprawy, złoży srebrne wota na ołtarzu świętego Stanisława patrona Polski ¹⁾.

Surowe to postanowienie Zygmunta zmienić usiłował król węgierski Władysław, a występując znowu w roli pośrednika, starał się powstrzymać rozpoczętą wojnę. Wprawdzie wiadomość o wtargnięciu Bohdana w ziemie polskie i o pustoszeniu Rusi, smutne na dworze węgierskim uczyniła wrażenie, ale Władysław mimo traktatów, na mocy których niezwłocznie powinien był dawać pomoc Polsce przeciw niewiernemu sprzymierzeńcowi, tak wysoko stawiał dobre stosunki z Mołdawią, stanowiącą przedmurze przeciwko Turcyi, że postanowił próbować jeszcze drogi dyplomatycznej, ażeby ostatecznie nie postradać i tak niepewnego hołdownika, który jeśliby otwarcie przerzucił się na stronę Turcyi, wywołać mógł wojnę groźną dla państw obu: Węgier i Polski. Nie spuszczając tedy z myśli względów ogólnej polityki, wszechwładnie wówczas panującej w Europie, a której ostatecznym celem było zabezpieczenie się od Turków, Władysław pragnął drogą pokojową ułagodzić wojnę wybuchłą między Polską a Mołdawią. W tym celu wzywał on brata, ażeby wstrzymał się przez czas pewien od dalszych kroków wojennych. Tymczasem zaś posłowie węgierscy Oswald Karłacz i Barnabas Belay udać się mieli do wojewody i objawiwszy mu, że postąpił wbrew przysięgom i przyrzeczeniom, takowe przypomnieć mu winni byli i zabezpieczyć na przyszłość. Co się zaś tyczy krzywd i strat wyrządzonych Polsce przez spustoszenie Rusi, Bohdan powinien był dać za nie żądane zadośćuczynienie. Gdyby zaś odmówił temu wezwaniu, wówczas król węgierski na mocy traktatów wspierać miał Polskę przeciw niemu. Takie propozycje wręczone zostały przez króla i senat węgierski posłowi Zygmunta, przybyłemu do Budy. Główne zaś przyczyny, iż tego rodzaju zachowanie się względem Mołdawii było koniecznym, upatrywał Władysław w tém najpierw, iż wojewoda, który gotów jest na wszystko, mógłby wezwać posiłków Turków i Tatarów, (jakoby już ich nie miał), przez co i jedni i drudzy mieliby ułatwiony wstęp do Polski i Węgier, to zaś tém łatwiejszém byłoby dla nich, gdyż Mołdawia wyludnioną i spustoszonąby została przez wojnę z Polską. Dalej przełożyć kazał, iż w kraju nieznanym a pokrytym lasami, Bohdan rozmaite mógł czynić zasadzki, które niebezpiecznemi byłyby dla wojska polskiego i wreszcie w miejscowościach, gdzie lat poprzednich tak ciężkie doznali klęski cesarz turecki, Maciej król węgierski i wreszcie Jan Olbracht, rezultat walki mógł być nader wątpliwym. Jednym słowem Władysław wszelkich używał środków, aby nakłonić Zy-

¹⁾ *Decius J. LXIX, Acta Tomiciana I Comment. pag. 32.*

gmunta do powstrzymania wyprawy, do czasu przynajmniej, póki posłowie Władysława nie powrócą od Bohdana ¹⁾.

Tych atoli propozycji, przekładanych przez Władysława, Zygmunt żadnym sposobem przyjąć nie mógł; co też wyraźnie objaśnił poseł polski w Budzie, przedstawiając, że chociażby dla tego nawet Zygmunt tak długo ze swoim wojskiem beczynnienie stać nie mógł na Rusi, gdyż kraj ten świeżo spustoszoną był przez Wołochów, a kłeski wyrażone w zasiewach w roku zeszłym, grozić mogły głodem. Co więcej, Polska pozostawiając najazd wołoski bez srogiego na razie odwetu, narazić się mogła na powtórne napaści wojewody, a nowe układy i umowy nie poparte siłą oręża, również rychło zerwane być mogły. Wreszcie dla zachowania silnego stanowiska militarnego i powagi wśród państw sąsiednich, koniecznym było skarcenie Bohdana. To też nam tłumaczy surowość rozkazów, z jakimi król wyprawił Kamienieckiego do Mołdawii.

Gdy więc przedstawienia Władysława nie zdołały obalić powziętego przez Zygmunta postanowienia, Kamieniecki przeprowiadając się przez Dniestr, prowadził wojska polskie do Mołdawii przez Pokucie, zajęte właśnie przez Wołochów. Aż do Kołomyi i Sniatyna nigdzie nie spotkano nieprzyjaciela, tam dopiero pierwsze nastąpiły potyczki, wszędzie jednak Wołochy ustępowali. Wkroczywszy do ziemi Bohdana, Kamieniecki rozpoczął srogą wojnę, ogniem i mieczem kraj cały pustosząc. Miasta i miasteczka, zamki, wsie i osady, wszystko niszczyło wojsko polskie w swym pochodzie. Najpierw uległo miasto Czerniejowce nad Prutem, również spalone i zburzone zostały: Drohimia, Botuszany, Tyrasowce, Chocina i Stefanowce. Zbieg wołoski Waśko Wołoszyn prowadził Polaków na swoich, ułatwiając im przejścia i prowadząc po nieznanym drogach. Schwytawszy drugiego Waśka, który mu był żonę zabrał, wbił go na pal i nie odstępował już wojska polskiego ²⁾. Doszedłszy aż do Soczawy, stolicy Bohdana, Kamieniecki powracać począł ³⁾.

Tymczasem Bohdan, który aż dotąd skrywał się po lasach, żadnego nie stawiając oporu, postanowił napaść na Polaków opuszczających już Mołdawię, u przeprawy na Dniestrze. Gdy więc Kamieniecki po dwudziestodniowej wyprawie stanął nad rzeką, aby przechodzić już na drugą stronę i część już rycerstwa przeprowiadła się była, a tylko oddział Tworowskiego pozostał jeszcze, Bohdan ze swoimi Wołochami,

¹⁾ *Acta Tomiciana* Tom I n. XXVII, porównać *Decyusza* J. LXIX i *Wapowskiego* J. 540.

²⁾ O tém Waśku nie wspomina ani *Decyusz* ani *Wapowski* a tylko *Bielski*, który dodaje zarazem, że potem król mu dał dożywotnio jakąś dzierżawę koło Jarosławia.

³⁾ *Decius* fol. LXX *Wapowski* f. 541. *Acta Tomiciana* Tom I Coment. pag. 32.

oraz kilku tysiącami Turków i Tatarów ¹⁾, ukazał się nagle i zaraz cofać się począł zmyślając ucieczkę, aby wedle zwyczajnego systemu prowadzenia wojny przez Wołochów, wprowadzić Polaków w zasadzkę. Odgadnięto atoli plan Bohdana i zaraz kilka hufców polskich tył mu zajęło. Wołochy pierzchać poczęli na wszystkie strony i Kamieniecki zupełne odniósł zwycięstwo, ciężką zadawszy klęskę nieprzyjacielowi w zabitych, rannych i więźniach. Z tych ostatnich, (których liczono do 300) 50 Kamieniecki ściąć rozkazał, mszcząc się za popełniony pod Podhajcami przez Stefana, ojca Bohdana, mord więźniów polskich, wziętych pod Trębowłą. Wówczas Kamieniecki zapłakawszy nad mogiłą pobitych więźniów, zaprzysiągł był zemstę i teraz ją dopełniał.

Pomiędzy znakomitszymi więźniami wołoskimi, których było trzydziestu, znajdowali się: Maciej Logofet (kanclerz), Hameniak Kyersa (skarbnik), Petryka i Dobrostephus. Ci z innymi więźniami i łupami odesłani zostali do Lwowa królowi, który nakazał dziękczynne modły za odniesione zwycięstwo. Bitwa z Wołochami miała miejsce w dzień ś. Franciszka 4 października i odtąd (wedle uchwały sejmu 1510 roku), dzień ten uroczyście był obchodzony w Polsce ²⁾.

Gdy w ten sposób wojsko polskie, odnosząc świetne nad Wołochami zwycięstwo, pomściło sowiec najazd Bohdana, posłowie węgierscy Oswald Karłacz i Barnabas Belay, przybyli do króla bawiącego we Lwowie, ażeby z mocy nieograniczonego pełnomocnictwa, udzielonego im przez Władysława, doprowadzić do skutku pokój między Polską i Mołdawią. Gdy zaś Zygmunt okazał także gotowość do traktowania, tém bardziej, iż teraz Bohdan dostatecznie już był ukarany, posłowie węgierscy ruszyli niezwłocznie do wojewody i na ich żądanie król wydał rozkazy, ażeby do ich powrotu, wstrzymane zostały wszelkie kroki wojenne ³⁾. Na wezwanie pełnomocników węgierskich, Bohdan przystał także na zawieszenie broni i wkrótce posłowie stron obu zjechali się w Kamieńcu, dla zawarcia pokoju. Od Zygmunta przybyli: Stanisław z Chodźcza, marszałek w. kor., starosta lwowski i kamieniecki, Jan Łaski, kanclerz kor., Jerzy Krupski kasztelan i starosta bełzki i Piotr Tomicki sekretarz królewski. Bohdan zaś przystał: Jana Tentulla, Logofeta, Tadora starostę, Izaaka starostę nowogrodzkiego, i Iwaszka Pitara, bojarów wołoskich; z nimi także przybyli obaj posłowie węgierscy.

¹⁾ Tych ostatnich wedle Decyusza (pag. LXX) było 2,000; Wapowski ogólnie powiada, że było ich kilka tysięcy.

²⁾ *Decius* pag. LXX *Wapowski* pag. 541. *Acta Tomiciana* Tom I. Comment. str. 32.

³⁾ *Acta Tomiciana* Tom I Appenix n. 24 str. 34. Inducio inter Sigismundum Regem et Bohdanum palatinum Moldaviac, pod datą 10 listopada.

Posłowie ci po długich naradach, spisali wreszcie w dniu 17 stycznia 1510 r. główne warunki pokoju między Polską a Mołdawią ¹⁾, Warunki te były następujące:

Najpierw Bohdan zobowiązywał się zwrócić i oddać bez podstępów i chytrych wszystkie łupy i zdobycz wojenną, rzeczy porabowane w kościołach Rohatyńskich i innych miejscach. Również złożyć miał w ręce pełnomocników króla Władysława pisma i dyplomy zmarłego króla Aleksandra, dotyczące układanego wówczas małżeństwa wojewody z siostrą królewską Elżbietą i odtąd nigdy już sprawy téj wspominać nie miał.

Co się tyczy zwrotu kosztów wyłożonych na wyprawę wołoską, o co uporczywie i słusznie poniekąd domagali się pełnomocnicy polscy, warunkiem tego bojarowie wołoscy żadną miarą przyjąć nie chcieli, zdając się na sąd króla Władysława, na co też przystali pierwsi.

Również co się tyczy Piotra, mianującego się synem wojewody i innych Wołochów, którzy zbiegli do Polski, zostawiono to do decyzji Władysława, czy mają pozostać w Polsce, czy też być wydalenii.

Wszyscy więźniowie obustronnie zwróćeni być mają.

Wszystkich ludzi uprowadzonych z Rohatyna i Pokucia, wszelkiego stanu i wieku, wojewoda Bohdan wypuścić ma, ze wszystkiemi co przy nich było; również król polski wypuści wziętych w Mołdawii ludzi.

Co się zaś tyczy Pokucia, zdawano się na sąd króla węgierskiego, który w téj sprawie posłów swych miał przysłać. Ci zaś z czterema pełnomocnikami króla polskiego i czterema wysłańcami Bohdana, na miejscu rozpatrzyć mają i odznaczyć granicę, jaka była za dawnych królów polskich i wojewodów mołdawskich.

Wszystkie szkody w ludziach lub stadach bydła poczynione w ziemi polskiej lub mołdawskiej, przez jednych lub drugich, od czasu ogłoszonego zawieszenia broni przez posłów węgierskich, jeśli dostatecznie udowodnione zostaną, wzajemnie mają być zwrócone, a źli ludzie, którzy te szkody zrzadzili, ukarani będą.

Wojewoda Bohdan zobowiązuje się ostrzegać króla polskiego lub jego starostów pogranicznych, jeśli się dowie o zamiarze wyprawy Turków lub Tatarów, i ani pomocy, ani rady, otwarcie lub tajemnie dawać nie będzie; lecz przeciwnie, wedle możności swój będzie przeciw nim posilkować.

Również król Zygmunt podobnie względem Bohdana przyjmował zobowiązanie.

Również nikomu z nieprzyjaciół króla polskiego, wojewoda Bohdan i jego poddani, schronienia, opieki i żywności dawać nie będą, lecz przeciwnie wydalać ich mają. Takie samo zobowiązanie przyjmował król polski i jego poddani względem nieprzyjaciół wojewody.

¹⁾ *Acta Tomiciana* Tom I n. XXXIX Foedus inter Sigismundum regem et Bohdanum Vaievadam Valachiae in mense Januario a. 1509 str. 56--60.

Jeżeli kto z poddanych króla schroni się do Mołdawii, to starać się może o przebaczenie przez pośrednictwo wojewody i jeśli takowe uzyska, pewnym być może bezpiecznego powrotu; w przeciwnym razie wojewoda znosić go nie będzie w swoich ziemiach, ani go wspierać, ani otwarcie ani potajemnie. Toż samo przyjęto względem poddanych wojewody chroniących się w Polsce.

W razie, gdyby chroń Boże, wojewoda Bohdan napadnięty przez silnych nieprzyjaciół, którym oprzećby się nie mógł, był zmuszony szukać schronienia w ziemiach polskich lub litewskich; to ziemie te otwarte będą dla niego, dla towarzyszących mu i wszystkich poddanych. Nadto król polski przyrzekł wspierać go całą potęgą w celu odzyskania utraconego kraju, poczem swobodnie i wolno ze wszystkimi i wszystkim może do siebie wrócić.

Kupcom obu narodów zabezpieczono handel i wolny przejazd.

Jeśli poddani króla polskiego pokrzywdzeni w czém będą od Wołochów, to szukać mają sprawiedliwości u starostów: chocimskiego, czerniejowskiego i sorockiego, którzy do spraw tego rodzaju pełnomocne mieć będą prawo. Z drugiej znów strony, starostowie kamieniecki i halicki rozsądzać mają wszelkie krzywdy i nadużycia, wyrządzone poddanym wojewody przez podolskich i halickich mieszkańców.

W razie nieporozumień między starostami granicznymi, pełnomocnicy króla polskiego i wojewody rozstrzygać mają sporne kwestye.

Wszystkie te punkta, mające ustanowić trwałą pokój między Polską i Mołdawią, obustronnie podpisane zostały, a dla odebrania przysięgi od wojewody, pojechali do Mołdawii: Jerzy Krupski kasztelan bełzki i Piotr Tomicki (28 stycznia) ¹⁾. Za ich powrotem przybyli do Krakowa (16 marca) pełnomocnicy Bohdana: Tador, Iwanko, Pitar, Łuka i Draga, w celu spełnienia warunków pokoju. Zwrócone więc zostały łupy i zdobycz wojenna, oraz wypuszczeni na wolność więźniowie polscy, zabrani w Rohatynie i innych miejscach, również ze strony polskiej wypuszczono więźniów wołoskich. Poczem (20 marca) Zygmunt i znakomitsi senatorowie polscy w obecności posłów wołoskich i węgierskich zaprzysięgli także traktat ²⁾. Mimo to jednak, długo jeszcze ciągnęły się negocyacye na dworze węgierskim, względem ostatecznego zatwierdzenia tego traktatu przez Władysława, témbardzić, iż w niektórych punktach zdawano się na sąd króla węgierskiego. W tym celu Piotr Tomicki, a później Firlej wojewoda lubelski, kończyli układy na dworze węgierskim ³⁾, nowe spotykając trudności z powodu na nowo zaszyłych ze stron obu nadużyć granicznych. Dostatecznych jednak szczegółów o rezultacie prowadzonych negocyacyj nie znamy, traktat

¹⁾ *Acta Tomiciana* Tom I Com. ad an. 1509.

²⁾ *Tamże.*

³⁾ *Acta Tomici.* Tom I.

jednak z Bohdanem utrzymał się i odtąd mimo chwilowych wahań się w obec parcia potęgi tureckiej, mimo częstych sporów granicznych, Bohdan trzymał pokój z Polską, pokój który ze względu na Tatarów, wielce był potrzebnym i użytecznym.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Karol Wielki przez Alfonsa Vetault.—*Historya Epopei francuzkich Leona Gautier*.—Przyjęcie do akademii prof. Boissier, mowa Legouvého.—*Cyceron*.—*Pieśni starego majtka*, poemat Samuela Coleridge, przekład Augusta Barbier; ilustracye Gustawa Dorego.—*Wenecya* przez Karola Yriarte.—*Wenecya i Amszterdam* Henryka Howard.—Przegląd *Meluzyna*, poświęcony mitologii i literaturze ludowej.—Wykopaliska Schliemana w Grecyi.—Groby Atrydów: szkielety Agamemnona i Kassandry.—*Historya i Literatura* p. Littre.—Wiktor Hugo jako rytmownik.—*Dramat w głębi morza* p. Daqué.—Zapowiedziany dramat *Hetman*.

Wśród pięknych wydawnictw noworocznych, uderzyło nas dzieło wielkich rozmiarów p. t.: *Charlemagne*, ozdobione wytwornemi chromolitografiami. Nie sama tylko zewnętrzna strona stanowi wartość téj wspaniałej publikacyi. Autor jój p. Alfons Vetault, głęboki erudyta, poświęcił wiele lat pracy na to historyczne studyum. Znakomity skreślił téż obraz tego olbrzyma, który żelazną prawicą położył kamień węgielny nowożytnych społeczeństw, a potężnym geniuszem rozlitł pochodnię chrześciańskię cywilizacyi.

Obok tego historycznego Karola W-go, jedném ramieniem odpierającego najazdy Saracenów, drugiém kruszącego ostatnie szańce barbarzyństwa i pogańskię ciemnoty w Niemczech, występuje tu jeszcze inny Karol Wielki, mytyczny, idealny, bohaterski, stworzony przez wyobraźnię ludu. Z téjto strony przedstawia króla Franków p. Leon Gautier w osobnym obrazie, który nazwiemy śmiało prawdziwą koroną dzieła. Nie pierwsza to praca Gautier'a w tym przedmiocie; Francya zawdzięcza mu już wielką trzytomową publikacyą, poświęconą krytycznemu rozbirowi epopei narodowych, jak niemniej nowy przekład pieśni o Rolandzie, z obszernym komentarzem, nagrodzony w roku zeszłym przez akademią.

Zostawiamy na boku historyczną postać Karola, a poświęcając się wszystkimi pracami p. Gautier, pokażemy w kilku zarysach tego wielkiego króla Franków, jakim go stworzył poetyczny geniusz Francyi.

W pieśniach ludowych, matką Karola była piękna Berta córka Flora króla węgierskiego, i królowej Blanchefleury. Na wezwanie Pepina, królowna puszcza się w podróż, do kraju Franków, ale zdrada czyha na nią, zagradza jej drogę, oddala ją od tronu. Sługa Alista zaślubia w jej miejsce zwiedzonego Pepina. Prawdziwa Berta, aby ocalić życie, ucieka do lasu, gdzie znosi głód, mróz i inne ciężkie próby.

Drżąca jak listek błądzi po lesie,
Z żalostnym sercem gdzie wzrok poniesie,
W lewo, to w prawo rzuci oczyma:
To krok postąpi, to się zatrzyma.
To poza siebie spojrzy czasami,
Stanie, rzewnymi zapłaczę łzami.
Pokornie czoło ku ziemi zniża;
Padła: rozpostrze ręce w znak krzyża;
I znów od ziemi podniesie głowę,
Smętnie wspomina matkę królowę:
—Gdybyś ty o mnie powzięła wieści,
Serceby twoje pękło z boleści!

Potém ku niebu wyciągnie dłonie:
—Boże! co siedzisz na jasnym tronie,
Ty wiekuiastą promienny chwałą,
Ustrzeż od zmaży me biędne ciało!

Noc zaskoczyła, trudno iść dalej,
Na nocleg nie ma sklepionej sali,
Ni poduszczeni napchanej pierzem,
Ani się płótnem przyodzic świeżem,
Ani na miękkim spocząć kobiercu;
Lecz nie brak męztwa w królownej sercu,
Na garści listków głowę położy:
Zasnęła, ufna w opiece Bożej!

Spotyka wreszcie Bertę ubogi kmiotek, stary Szymon; prowadzi ją do chaty, pielęgnuje zarówno z własną dziatwą. W pracy i ubóstwie przeżyła tu Berta lat dziewięć, potulna, cicha, miła ludziom i Bogu, zjednała sobie wszystkich. Królowa Blanche fleur tymczasem, przybywa z Węgier do Francyi; pragnie zobaczyć córkę, poznać drobne wnuczeta. Serce matki omylić się nie mogło. Wnet zdrada odkryta na dworze: Alista ucieka do klasztoru. Daremnie poszukiwania i zabiegi. Prawdziwa Berta znikła jak kamień w wodzie!

Wkrótce potém król Pepin zabłąkany w lesie na łowach, pozna je piękną oblubienicę, zaślubia ją, sadza na tronie przy swym boku. Upłynął rok: przychodzi na świat Karol. W miarę jak rośnie, starsi

bracia, synowie fałszywej Berty, przysięgają się przeciw niemu. Wierny sługa Dawid wywozi go do Toledo. Tam na dworze saraceńskiego króla, młodzian kształci się w rycerskim rzemiośle; tam poślubia cudną królową Galienę, która z miłości dla niego zostaje chrześcianką. Okryty sławą bohater powraca do ojczyzny.

Ta jedyna epopeja, ukazuje nam Karola w młodzieńczych latach. We wszystkich innych widzimy w nim starca z długą, białą jak mleko brodą. Starcem przedziera się przez Alpy, wygania z Rzymu Saracenów; starcem, toczy krwawe zapasy z wazalami; starcem, podejmuje krzyż przeciw hiszpańskim Maurom. Sto lat mu siadło już na barkach, kiedy z dwunastu paladynami pielgrzymuje do Jeruzalem; drugie sto lat przeszło mu nad głową, kiedy oplakuje Rolanda poległego w wąwozach Ronsewalu.

Samo wyliczenie tych zapasów Karola, przeszłoby o wiele ramy niniejszego; dość dla nas gdy rzucimy wzrokiem na olbrzymią a cudowną postać, w jakiej bohaterski król Franków przedstawia się na tle poezyi ludowej.

Karol rosły jak dąb, wysoki na stóp siedm, ma pierś wypukłą, bary krzepkie. Moc jego nadzwyczajna: łamie cztery podkowy razem; na szerokiej dłoni podniesie rycerza w zbroicy i szyszaku. Włos jego długi, biały jak puch łabędzi; ale pod śnieżnym włosem kipi młodzieńcza dusza. Oko ma wielkie, spojrzenie wesołe; ale niech to oko wybuchnie guiewem, błyszczy wtedy jak rozżarzony węgiel; niech się najeżą gęste brwi, ludzie padają na ziemię, niby ugodzeni piorunem: oblicze króla dziwnie piękne, postawa dorodna, okazała.

Pod cienistemi jedliny sploty,
Stoi mocarza tron szczerozłoty;
Na nim król siada błyszczący chwałą,
Czoło ma dumne, postać wspaniałą:
Gdzie król? nie pytać! snadno poznaćie
Oblicze pana po majestacie!

Sam widok jego oblicza nawraca pogan. Przed bitwą pod Aspremonte przybywa do obozu Franków, Saracen Balant, poseł króla Agolanta. Rzuca zuchwałe wyzwanie w oczy Karolowi. Zaproszony siada do stołu.

Saracen króla nie spuści z oka,
Pierś mu omdlała, myśli w bezładzie.
— Niczém mi, rzece, prawo proroka!
Miecz i róg złoty u nóg mu kładzie.

Potęźniej jeszcze Karloman porywa serca, gdy dosiędzie lotnego bieguna i stanie na czele swych szeregów.

Chwila zapasów już się przybliża,
Karol pobożnie kląkł do modlitwy;
Potém na czole kreśli znak krzyża.
Trąby zagrzmiały hasło do bitwy,

Biegun kopytem grzebie już ziemię;
 Dosiadł go moczcz jednym poskokiem,
 A Naim złote podał mu strzemię,
 I twardy oszczep z ostrzem szerokiem;
 Na piersi bije luna od tarczy,
 Królewskie oko połyska żarem;
 Spina rumaka: ile tchu starczy,
 Na czele wiernych pomknął obszarem.

Śmiało uderza Karol W. na zastęp Saracenów, bo wie że Bóg mu pomocą, aniołowie sprzymierzeńcami. Po bitwie wraca do obozu; na czole jego pogoda, w oku spokój: czuje że spełnił powinność.

Karol po przodzie, lice mu płoną:

W ręku ma szablę od krwi czerwona.

Ta szabla, to sławna *Joyeuse*: gdzie błysnie, Maur truchleje z trwogi, a połysk jej jasny, niby płomień jarzących świec w przybytku. W rękojeść jej osadził pogromca pogan, koniec włóczni ubroczony krwią Zbawiciela. Nad głową królewską powiewa *Oriflamme*, sławna chorągiew Franków. Na lotnym biegunie Tencedorze, Karol Wielki pędzi ku saraceńskim zastępom; za nim sześćdziesiąt tysięcy rogów dzwo- ni haśło bojowe; pohańce ociemnieli: „To Karol! to Karol!“ szepczą pomiędzy sobą, pokonani przed bojem.

Po wojnie król wraca do Akwizgranu. Pałac królewski, to cud, o jakim nie słyszało ludzkie ucho. Wkoło ciągnie się szeregiem dwanaście zamków, uwięzionych w baszty i wieże. W samym środku, okazalszy zamek przerasta inne czołem. Na szczycie olbrzymi orzeł rozpościera szczerozłote skrzydła. Na ganek prowadzą wschody wykute z twardej stali: tu rycerze ostrzyli miecze. W pobliżu kaplica królewska, błyszcząca od złota i srebra, cała wykładana marmurem. Gdy ją do połowy zbudowano, pokazała się nazbyt małą: Bóg rozszerzył cudem jej ściany.

Wnijdźmy do pałacu, zobaczmy jak w nim przepędza dzień król Franków. Kiedy śpi, Stróż Anioł czuwa nieodstępny nad wezgłowiem. Ale oto świta; król zrywa się na nogi, spieszy do kościoła, śpiewa jutrznią. Podczas ofiarowania, kładzie na ołtarzu hojny datek. Po mszy idzie do sadu, zasiada pod cienistą jodłą. Baronowie schodzą się na radę; jedni stoją wokoło tronu, inni siedzą albo leżą na murawie zielonej. Po pracy następuje uczta w wielkiej sali pałacu. Stoły zastawione obficie, ale król wstrzemięźliwy, mówi pieśń, tak wjadł jak napoju: zjada ćwierć barana, zagryza chlebem, wino pije zmieszane z wodą. Reszta dnia poświęcona rozrywce. Rycerze grają w szachy, inni bawią się rycerską szermierką. Król siedzi na szczerozłotym tronie, z wysokości majestatu patrzy na harce dzielnych junaków. Niekiedy pospiesza z drużyną do lasu na ulubione łowy; ugania zawzięcie odyńca lub rogacza. Wróciwszy spoczywa po trudzie, osłonięty skrzydły anielskimi.

Tak upływają zwykle dni Karola W.. Od czasu do czasu, około Wielkanocy i Zielonych Świątek, przerywa je wiec uroczysty. Tu mocarz występuje w pełnej chwale.

Król do Paryża wiece powoła,
Lud na Wielkanoc dąży ku miastu;
Spiesz y rycerstwa ciżba wesola,
A było królów tam siedemnastu:
Było trzydziestu biskupów z górą,
I patryarcha odzian purpurą!
Progi katedry Karol przekroczy,
Naród z miłością poi nim oczy;
Świecą na królu złociste szaty,
U boku Naim stąpa brodaty,
Za połę płaszcza ręką się trzyma,
A król o ramię wsparty Naima.

Król białobrody zasiadł na tronie ze złota i kości słoniowej. Poniżej zasiadają króle, biskupi, książęta i barony. „Do mnie ubodzy rycerze!” zawoła mocarz grzmiącym głosem. Tłum rycerstwa garnie się do stóp tronu. Król skinął: na znak pana, służba rozdaje przybyłszom bogate rzędy i kosztowne zbroice, krogulce i sokoły, sypie im złoto pełną garścią. Okrzyk radosny rozlega się o sklepienia sali tronowej. Nagle szmer powstaje wśród tłumów; milknie radosna wrzawa. I oto goniec saraceński okryty kurzawą przedziera się przez tłumy, staje przed królem, rzuca mu kłątwe proroka; imieniem Emira wyzywa na bój krwawy. Oblicze Karola zapłonie gniewem; rycerstwo pochwyca za oręż. „Monjoie!” woła tysiące głosów.

Nie zawsze jednak wiece przerywane były w taki tragiczny sposób; kończyła je zwykle wspaniała uczta. Stoły uginały się pod ciężarem złocistych mis i srebrnych puharów; zastawiano ich do siedmiuset: wszystkie Karol W. zdobył za Renem, gdy pokonał Witykinda, wodza saksońskich pogan.

Tak nam epopee ludowe przedstawiają postać Karola. Zobaczmy teraz jaka dusza kryje się pod tą błyszczącą powłoką. Dusza to wspaniała, wielkomyślna, nieczłonna w obec ludzi, lecz pokorna przed Bogiem. Odblask z niej padał na oblicze, opromieniał je cudną aureolą. Kiedy król ukazał się w Jeruzalem, lud wziął go za Chrystusa, panów za dwunastu apostołów.

W nieszczęściu zwłaszcza, Karol okazuje niestychaną moc duszy. Nieraz barony buntują się przeciwko niemu. Sam widok króla rozbija najzawziętszych. Ogier Duńczyk, zuchwale wyrzuca mu bezczynność. Karol odrzecz na to: „Dwanaście lat jesteśmy w Hiszpanii; od tam nie spałem czterech nocy bez hełmu i pancerza! Kolczuga moja zdarta w szmaty, mój szyszak poszczerbiony, a oto od Pireneów po Rzym, nie ma grodu, nie ma zameczyska ani wioski, którychbym nie zdobył siłą ramienia. Tak ja to próżnowałem!” Słyszysz to Ogier, upa-

da na twarz zawstydzony. Inny baron Girard z Vianne, wróg zawzięty Karola, pochwyca go podstępnie, trzyma w ręku, może pomścić się już nad jeńcem. Cóż wtedy czyni? Gdy spojrzął na oblicze króla, serce mu zmiękło, zdrzął, wraca mu wolność, błaga łaski, zaprzysięga niezłomną wiarę!

Łagodny zwykle dla baronów, Karol Wielki przebacza im osobiste urazy; ale niesforność ich, kiedy idzie o dobro Francji doprowadza go do szalonego gniewu. Wtedy oczy jego rzucają błyskawice, słowo uderza piorunem. Wracając z Hiszpanii, ujrzał król po drodze pyszny gród w cudnym położeniu. Chce go zdobyć: powołuje baronów. „Kto z was, pyta, waleczni moi, pragnie okryć się nową chwałą.“ Nikt nie odpowiada na wezwanie. Wszyscy tak utrudzeni! tęskno im do ognisk, do żon i dźwiatwy matęj! Król powstanie sam. Postać jego nagle zołbrzymiała; słowa ostre jak strzały, godzą w tchórzliwe serca wielkich. „Precz ztąd—zawoła—Burgundy i Frankowie! precz Flamandy, Lotaryngi i Bretony! ja nie ruszę ztąd na krok! Spieszcie co tchu do słodkiej Francji, a gdy was kto zapyta „gdzie wasz król?“ mówcie że sam oblega Narbonne!“

Karol Wielki w eposie ukazuje się przedewszystkiē jako żołnierz, jako żelazny mąż, z żelazną przyłbicą, nasuniętą na czoło, w żelaznym pancerzu, w żelaznych rękawicach, żelazną włócznią w ręku. Pod tą jednak żelazną zbroją, gorące bije serce: pod tą twardą przyłbicą, oczy tryskają łzami. Kiedy siostrzan ma wystąpić do walki z Ferragusem, jakażto boleść ogarnia serce królewskie.

Rolandowego bieguna wstrzyma,
I lzy oboma roni oczyma.
—Czego ci pędzić na bój szalony?
Maur szatański najeżył szpony!
Gdybym utracił podpore w tobie,
Sambym pozostał, jak ona wdowa,
Nientulona w ciężkiej żałobie,
Kiedy miłego męża pochowa!

Żałośniej jeszcze zawodzi Karol Wielki pod Ronsewalem, na widok zabitego siostrzana.

Miły Rolandzie, za rajskim progim
Cudnie twa dusza kwitnie przed Bogiem!

I dobry król omdlał i sto tysięcy wojska omdlało z nim razem.

Upadła maska, lzy płyną z powiek,
Zniknął bohater, pozostał człowiek!

Sprawiedliwość Karola Wielkiego stawiona zarówno w eposach francuzkich jak w zarenkich legendach; co więcj, przeszła nawet w przysłowie ludu niemieckiego; *Karls-Recht* oznacza po dziś dzień, święte prawo, oparte na starodawnym obyczaju, niezłomne w obec siły.

Przed pałacem Karola zawieszony był dzwon; uderzał weń ktośkolwiek domagał się sprawiedliwości. Wielki król nie był nigdy głuchym na wezwanie pokrzywdzonego.

Po sprawiedliwość idzie biedota,
Stoją otworem królewskie wrota!

Każdy znalazł wolny przystęp do tronu, każdy wypowiedział skargę swoją.

Wielcy i mali, starzy i młodzi,
Każdy radosny do dom odchodzi.
Przywłókł się biedak odzian lachmanem:
Odszedł od tronu dziedzicznym panem!

W koronie cnót królewskich, najcudniejszą perłą jest głęboka pobożność. Przed każdą bitwą, Karol Wielki zsiada z konia, upada obliczem na ziemię. Modlitwa jego prosta, pokorna, pełna żaru.

Bądź mojem wsparciem, Ojczy prawdziwy,
W Tobie jedyna otucha nasza;
Ty, coś ocalił króla Niniwy,
Coś z rybich trzewi dobył Jonasza,
Coś, skazanego na straszne męki
Wyrwał Daniela ze lwiej paszczęki;
Coś biedne dzieci wyzwoił z pieca,
Kędy nienawiść głownie roznieca:
Niech mi z Twój łaski moc będzie dana,
Pozwól miłego pomścić siostrzana.

Pokora przebija niebiosą, Bóg nigdy nie odrzucił modlitwy pobożnego króla, na każdą odpowiada widocznym cudem. Podczas gdy Karol W. gromi niewiernych, słońce zatrzymuje się w miejscu; na głos jego, wielki gród Lucerny zapada w przepaść niedoścignioną okiem; wieżycy Kursandy pęka na dwoje i gruzami przytłacza Saracenów. Wsparty opieką niebios, Karol W. umie rozkazywać ludziom, z rozkazem daje siłę. Panuje niemniej nad przyrodą, czyni ją posłuszną woli swojej. Kiedy Frankowie spaleni letnim skwarem, ustają w pochodzie, cudowne zdroje u stóp ich wytryskują z pod ziemi. Kiedy przepływają się przez Ren lub Garonnę, biały jeleni sunie naprzód, unosi z nad fal w rogi strojne czoło, omija niebezpieczne wiry i skały.

Anioł Gabryel nigdy nie odstępował króla, rozmawia z nim, daje mu rady, ostrzega, pociesza w smutku, dźwiga w boleści; podczas bitwy wlatując nad uznojoną jego głową, odwraca wymierzony w nią dziurty, zsyła mu sny prorocze. Kiedy Karol Wielki przebywał w ziemi węgierskiej, kędy gromił i nawracał pogan, wieść o jego skonie dobiega do Akwizgranu. Powstają niesłychane gwałty i bezprawia. Miecz sprawiedliwości rdzewieje w pochwie; zbrodnia podnosi czoło. Baronowie przerażeni zbierają wtedy radę; żądają od królowej, aby wy-

brała z pomiędzy nich małżonka. Ale Bóg czuwa nad wiernym sługą swoim; Anioł Gabriel ostrzega Karola, uczy go co ma czynić.

— Dosiądź—rzecze—co żywo bieguna, ten poniesie cię do Raabu, znajdziesz tam innego; pędź ile tchu do Possawy; tam ujrzysz na łące pasącego się żrebca, pochwyć go, doskocz; nim minie doba staniesz w Akwizgranie, na dzień przed gody weselnemi!

— Karol Wielki posłuszny radzie, trzeciego dnia przybył do stołecznego grodu. O brzasku dziennym wszedł w podwoje katedry; przywdziewa purpurę, głowę zdobi koroną, siada na tronie obok ołtarza, w prawicy trzyma berło, na łonie położył miecz nagi. Orszak weselny wchodzi niebawem do kościoła; baronowie oniemieli jakby ugodzeni piorunem. Popłoch wśród niewiast; łamią ręce, mdleją z przestachu. „Wszelki duch Pana Boga chwali!“ woła tysiące głosów. Zakłęcie nie pomogło! Król siedzi długo nieporuszony; wreszcie powstaje z miejsca, wybuch gniewem! łagodnieje w końcu, przebacza Hildegardzie i baronom. Sama obecność jego wraca w kraju ład zamacony.

Jedyny tylko poemat opiewa śmierć Karola i to w krótkich zaledwie słowach. Wielki tak w szczęściu jak w niedoli, wielkim on jeszcze w ostatniej chwili życia. Kiedy na głowę syna Ludwika kładzie koronę złotą, uczy następcę, zachrzypłym od starości głosem, jak ma postępować król prawy.

Masz się odprzysiądz grzesznej rozpusty,
Kłamstw zdradzieckimi nie głosić usty,
Ni sierocego ulaknąć mienia!

Zachęca trzech synów do miłości i bratniej zgody.

Kiedy ja zamknę na wieki oczy,
Niech święta miłość przetrwa w rodzinie;
Niech się z serc bratnich krew nie potoczy:
Nienawiść kraje zmienia w pustyń.

Bóg stworzył króle na ciężkie trudy,
By pod ich cieniem wzrastały ludy;
Miecz im nie na to w prawicę kładzie,
Aby trawili żywot w bezładzie.
Zadaniem królów, świętą ich sprawą,
Wyteplić gwałty, szanować prawo!

Karol Wielki skonał i oto wszystkie dzwony jęły na całej ziemi Franków, same przez się, nie potrącone ludzką ręką. Pochowano go w bazylice akwizgrańskiej. Grób wyłożono złotem i wonną żywicą. Ciało w płaszczu purpurowym, posadzono na złotym tronie; głowę zwieńczono koroną; do boku przytwierdzono miecz złoty, na łonie złożono księgę ewangelii; oblicze zasłonięto całunem. Pod purpurą została włosienica. Ze zmarłym pogrzebano tarczę złotą, berło i kij pielgrzymi.

Umarł Karol Wielki, ale wyobraźnia ludu nie mogła zgodzić się na śmierć wielkiego króla; w ramieniu jego pokłada nadzieję, wystawiała pogrobowe jego czyny. W trzysta lat po skonie Karol Wielki wiódł krzyżowców do Jeruzalem; przy boku jego walczyli dwaj Paladyni Roland i Oliwier. Niemcy szerzej jeszcze puścili wodze fantazyi. Wędług nich Karloman siedzi dotąd na tronie, w pieczarze Unterbergu, jak niegdyś w Akwizgranie. Spi snem twardym, niekiedy potrząśnie głową, jakby nagle ze snu ockniony. Broda jego biała jak puch łabędzi, rośnie dotąd i otacza stół marmurowy, uwieńczony przed tronem. W daną chwilę mocarz powstanie, zawiesi tarczę na starzej gruszy, co wyrosła na dolinie Wals. Wtedy sucha grusza okryje się kwiatem i liściem, a na dolinie stoczy się bój, jakiego nie widziaty ludzkie oczy. Żli i dobrzy wystąpią do zapasu: dobrzy zwyciężą, Karol Wielki zapanuje nad odrodzonym światem.

Oto pieśń poety Oebecke, osnuta na tradycyi ludowej:

Stuchajcie! pieśń stara cudnemi brzmi tony,
 Karloman żyw jeszcze, ze swemi barony;
 Spoczywa pod górą bohater czci syty,
 A nad nim trzymają straż karły, wróźbity.
 Przy królu drużyna przespała tam wieki,
 Moc czarów tym mężnym zawarła powieki.
 Błyskają oręż, zbroice migoczą,
 O bojach, o sławie śnią dzielni ochoczo.
 Przy stole kamiennym król siedzi w koronie,
 Wsparł głowę na rękę, oblicze mu płonie,
 A broda wspaniała z kędziory białemi
 Srebrzystą się strugą potoczy do ziemi.

Czasami prąd życia w powietrzu przebieży,
 Na nogi się zerwie garść sennych rycerzy.
 Pochwyć za tarczę . . . Ach! nie rzec im hasła,
 Bo usta ich nieme, żrenica zagasła.
 Królewski wzrok tylko płomieniem rozgore,
 Zawola na karły; przybiegną doń skore.
 — Czyż rychło zaświta? Powiedziecie mi wieszce?
 A karły odrzekną: — Nie świta dzień jeszcze!
 — Zawczasie barony! godzina nie dzwoni!
 Król wyrzekł i cz.ło znów oparł na dłoni.
 Zachrzęsły zbroice, zaszczykły oręż,
 Pokotem na ziemię pokładli się męże.
 Śpią, tylko królewska nie zgasła żrenica,
 I z kraszy żywotnej nie zbladły mu lica,
 A broda wspaniała jak strumień uroczy
 Srebrzystą się falą ku ziemi roztoczy.

Odwieczny spór trwa pomiędzy Francją a Niemcami o narodowość Karola W. Spór ten nigdy rozstrzygniętym nie będzie; Karol żył bowiem w czasach, kiedy nie było jeszcze ani narodowości francuzkiej ani niemieckiej, w dzisiejszém słowa znaczeniu. Geniusz jego był właśnie tym płomieniem, przy którym stopił się napływowy żywioł Franków, z żywiołem tubylców galskich w jeden spiż wiecznotrwały. Karol położył kamień węgielny przyszłej potęgi francuzkiej. Uczuła to Francya, gorącą téż miłością ukochała wielkiego króla, z zapałem opiewała bohaterskie jego czyny. Epopee francuzkie, składające wspaniały cykl Karola Wielkiego w XII wieku, rozeszły się po całej Europie. Znajdujemy je w Hiszpanii, Portugalii, Anglii, Niderlandach, Skandynawii; wielki ustęp poświęcono im w północnych sagach norweskich, każdy naród przerabia je na ton sobie właściwy. Co do Niemiec, najdawniejsze legendy przechowane u kronikarzy, opiewają raczej zwycięstwa odniesione na Karolu, niżeli jego chwałę. Większa część krajów niemieckich, podbita jak wiadomo orężem króla Franków i przyłączona do nadreńskich jego dzielnic, patrzyła nań ze wstrętem. Później dopiero imię Karola Wielkiego spopularyzowało się w Niemczech, ale nie dało pobudki do żadnej epopei narodowej na wielką skalę. Mytyczny Karol Wielki stworzony geniuszem francuzkim, należy wyłącznie do Francyi.

I dziś jeszcze poeci francuzcy czerpią natchnienie w bogatém źródle narodowych podań, składających poetyczny okres Karola Wielkiego. Dostyć tu przypomnieć cudny obrazek *Aymarillot* z *Legendy wieków* Wiktora Hugo i *Paladynów* Autrana. Dwa lata temu, Bornier w *Córce Rolandowej*, przedstawił na scenie tego olbrzyma Franków, ze śnieżną, długą do pasa brodą (*à la barbe fleurie*). Dreszcz zachwytu przebiegał serca na polysk Joyeuzy i Durandali, słynnych szablic, zostrzonych na karkach Maurów, w imię prawa, w imię cywilizacyi chrześcijańskiej! W tymże samym czasie, Niemcy upojeni szalem tryumfów, wzniesli w Teutoburskim lesie, olbrzymi posąg Arminiusza, z oszczepem wymierzonym ku Francyi! Poeci i artyści zarenscy, milczą o Karolu Wielkim. Chętniej przywołują do życia Sygurdów, Alaryków i Alboinów, krwawych przedstawicieli germanizmu. Historycy ich zwracają się myślą ku Ottonom, opierając na nich zręby dzisiejszego cesarstwa. Karol Wielki spoczywa przywalony granitową skałą w pieczarach Unserbergu, czeka rychło li godzina wybiję na wieków zegarze! A gdy zadzwoni hasło, zerwie się olbrzym, powoła Franki i Germany do ostatecznej walki z barbarzyństwem i odrodzi świat, jak go niegdyś odrodził. Wówczas to, pomnik Arminiusza, godło pychy i nienawiści, spadnie z piedestału, a na zwaliskach jego błysnie majestatyczna postać Karola Wielkiego, symbol pokoju i braterskiej miłości ludów!

Rzecz napozór dziwna, dlaczego poetyczne pieśni o Karolu Wielkim, które znalazły odgłos w tyłu europejskich krajach, które tworzą osobny cykl, nawet w sagach północnej Islandyi, nie zostawiły śladów w Polsce, mimo odwiecznych związków jęj z Francją. Związki te

przecież najsilniejsze były w czasach, kiedy pod wpływem wojen krzyżowych wyrabiały się owe wspaniałe tradycje o wielkim zapaśniku Chrześcijaństwa. Ten brak zadziwia szczególnie, gdy widzimy że w sąsiednich nam Węgrzech, cykl Karola W-go popularnym był w średnich wiekach. Za czasów nawet Macieja Korwina, jak świadczy biograf i sekretarz jego Galeottas, pieśni te brzmiały na dworze i słodko czarowały młodego króla. Węgrzy nie poprzestali na prostym ich przekładzie, ale dopełniali je stosownie do swego narodowego geniuszu. Głośniejsze zapewne brzmiały te pieśni w Budzie za Karola Roberta d'Anjou, który jako Prowansal, przygarniał do boku swego roje wędrownych Trubadurów.

Czyżby te pieśni nie przyszły do Krakowa z Ludwikiem i Jadwigą? Wszak przed nimi jeszcze Truwer francuzki, Wilhelm Mahaut wystawiał pieśnią gościnność Kazimierza W. w Krakowie, a potem na innych dworach europejskich!

Trudno przypuścić, aby ślady tych stosunków, nie miały się odbić i w poezji naszej. Jeśli dotąd nie wynaleziono żadnych piśmiennych zabytków w tym przedmiocie, dowodzi to chyba, że skutkiem wojen i pożarów zatraczone zostały do szczętu, lub też nieodszukane dotąd.

Polska jednak nie była obcą Truwerom francuzkim. W pieśni o Rolandzie, wydania Müllera, czytamy, że ten bohater podbił kraj *Puillanie*. Kronika Wejchenstephana potwierdza toż samo. Według niej Roland opanował Bohemią, Polskę i Węgry.

Zamiast wigilii kończącej u nas adwent, Francuzi wyprawiają wesołą ucztę, po *Pasterce*, przy ognisku domowym.

Ta ucztą zowie się *Reveillon*, od słowa *reveiller*, rozbudzić. Do niejto możnaby porównać ostatnią uroczystość Akademii francuzkiej, odbytą na dwa dni przed Bożem Narodzeniem. Oddawna Paryż nie był na takich godach: „Przywileje zawieszono na kołku,“ że się wyrazimy w sposób Jana Kochanowskiego. Słowa, niby race błyszczące werwą, dowcipem i szczerą wesołością, wybiegały z ust *nieśmiertelnych*, publiczność biła w ręce z uśmiechem współczucia; wszyscy odeszli dziwnie rozbudzeni w duchu, przekonani głęboko, że Akademia ma w sobie niewyczerpany zasób sił żywotnych, że daleko jej do zgrzybiałości, mimo tytułów siwych, składających poważnie areopag.

Zajmował w tym dniu miejsce pan Boissier, prof. historii rzymskiej, po p. Patin profesorze grecko-łacińskiej literatury. Snadno byłoby przypuścić, że mowy akademickie tchnąc będą klasycznym pedantyzmem. Inaczej się jednak stało. Prof. Boissier, który tak porywa za sobą słuchaczy, kiedy z katedry kolegium francuzkiego przenosi ich w świat rzymskiego cesarstwa, dowiódł i tym razem, że głęboka erudycja nie zabija w adeptach swoich życia, ni twórczej siły.

Z miłością przebiegł p. Boissier długie pasmo dni ośmdziesięcioletniego Patina. Piękna to postać w rzeczy samej. Widzimy go jak długim mozołem bohaterским dobija się w końcu najwyższych zaszczy-

tów; jak idąc drogą prostą, wstępując cierpliwie ze szczebla na szczebel, dochodzi na koniec do zenitu, zostaje dziekanem wydziału literatury w Sorbonie, stałym sekretarzem Akademii francuskiej. Żywot to cichy, spokojny, skromny w pragnieniach, zatopiony w nauce. „Mędracy—rzekł mówca—są jak ludy szczęśliwe: nie mają historii!“ Nie miał jęj też Patin, jeśli do historii tak ludów jak jednostek, zaliczymy tylko zewnętrzne burze, gromy i nawałnice. Ale duch ludzki ma także wewnętrzną swoją historią, ma on swoje walki nieznanne światu, swoje zawody i tryumfy. Nie był od nich wolnym i Patin. Rozmitywany w grekach i łacinnikach, nie przeboleł—że on ciężko tych pocisków, jakimi szkoła romantyczna usiłowała zdruzgotać całą starożytność i na gruzach jęj wybudować gmach nowy? Każdy cios wymierzony w Eschylesa lub Wergilego, nie odbiło się w jego piersi? Groźny okrzyk: „Kto nas wyswobodzi od Greków i od Rzymian,“ nie byłże dlań wróżbą barbarzyńskiej powodzi, hasłem literackich Attyłów i Dżyngishanów? Późniejsza znów reakcja, na korzyść szkolnych tradycji, które on jak biegtły sternik uchronił od rozbicia, nie napętniał serca jego najżywszą rozkoszą? Każde odkrycie nowj piękności w Eschylesie lub Plaucie, nie byłoż dlań źródłem niewymownej pociechy? Cóż dopiéro, gdy przyszło wydobyć mu z prochu niepamięci imiona gallo-rzymskich Enniusów i Lucyliuszów i tryumfalnie zapisać je w programie nauk uniwersyteckich, obok imion Horacego i Sofoklesa? a jakaż była jego radość, dodamy jeszcze, kiedy widział u stóp katedry młodych uczniów, baczących na każde jego słowo, w których jak w Boissierze przeczuwał godnych siebie następców, wiernych stróżów drogich mu tradycji?

Z wielu rysów charakteryzujących piękny żywot uczonego, przytoczymy tu jeden. Przed kilkudziesięciu laty zawakowała katedra literatury łacińskiej w Sorbonie. Wystąpiło dwóch kandydatów: Wiktor Le Clerc i Patin. Pierwszy otrzymał miejsce. W kilka dni potem, ukazał się w jednym z główniejszych dzienników obszerny artykuł o nowym profesorze. Bezimienny autor rozbiierał prace Le Clerca, oddawał mu najzaszczytniejsze świadectwo. Napróżno profesor usiłował odkryć nieznanego apologistę; w lat kilka dowiedział się przypadkiem, że nim był szlachetny współzawodnik.

Zamiłowany w pracy, dotrwał w niej Patin do ostatniej godziny życia. W ciężkiej chorobie pracował jeszcze głową. Na kilka dni przed skonem rzekł do żony: „Weź pióro, napisz co podyktuję.“ Żona spełniła, czego żądał; zapisaną kartę schowała do stolika. Cóż było na niej? oto łaciński temat na wiersze konkursowe dla uczniów. Godny testament starego profesora: przekazywał młodym pokoleniom skarb najdroższy: miłość dla ideału!

Mowa pana Boissier zajęła żywo słuchaczy, ale prawdziwym tryumfem uroczystości była odpowiedź p. Légouvé najwytworniejszego z mówców akademickich. Nieraz już słyszeliśmy go to z katedry, to na dramatycznym poranku; podziwialiśmy zawsze ten niestychany dar,

z jakim ożywić umie każdy przedmiot. Tym razem jednak wymowny akademik przewyższył oczekiwanie wszystkich: co chwila przerywano mu oklaskami. Jego to mowa nasunęła nam właśnie porównanie ostaniej uczy akademickiej, do przedświątecznego *reveillon'a*.

Légouvé rozpoczyna rzecz humorystycznym żartem, w którym wielka mięści się prawda. Utrzymuje najstuszniej, że Akademia powinna zostać piastunką tradycji, ale otrząsnąć się zarazem z przestarzałej rutyny, niezgodnej z duchem czasu.

Wiadomo czém były dawniej mowy akademickie. Przyjęty członek prawil komplementa uczonemu zgromadzeniu; dyrektor odstrzeżiał innym komplementem. Dziś inne czasy, inne obyczaje. Zmieniono sposób; do panegiryku dodano złośliwy epigramat; ta mieszanina cukru z solą i pieprzem nie bardzo jakoś smaczna; wypada ją przemienić. Prawda sama w sobie nie jestże dosyć piękną? czyż jej potrzeba sztucznych ozdób? Pan Légouvé ufny w popularność jaką zdobył, śmiało przyjął na siebie rolę reformatora.

„Będę szczerem, rzekł do nowego kolegi, wypowiem rzecz z całą otwartością. W dniu elekcyi, miałeś pan za sobą dwadzieścia i trzy głosy, dziewięć tylko przeciwnych. Ja należałem do tych dziewięciu. Dlaczego? zaraz to wytłumaczę. Akademia Francuzka różni się od innych wydziałów Instytutu; wydział nauk ścisłych rekrutuje się pomiędzy uczonymi; wydział sztuk pięknych, pomiędzy artystami; wydziały napisów i nauk politycznych, wybierają wyłącznie erudytów. Celem Akademii naszój, powinnością jej, stawiać na świeczniku wszystko co błyszczy w dziedzinie inteligencji. Historycy, oratorowie, krytycy, męzowie stanu, poeci, powieściopisarze, autorowie dramatyczni, mają prawo kołatać do drzwi naszych. Akademią Francuzką porównaćby można do orkiestry: wszak bogactwo harmonii polega na doborze i różnaitości instrumentów; otóż więc poeci, dramaturgowie i powieściopisarze, powinni przemagać w tój orkiestrze. Czemu? bo prace ich wymagają siły twórczej, bo wyrażają to co jest najwznośniejszém w sztuce: żywotność, prawdę uczuć, ideał! Innym pracownikom otwarta droga do Sorbony, nawet do ministryum; tym co snują złoty wątek w dziedzinie wyobraźni, otwarta tylko Akademia.“

Wyznamy że słowa tak szczerze wypowiedziane przykre nam były z razu. Rzuciliśmy okiem na profesora historii rzymskiej, ale oblicze jego rozpromienione radością, zupełnie nas zaspokoilo. Wiedział p. Boissier, że zręczny mówca rzucił z umysłu antytezę, aby podnieść go tém wspaniałej.

„Najazutrz po obiorze, ciągnął Légouvé, zabrałem się pilnie do odczytania dzieł pańskich. Znałem je wprawdzie, ale wypadało zbadać je do gruntu, aby wydobyć z nich wątek akademickiej mowy, co nie jest rzeczą łatwą. Jakież było zdziwienie moje! W miarę jak myślą wnikałem w te utwory, postać twoja w nowém świetle występowała przedemną. Dotąd widziałem w tobie, panie, głębokiego erudyte, znakomitego krytyka; teraz poznałem umysł samodzielny i twórczy. Uczułem

mocny żal i w cichości ducha odwołałem przeczące moje wotum: zamiast dwudziestu trzech, masz dziś za sobą dwadzieścia cztery głosy!“

Zobaczymy jak w oryginalny sposób mówca tłumaczy, na czém polega oryginalność p. Boissier.

„Wybrałeś sobie pan ojczyznę intelektualną, oddaloną od nas przedziałem dwustu mil i XVIII wieków. Urodziłeś się w Rzymie, za ostatnich lat rzeczypospolitej; przeżyłeś dzień po dniu wszystkie tragiczne pory od Cezara do Tyberyusza, patrzyłeś oko w oko największym mężom i najniegodziwszym złoczyńcom téj epoki; nie poprzestając na badaniu spraw ziemskich, wdarteś się na wyżyny olimpijskie, zstąpiłeś do czarnego Erebu; rozmawiałeś z Jowiszem zarówno jak z Augustem. Twoje cztery wielkie prace historyczne, odkryły nam wszystkie zakąty cesarstwa: słowem tytuł obywatela rzymskiego, otworzył ci podwoje Akademii.“

Tu mówca opowiada, jakimi drogami profesor dobijał się tak chlubnego tytułu, jak powołany do Paryża z Nimes, gdzie wykładał retorykę, pragnął usprawiedliwić ten zaszczyt; jak odpowiadając na konkurs ogłoszony przez Akademią napisów, wydobył z prochu wieków zapomniane imię Warrona. „Wskrzесиć takiego człowieka, rzekł Légouvé, nie jestże to samo, co z kości szkieletu odtworzyć żywą istotę, jak to czynił Cuvier? Pan dokazałeś tego, otrzymałeś wieniec konkursowy. Umiąłeś w téj pracy dorównać Niemcom erudycją, a pokazać się innym od nich; umiałeś do nauki, która gromadzi fakta, dołączyć sztukę twórczą. Zdolność to właściwa duchowi francuzkiemu. Uczeni zarańscy skrzętniej od nas zbierają materyały; my lepiej pojmujemy architekturę. Przejąłeś pan ich zalety, nie zaniedbując zalet narodowych. Dobry to przykład. Badajmy cudzoziemców, bierzmy z nich siłę, aby stać się tém lepszymi Francuzami!“

Z kolei rozbiera mówca dwa wielkie dzieła historyczne Boissiera: *Opozycja za Cezarów*, i *Religia starożytnych Rzymian*, pełne głębokiej erudycyi i samodzielnego poglądu. Ostatnie szczególnie zasługuje na uwagę. Tu autor, czerpiąc dowody w epigrafice, i w dziełach starożytnych filozofów, pokazuje głęboką religijność Rzymian. Widzimy, jak przywiązani do pogańskich tradycyi, dwieście lat walczą w ich obronie, aż tu nagle wypada im oręż z ręki, ziemia usuwa się z pod ich stóp; czują bowiem całą bezsilność zasad na których się wspierali: pozostało im tylko gorące pragnienie wiary, konieczna jój potrzeba. Wówczas wystąpił Chrystyanizm, a wzmocniony dwuwiekową walką, opanował te dusze, dał im to czego pragnęły: wiarę ściśle określoną, filozoficznie wyrozumianą, wspartą na niezłomnym dogmacie.

Przychodzi wreszcie Légouvé do ostatniej pracy profesora, pracy najżywotniejszej, która największy dała mu rozgłos, najbardziej popularyzowała jego imię. Dzieło to, pod tytułem *Cyceron i jego przyjaciele*, wywołało ostrą krytykę mówcy. Nie używa on bynajmniej owych delikatnych śpileczek, któremi akademicy zwykli kłuć ofiary swoje; wypowiada zarzuty z całą otwartością; zaczyna żartobliwie, po-

tém przechodzi w ton poważny, prawdziwie podniosły. Przytaczamy ten znakomity ustęp.

„Dzieło pańskie o Cyceronie, najpopularniejsze ze wszystkich, znalazło powszechne uznanie; kobiety nawet zajęły się niem żywo: salony przyklasnęły. Względy te, niezwykle dla dzieł podobnej doniosłości, jeśli z jednej strony zadowolili miłość własną, z drugiej strony mogły zaniepokoić sumienie autora. Jak ten mąż stanu, który słysząc przyklaskujące tłumy, zawołał z trwogą: „czyżbym popełnił jaką niedorzeczność?“ tak i pan, zapytałeś może sam siebie w głębi ducha: „czyżbym ja napisał zabawną książkę?“ Tak jest, książka pańska zabawna! bardzo zabawna! Wszystkie zalety umysłu twego, odbijają w niej jak w zwierciadle. Jesteś erudytą, historykiem, biegłym epigrafikiem, ale jesteś także satyrykiem, i niech cię to nie obraża, jesteś powieściopisarzem. Otóż więc w badaniach nad społeczeństwem starożytnych Rzymian, śledzisz głównie obyczaje i charaktery. W przekonaniu, że drobne szczegóły i małe fakta, najlepiej malują prawdę, najwierniej odtwarzają rzeczywistość, zapytałeś poetów, historyków, filozofów, o tysiączne rysy charakterystyczne, aby wskrzesić do życia ten świat zamarty, te osobistości zatracone już dla nas. Ztąd wielki urok dzieła twego o Cyceronie.

„W tej monografii, ciągnie mówca, widzę mnóstwo żywych obrazów, trafnych i oryginalnych spostrzeżeń, mnóstwo prawdziwych rysów, ale jestże w niej wielka, bezwzględna prawda i sprawiedliwość? Nie sądzę! Oceniam w naukach ścisłych użycie mikroskopu, który pozwala nam badać drobne jestestwa, ale kiedy patrzymy w gwiazdy, używamy wówczas teleskopu! Tak należało patrzeć w oblicze Cycerona! Szukałeś go, rozpatrując się w skreślonych przezeń listach, a więc wszedłeś do duszy jego małą furtką; bo i czemu są listy? dorywczém malowidłem wszelkich sprzeczności, wszelkich słabostek, cechujących naturę ludzką. Skreśliłeś żywy, zajmujący portret Cycerona, a przecież to nie on! nie on cały! Wielkie linie giną wśród tysiąca rysów drobniawych!

„Dnia jednego, doda mówca z wzrastającym zapałem, Oktawian August zastał wnuka nad książką; wziął ją do ręki: było to dzieło Cycerona. Przeczytawszy ustęp, oddał ją dziecku i rzekł wzruszonym głosem: „ten człowiek kochał głęboko swój kraj!“ Oto rys główny w Cyceronie, on zaciera tysiące błędów! on ożywia jego geniusz, on uczynił go nieśmiertelnym! Tego rysu szukam w pańskim dziele; rys ten nie dość tam błyszczy! Co nas obchodzi, że wielki człowiek mógł czuć chwilową trwogę, że go napadała czasami jakaś przelotna próżność! Kiedy szło o Rzym, trwoga, próżność, wahanie—słowem wszelka osobistość milkła w tej wielkiej duszy. Widział jedyny przedmiot—ojczyznę! jedyny cel—zbawienie Rzymu! Szedł prosto, drogą powinności wzniosł się do bohaterstwa. Trwożliwy w drobnych rzeczach, w wielkich miał niezłomną odwagę. Wspomnijmy tylko co odpowiedział Katonowi. Katon przed Farsalą błagał go, aby nie łączył się z Pompeuszem, ale usunął do Tuskulum i tam napisał piękną księgę o zgodzie. I cóż na to

Cyceron? „Moje księgi, rzecz, moje badania, moja filozofia, niczém dziś dla mnie. Poglądam ku morzu; radbym pomknąć tam lotem ptaka: tam żyje Rzeczpospolita, tam jeszcze żyje wolność!“ Przekładano mu, iż dąży do zguby własnej, że powinien zachować się dla syna. Odpowiadał na to: „Jeśli Rzeczpospolita przetrwa, imię ojca będzie tarczą synowi; jeśli ma zginąć, niech syn mój zniesie los innych obywateli!..” O, wiercie mi!—zawołał Légouvé z zapałem—gdy spotykamy w dziejach ludzi takich, nie zmniejszajmy ich drobnostkami! niech raczej drobnostki utoną w ich wielkości! Bez ubliżenia prawdzie, zostawmy im te kształty posągowe, na których wieki położyły swą pieczęć; niech świecą w oczy pokoleniom, jako niemyłne drogowskazy!“

Przeciągły grzmot oklasków, godnie odpowiedział znakomitemu apoloژیście idealizmu. Wzruszenie malowało się na wszystkich obliczach, niewyłączając samego historyka, do którego zarzut był wymierzony. W tym dniu Légouvé obalił zastarzałą rutynę; wytknął na przyszłość nowe drogi. Stanowczo dziś powiedzieć możemy, że doba ckiwych panegiryków skończyła się już w Akademii, że fałszywy ton bezsilnych komplementów, nie zabrzmi już pod sklepieniem pałacu Mazaryniego; że zastąpi go zdrowa krytyka, godna tak miejsca jak mówców i słuchaczy.

Słowo jedno w mowie Légouvého rzuciło jakby przelotną chmurkę na część zgromadzenia. Mówiąc o zajmującej monografii Cycerona wyraził się: *czytały ją nawet kobiety*. I cóż w tém dziwnego że ją czytały, skoro na każdym kursie p. Boissier w kolegium francuzkiém, liczba słuchaczek odpowiadała liczbie słuchaczów? Ileżto razy widzieliśmy grono kobiet skupione u katedry, pochłaniające chciwie każde słowo profesora, bądź gdy w popularny sposób mówił o Cyceronie, Senecie i Wergilim, bądź kiedy podnosząc się w najwyższe sfery ludzkiego ducha, pokazywał w uczuciu religijném starożytnych Rzymian, gotowe pole do przyjęcia posiewu z wniesłych prawd chrześcijańskich. Gdyby, rzekł p. Légouvé: „nawet światowe panie czytały Cycerona,“ miałyby zupełną słuszność; ale oprócz tych *wietrznych istot i puchów marnych*, nie brak w Paryżu kobiet z myślą poważną, spragnionych światła, niezmordowanych w pracy. Na zeszłorocznej wystawie obrazów, naliczyliśmy pięćset kobiet oddanych rzeźbie, rysunkom i malarstwu. Większa nierównie liczba uczęszcza stale na kursa do Kollegium i Sorbonii!

Przelotna chmurka zbiegła z czoła Francuzek, kiedy w końcu mowy, p. Légouvé wspominając Patina, zatrzymał się chwilę w jego domowym progu. „Opatrzność—rzekł mówca—pozwoliła czcigodnemu pracownikowi zakosztować prawdziwej stodyczy: koroną dni jego była zacna towarzyszka, która umiała go zrozumieć, i żyć z nim jedną myślą. Kiedy wojska niemieckie otoczyły Paryż, przyjaciele Patina przez wzgląd na wiek podeszły, radzili mu by opuścił stolicę. Starzec ani chciał słyszeć o tém. „Jestem, rzekł, dziekanem fakultetu literatury, i stałym sekretarzem Akademii francuzkiej; moje miejsce w Sorbonii i w Instytucie: pozostanę na stanowisku.“

— Masz słuszność!— odrzekła na to żona i została z nim razem.

„Zrozumiałem wtedy, dodaje z uczuciem Légouvé, że w wielkich chwilach życia, ognisko domowe najlepszym bywa doradcą! Przekonałem się, o ile dobra żona, skupiając w świętém uczuciu wszystkie siły kochającej duszy, może mieć zarazem dla małżonka, którego imię nosi z chlubą, pieczołowitość matki, poszanowanie córki, miłość siostry i poświęcenie wiernój przyjaciółki!”

Temi słowy zakończył wymowny akademik. Wszyscy odeszli zadowoleni. Kobiety nawet przebaczyły, że im zaprzeczał upodobania w łacińskiej literaturze, skoro podniósł je na tak wysoki szczebel hierarchii społecznej!

Otóż mamy przed oczyma nowe arcydzieło Gustawa Doré: trzydzieści sześć przepysznych drzeworytów do *Pieśni starego majlka*. Słynny ten poemat Samuela Coleridge *The Rime of the Ancient Mariner*, tłumaczony z angielskiego przez Augustyna Barbier, wyborném był tłem dla genialnego rysownika, do rozwinięcia całego bogactwa fantazyi. Zobaczmy tylko przedmiot.

Biędny marynarz Yoryk, zapędzony ku biegunowi południowemu, między wieczne śniegi i lody, w chwili złego humoru wypuścić z łuku strzałę i ugodził w pierś albatrosa, wzlającego w powietrzu nad okrętem. Był to ptak czarodziejski: ledwie że padł zboczony krwią, geniusz lodowatego bieguna poprzysiągł zabójcy nieprześląganą zemstę. Powołuje w pomoc duchy zaklęte w łonie oceanu; z ich udziałem sypie gradem kłęk w biędny okręt. Majtkowie padają jak muchy z głodu i pragnienia; wszyscy winni, przyklasnęli bowiem Yorykowi, gdy wypuścić strzałę na ptaka. Yoryk sam jeden został przy życiu, ale to życie będzie dlań najsroźszą męczarnią. Bezsilny, bólem przybity do miejsca, widzi na pomoście trupy dwustu umarłych towarzyszków. Z oczu ich bucha płomień, z ust sypią się głuche przekleństwa. Burza miota okrętem, szamocze trupami, ciało odpada od kości potępieńców.

Pokorna modlitwa Yoryka, przeważa w końcu szalę sprawiedliwości Bożej. Cherubiny zbiegają z nieba, wiodą okręt ku ojczystym wybrzeżom, ale pokuta nie dokończona jeszcze. Biędny Yoryk dotyka stopą ziemi; nie spocząć mu przecież pod cieniem dachu rodzinnego: błąkać się musi do końca dni i opowiadać ludziom spełnioną zbrodnię. Napotka-li pasterza w górach, czy wędrowca na drodze, zatrzymuje go łzawą pieśnią, oplakuje albatrosa i własne szaleństwo.

Smutna to poezya! ten albatros czémże inném, jeśli nie znieważonym ideałem! Gustaw Doré pojął całą wzniosłość pomysłu. Wielki idealista oddał tu grozę i rozpacz z równą potęgą, z jaką odtworzył dawniej *Piekło* Danta.

Do pomnikowych dzieł tak pod względem tekstu jak i ozdobnego wydania, zaliczyć możemy także wspaniałą monografią Wenecyi, przez

Karola Yriarte. Przed dwoma laty mówiliśmy o historycznej pracy tego autora p. t. *Życie patrycyusza weneckiego w XVI wieku*. Zachęcony akademicką nagrodą p. Yriarte kreśli dziś dokładny wizerunek pięknej królowej Adryatyku, sięga do jej kolébki, pokazuje stopniowy jej rozrost w sztukach pięknych, przemyśle, znaczeniu politycznym; daje poznać zakłęte źródła, z których ta czarodziejka zasilala rodzinny swój geniusz.

W pierwszym rozdziale autor daje historyczny zarys Wenecyi. Widzimy jak garstka rozbitek, wyparta z gniazd napadem Atyli, chroni się na maleńkie wysepki, skupione wśród niedostępnych trzęsawisk: jak handlem soli, zabezpiecza się ledwie od nędzy i głodu. Widzimy potem, jak synowie tych zbiegów, coraz śmieliej wypływają na morze, jak wracają z dalekich wypraw obławowani złotem; jak w miejscach ubogich chat rybackich, budują na palach pałace i przybytki, błyszczące nieźrównanym przepychem Wschodu.

Widzimy zapasy i tryumfy dawnych patrycyuszów, wytrwałą ich działalność, podejrzliwy patryotyzm, wielkie cnoty i wielkie zbrodnie, najwyższą chwałę i najsmutniejszy upadek. Cały dramat dziejowy rozwija się przed nami, we wstępnej rozprawie Yriarta.

Potem następuje historia sztuki. Każda jej epoka uwydatniona tu w wiecznotrwałych pomnikach. Geniusz bizantyjski żyje zakłęty w Bazylice ś. Marka: styl gotycki harmonijnie połączony z maurytańskim znalazł godny siebie wyraz w arcydziele Pisanięgo, sławnym pałacu dożów; styl odrodzenia kwitnie w przybytkach Bożych, w pałacach patrycyuszów, w ich przepysznych grobowcach. Pierwszą część dzieła zakończył autor krytyczną rozprawą o rzeźbie weneckiej, od bizantyjskiej epoki do połowy XVIII wieku. Czteryście rycin zdobiących dzieło, daje reprodukcje wszystkich pomników architektury i rzeźby.

Druga część dotąd niewydana, obejmie historią sztuki malarzkiej. Wystąpią tu wielkie postacie Bellinich, Tintoretta, Tycyana, Weroneza, tych olbrzymów kolorytu, którzy odrodzili włoską sztukę i wytknęli jej nowe tory. Część ta obejmie także historią przemysłu, jak niemniej rzut oka na archeologiczne zabytki Wenecyi: malownicze stroje, domowe sprzęty, wyroby złotnicze, jedwabne tkaniny, koronki, zwierciadła, a przedewszystkiem, pyszne zabytki typograficzne XV i XVI wieku znajdują w tej drugiej części pomieszczenie.

Osobny ustęp ma być poświęcony pisarzom i poetom weneckim. Wśród tych ostatnich błyszczy sławna Kasa ndra Fedele, zmarła w r. 1548. Senat wenecki otaczał ją czcią najwyższą. Żadna uroczystość nie obeszła się bez niej. W pałacu dożów, prowadzono ją na estradę, z kądem improwizowała w obec zgromadzenia, przygrywając na lirze. Wenecya pyszniła się Kasandrą. Miała zaledwie lat czternaście, kiedy imieniem magistratu przemawiała publicznie do cesarza Ferdynanda III.

Inne dzieło o Wenecyi ukazało się temi czasy u Plona, w ozdobnym wydaniu z rycinami. Autor p. Henryk Hovard, stawia królowę

Adryatyku, obok króla północnych mórz, holenderskiego Amsterdamu; porównywa z sobą dwa nadmorskie grody, oba zbudowane na palach, poprzecinane kanałami; oba dzwignięte wytrwałą pracą, miłością i ofiarą synów swoich. Mimo tylu zbliżeń, jakążto jednak różnica w życiu ludów, co zamieszkały oba miasta; w charakterze ich geniuszu, nie mniejsza zapewne różnica jak między żarem słońca, bityszczącego nad Wenecyą, a grubym tumanem mgły, rozpostartym nad wieżami Amsterdamu. P. Howard bada pilnie cechy obu miast, odnosząc je do charakterystyki mieszkańców, tak odrębnych od siebie, religią, obyczajem, tradycją domową.

Trzecią to dzieło Howarda poświęcone Holandyi: w *Podróży do miast umarłych nad Zuydersee* i w *Granicach zagrożonych* dowiódł autor że zna dokładnie kraj, że się zżył z mieszkańcami. O tych dwu pracach mówiliśmy już w swoim czasie; ostatnia przewyższa je wartością. Samo porównanie dwu miast, powstałych pod jednakimi warunkami, a przecież tak odmiennych od siebie, rozszerza pogląd autora i nasuwa mu mnóstwo uwag, dotyczących etnografii i cywilizacyjnego rozwoju ludów.

Do mnóstwa istniejących tu przeglądów naukowych przybyło w tych czasach kilka jeszcze, tak w wydziale nauk ścisłych jak i literatury. Same nazwiska autorów dają rękojmnię ich wartości. Znany historyk p. Drapeyron, rozpoczął *Przegląd geograficzny* w rodzaju *Mittheilungen* Petermana; w przyszłym sprawozdaniu powiemy o nim szczegółowo. Profesor Hayet wydaje *Przegląd filologiczny* p. Bibot *Przegląd filozoficzny*. Gaidoz profesor literatury staro-gaiskiej w Sorbonie, zajął się *Przeglądem celtyckim*; profesorowie, Gaston Parys i Mejer prowadzą publikacją pod tytułem *Romania*, poświęconą literackim zabytkom południowej Francji. Nie znamy jeszcze pisma, znamy za to obu profesorów: na kursa literatury prowansalskiej Mejera, uczęszczamy stale w tym roku.

Jestto głęboki erudyta, ale życia w nim mało. Rzecz widoczna, iż profesor sparaliżowany jest w swym wykładzie charakterem politycznym, jaki Niemcy nadali sprawie prowansalskiej. Co do ożywienia przeglądu liczymy więcej na Gastona Parysa, który od lat dziesięciu okazuje równą erudycją jak i wymowę, w wykładzie średniowiecznych poezyi francuzkich. Pismo *Romania* będzie przedmiotem sprawozdania naszego, gdy się w niem rozpatrzymy; dziś powiemy o innym niemięj ważnym przeglądzie p. t. *Meluzyna*; redaktorami jego dwaj zuani filologowie pp. Gaidoz i Rolland. Pismo poświęcone wyłącznie mytologii i literaturze ludowej.

Tytuł wzięty od imienia mytycznej czarodziejki, żyjącej dotąd w podaniach ludu francuzkiego. Ta fantastyczna Meluzyna z obliczem dziewicy, z ciałem węża, przebywać ma od wieków w opuszczonej baszcie Lusignan; według tradycji, widywano ją nieraz kąpiącą się w rowach zamkowych. Lud widzi w niej zakłęta prababkę Lusignanów.

W średnich wiekach liczne krążyły o niej pieśni: sam tytuł wskazuje cel przeglądu.

„Zamierzamy—mówią wydawcy—badać starożytne mytologie Wschodu i krajów klasycznych, mianowicie poetycznej Grecyi; zwrócimy też pilną uwagę na mytologią młodszych i bliższych nam ludów. Nie zaniedbamy również dalekich tubylców Afryki środkowej i Australii, których dzisiejsze bałwochwalstwo stawia nam przed oczy fazę fetyzizmu, jaką przechodziły ucywilizowane narody. Głównym zaś przedmiotem badań naszych będzie literatura ludowa, tak we Francyi jak w innych krajach, obejmująca pieśni, powieści, przysłowia, uroczystości, obrzędy, zwyczaje, podania, zabobony i t. p.“

Mamy właśnie przed oczyma pierwszy numer tej ciekawej publikacji. Profesor Parys w artykule wstępnym, zali się na opieszłość francuzkich etnografów. „Francya—mówi on—ostatnia w Europie, zajęta się swoją poezją ludową. Tłumaczyliśmy pieśni innych narodów, nie domyślając się że posiadamy u siebie równie piękne, równie starożytne, równie oryginalne. Ci sami, którzy zachwycali się pieśniami nowo-greckimi przekładu Fauriela, nie znali własnych, lub mówili o nich z lekceważeniem i pogardą. Nastąpiła wreszcie reakcja. Przed ćwierć wiekiem, minister oświecenia Fortoul wydał urzędowe rozporządzenie, zalecające zbierać w całym kraju pomniki literatury ludowej: śmierć ministra zwichnęła piękny zamiar.“

Dałej p. Parys wylicza i ocenia wydane dotąd zbiory; gorąco wzywa do dalszej pracy na tém polu, pokazując wielką jej ważność tak dla literatury, jak dla filologii i historii porównawczej aryjskich ludów.

Pierwszy numer obejmuje ciekawe powieści ludowe z różnych okolic; jedna z nich o zbrojcach, świeżo wzięta z ust ludu bretońskiego, wierném jest powtórzeniem tradycyi zapisanej w kronice Herodota; powiastki Kreolów z Cayenny, pełne oryginalności i jaskrawego kolorytu. Korrespondencja z pod Rouen, stolicy dawniej Normandyi, wylicza długi szereg istniejących tam jeszcze zabobonów: powtórzymy z nich kilka.

Przed laty piętnastu, zbudowano w Neuville dom mera. Nikt nie chciał zawierać cywilnego małżeństwa w tym domu, z powodu, że tradycyjny zwyczaj nie był w nim dopełniony. Zwyczaj ten nakazuje zabić koguta i krwią jego pokropić nowe progi. Widoczne to ślady pogańskiej ofiary na cześć domowych bogów. Mer pozwolił uczynić zadosyć tradycyi; odtąd zawieranie małżeństw w jego domu nie znajdowało oporu.

Na łące pod Neuville zbierają się nocą białe boginki, lud widzi je we mgle podczas pełni księżyca. W lasach tańszych rosną złowrogie zioła: kto nogą na nie stąpi, zabląka się niechybnie. W lesie Longboel istnieje dotąd tak zwana „dziura ś. Patryka,” przez którą ten święty zstąpił niegdyś do piekieł; wszyscy słyszeli o niej, nikt jej przecież nie widział. Dusze umarłych często się pokazują, lub z szumem

drzew leśnych, przysyłają o sobie wieści. W ciągu dwunastu dni od Bożego Narodzenia do Trzech króli, dusze rodziców zstępują niewidzialne, zasiadają u ogniska obok sierot, dają im zbawienne rady i przynoszą dobre natchnienia.

Na dolinie Audelle nad Sekwaną przetrwał dotąd zwyczaj bardzo niegdyś upowszechniony. W dzień Wszystkich Świętych, po wieczerzy, rodzina zastawia stół na nowo, leje polewkę w misy, szklanki napelnia jabłecznikiem. Otwierają potem wszystkie okna. O północy, kiedy zaczyna się Dzień zaduszny, przybiegają na ucztę dusze zmarłych. Podczas gdy uczują niewidzialni, żywi modlą się razem przy ognisku.

Jeśli bogata i przemysłowa Normandia, tak bliska od Paryża, tyle jeszcze zachowała tradycyi, o ileż więcej będzie można ich znaleźć w leśnych i górzystych stronach kraju: w Owernii, Bretanii, Lotaryngii i Delfinacie?

Z pomiędzy pieśni zamieszczonych w pierwszym numerze Meluzyny, przytaczamy w przekładzie jedną żartobliwą p. t. *Król Sabaudzki*, przystaną z okolic podalpejskich.

Król do wojny gotowy,
Jak przystało na pana;
Raz mu przyszło do głowy
Zrzucić z tronu sultana.

Myśl ta weszła mu w głowę,
Nuż ją motać na watek;
Zebrał szyki bojowe,
Chłopów osiem dziesiątek.

Przystrój na nich bogaty,
Artylerya téż suta;
Cztery wielkie armaty:
Każda z blachy wykuta.

Pułk ma włócznie i luki,
By dopełnić taboru;
Król zabierze pod juki
Wszystkie osły z klasztoru.

Wszystkie osły zabierze,
Dość zapasów potrzeba:
Niechże dzielni żołnierze
Nie ułakną tam chleba.

Biją bębny, z mozołem
Ciagną ludzie i osły,
Aż dowlekli się społem
Na wierzech góry wyniosłej.

Ztąd powiodą w krąg oczy,
— Jak świat wielki, mój Boże!
Z góry rzeczka się toczy:
Wzięli rzeczkę za morze.

Coś zatętni z daleka:
Wróg! nie tracić nam czasu,
Kto żyw.... hurmem ucieka:
Hejże! hejże do lasu!

Literatura ludu francuzkiego przeważa nad innemi w pierwszym numerze, ale i obca nie zaniedbana. Jest tu oryginalna piosnka wschodnia nad kołyską, tekst i muzyka nadesłane ze Smyrny. Znajdujemy także obszerny artykuł mytologii słowiańskiej, przetłumaczony z dzieła Józefa Ireczka o Bulgaryi. Autor opierając się głównie na Prokopie, wylicza starożytne bóstwa: Swaroga, Dadźboga, Peruna; widzi w nich uosobienie żywiołów i ciał niebieskich; wspomina ofiary składane bogom, przy głównych zmianach pór roku, charakteryzujące ludy rolnicze. Nazwę *objata*, odnosi do wyrazu obietnica czyli zobowiązanie. Obszerny ustęp poświęca Rusałkom, Wilom serbskim, Samowilom bułgarskim, tym mytycznym istotom, co lubo z jednego wyszły źródła, niemniej dziś różnią się od siebie jak i ludy, które je wykołysały w własnej fantazyi. Jakażto np. różnica między uroczą rusałką naddnieprzańską, a tracką samowilą, co przebiega ziemię na jeleniu uprzężonym w jadowite żmije, a pogania go wściekłym węzem zamiast biczyka. Judy, odnosi autor wyłącznie do Macedonii i gór Rodopu; mieści je po rzekach i jeziorach jak nasze świtezianki.

Niez mordowany starożytnik Schlieman wzbogaca archeologią, coraz nowemi odkryciami w Grecyi. Ostatnie wykopaliska w Mycenach, do których użył stu pięćdziesięciu robotników, przyniosły bogate owoce. Wydobyto z ziemi tysiące maleńkich statuetek przedstawiających boginię Herę (Junonę), to w postaci kobiety z końską głową, to znów w postaci konia z głową kobiety. Odkopano także mury Cyklopów, szczątki jakiejś królewskiej rezydencji; ważniejsze jeszcze zabytki odkrył Schlieman pod akropolem Myceńskim. Są to starożytne grobowce, otoczone podwójnym rzędem płyt marmurowych. Szczęśliwy z odkrycia archeolog widzi w nich groby Atrydów. W jednym z nich głowa szkieletu wybornie zachowana, pokryta była grubą maską złotą; przy boku prawym leżały przedmioty złote, ale znaki kreślone na nich, nie podobne do żadnych charakterów piśmiennych, jakie dotąd poznano. Schlieman przekonany, że to szkielet Agamemnona. W dwu innych rozpoznaje szkielet Kasandry i Eurymidona, zamordowanych podczas uczt z Agamemnonem, przez Egista i Klitemnestrę. W innym grobie znaleziono mnóstwo klejnotów i rytych kamieni; wielką moc pasów złotych, naszyjników z bursztynu (elektronu), strzał, przyborów wo-

jennych i t. p. Skarby odkryte w owych grobach, mogą zapełnić całe muzeum. Zaczem rząd heleński przygotowuje dla nich odpowiednie miejsce w Atenach, otoczył je silną strażą wojskową. Znalezione oprócz tego dwa konie kolosalnej wielkości, oraz rzeźby przedstawiające rycerzy na wozach.

Wkrótce podobno Dr. Schlieman przybędzie do Paryża, gdzie przedstawi w Akademii napisów, fotografie świeżo odkrytych zabytków starożytnych. Archeologowie francuzcy z właściwą uczonym przeczornością, nie uznają może w tych szkieletach Agamemnona i Kasandry, jak w dawnych wykopaliskach nie uznali pałacu Ulisesa ani też skarbcu Pryamowego; w każdym razie muszą przyznać, że wytrwałe prace Schliemana, przyczyniły się wielce do rozjaśnienia historii starożytnej sztuki greckiej.

Pod tytułem *Literatura i Historia*, p. Littré, naczelnik szkoły pozytywistów francuzkich, wydał zbiór luźnych artykułów, które w ciągu lat wielu drukowane były po rozmaitych dziennikach i przeglądach: niektóre z nich noszą datę r. 1830. Przed dwoma laty wyszedł już podobny zbiór, ale obie publikacje nie mają z sobą żadnego związku. W przedmowie do ostatniej, siedmdziesięcio-kilkoletni akademik żegna publiczność, wylicza wszystkie zaszczyty, jakie go w ciągu życia spotkały, i inne, których przyjąć nie chciał. Jedyna tylko myśl zatruwa mu goryczą dni ostatnie; ubolewa, że zamknięto przed nim katedrę; nie może więc jakby pragnął wykładać młodzieży doktryn pozytywistycznych Augusta Comte'a. Nagradza to choć w części, ogłaszając zasady materialistyczne i anty-religijne. W szeregu artykułów o pani de Sevigné, Szekspirze, Arystofanie, Rabelais'ie, Cerwantesie, Szyllerze i innych, usiłuje szerzyć doktrynę swoją, biorąc ją za kryterium do ocenienia dzieł geniuszu ludzkiego.

Wszyscy znają Wiktora Hugo jako wielkiego poetę, ale nie wszyscy wiedzą, że słynny poeta jest także znakomitym rysownikiem. Taż sama ręka, co nakreśliła tyle palących zgiętosek, rzuca na papier śmiałe zarysy, pełne twórczego polotu. Widzieliśmy właśnie w popularnym wydaniu *Dziewięćdziesiąt trzeciego roku*, trzy obrazki wykonane według rysunków poety. Jeden z nich przedstawia basztę Gowena (Turge), przyczepioną do zgorzałego gmachu, przerażającą jak kościotrup! Wzrąb zamczyska sterczy po nad parowem. Wiatr przepędza kłęby chmur, burza krąży w powietrzu, wnet sypnie gradem i piorunami. Na dwu innych obrazkach widzimy skreślone widoki Wandei, smutne jakieś, straszne, złowrogie. Z trzęsawiska wyrastają grupy karłowatych drzew; konary ich wiją się jak węże. Na jednym noc; przez tuman mgły przebija błądy księżyc. Na drugim słońce schodzi z widnokegu, pokryte strzępiastą chmurą. Gdzie rzucisz okiem, niepokój, postrach, groza, wróżba zniszczenia i zatury.

Rok *Dziewięćdziesiąty trzeci* wyszedł już z druku. Obecnie rozpoczęto w tymże samym formacie, zeszytami, sławną powieść *Nôtre Dame*.

Właśnie gdy kończyliśmy kronikę naszą, ukazał się na scenie dramat oryginalny, wychodzący z granic zwyczajnych, rzecz bowiem dzieje się nie na ziemi, ale w otchłaniach Atlantyku. *Dramat w głębi morza*, taki jest tytuł, należy do nowego rodzaju literatury, do której dzielny dał popęd Juliusz Verne, całym szeregiem powieści, opartych na podstawie naukowej. Wielkie powodzenie jakie znalazła *Podróż w okóło świata*, zachęciło p. Dagué do poprobowania szczęścia na témże polu. Wysnuł on wątek ze świeżej powieści Ryszarda Cortemberta; zręcznie powiązał nici dramatu, i przedstawił go w *teatrze historycznym*. Wprawdzie niektórzy zarzucają sztuce brak prawdopodobieństwa, ale ogół publiczności zupełnie zadowolony; *vox populi* przeważy niewątpliwie nad zbyt niemi wymaganiami krytyków.

Przytaczamy treść rzeczy w kilku słowach.

Akt pierwszy odbywa się pomiędzy Europą a Ameryką, na 50-tym stopniu szerokości geograficznej, w kajucie parowca *Washington*. Bogaty Irlandczyk Sir Reginald, dotknięty paralizem, płynie do Limerick z żoną i córką Emilią. Ta córka naręczoną jest francuzkiego inżyniera, Henryka Sartene. Starzec ma przy sobie szkatułę pełną dyamentów, ocenioną na dwa miliony. Płynie także amerykański inżynier James Norton, zakochany w pięknej Emilii. Wié on, że młoda Irlandka zaręczona z francuzem, ale wie także, iż on, a nie francuz pozyskał jéj uczucia; błaga zatém rodziców, aby zerwali dawny układ, a oddali mu córkę. Sir Reginald odmawia stanowczo. W téj chwili rozlega się przeraźliwy okrzyk: *Washington* gore, płomień ogarnia statek, każdy ratuje się jak może! Norton chwyta w objęcia Emilią, nie się ją do szalupy; majtek Friquet chce unieść matkę; niepodobna! pomost zawala się w téj chwili: Sir Reginald tonie wraz z żoną. Tenże los spotyka większą część podróżnych: mała cząstka ledwie ocalała.

Drugi akt przenosi nas do Limerick. Spotykamy tu Emilią w grubéj żałobie, pod opieką pani Sartene matki narzeczonego. Henryk Sartene ma za chwilę odpłynąć wielkim parowcem *Great-Eastern*, wraz z kilku innymi inżynierami. Rząd polecił im naprawę drutu telegraficznego, rozerwanego właśnie w miejscu, gdzie przed kilku miesiącami zgorzał i zatonął *Washington*. Sartene przewodniczy wyprawie: płynie z nim także Amerykanin Norton i trzeci jeszcze inżynier Karl, Rumuńczyk, postać tajemnicza i złowroga.

W akcie trzecim jesteśmy znów na morzu. *Great Eastern* dopływa do miejsca katastrofy, od której rozpoczął się dramat. Sartene i Norton patrzą na siebie nienawistnym okiem, serca ich kipią zemstą; wstrzymują gwałtem wybuch gniewu: służba wzywa ich do wspólnego działania. Kiedy statek zatrzymał się pod pięćdziesiątym stopniem, przywdziewają skafandry, odzież nurków wydętą powietrzem, kładą ółowiane trzewiki, biorą w rękę topory na obronę od morskich potwo-

rów, przykładają do ust koniec długich rurek gutaperkowych, i spuszcza się razem na dno morza. Spuszcza się z nimi Karl Rumuńczyk, dzielny majtek francuzki Friquet przyświeca im elektryczną latarnią.

Tu zmienia się dekoracya. Scena przedstawia wnętrze oceanu. Światło łamiąc się w wodzie, ukazuje nam w całym przepychu świat podmerski, dziwny, fantastyczny, cudowny. Kto opisze te żywe kwiaty i poruszające się kamienie! Te lasy koralowe błyszczące purpurą, te sturamienne piemory, z paszczą wiecznie otwartą na łup; owe miryady krabów, ręb, musul, przesuujące się w pośród błękitnawo-zielonej fali! Oko nasze chciwie chwytą ów czarodziejski obraz, a oto nowa zmiana: jesteśmy na samém dnie Atlantyku; widzimy nie dopalone szczątki parowca, przyparte do skały podwodnej.

Cały pomost zawalony trupami. Dzięki żywotnemu działaniu soli morskiej, każde ciało zachowało kształt, w jakim śmierć je pół roku temu zakończyła. Na obliczach trwoga i rozpacz. Sir Reginald siedzi na złomie powalonych schodów, trzyma w objęciu żonę; kobieta wsparta głową o ramie męża, skurczoną rękę przyciska do szkatuły. Nic straszliwszego nad ten obraz!

Pomału spuszcza się czterej nurkowie. Sartene i Norton zajęci przedewszystkiem służbą, szukają pilnie dwu końców telegraficznego drutu: Friquet przyświeca latarnią. Podczas gdy spajają oba wynalezione końce, Rumun rzuca się na szkatułę: dla niej on tu przybył; dla niej rozciął przed miesiącem drut telegraficzny; stanął wreszcie u celu: strąca toporem wieko, dobywa dyamenty. W chwili gdy je chowa w zanadrze, przystępuje ku niemu Sartene. Nikczemnik schwyty na gorącym uczynku, nie traci głowy; podnosi topór, jednym zamachem rozcina gutaperkową rurę, zasilającą powietrzem świadka zbrodni. Prąd porwał nieszczęśliwą ofiarę. Majtek Friquet przybiega z latarnią, w chwili gdy zbrodnia dokonana została, lecz jednakowy skafandr pokrywa Karla i Nortona: kto był mordercą wiadomo tylko Bogu!

Nowa zmiana dekoracyi: nurkowie wypływają z głębi wód, wchodzi na pokład, zrzucając skafandry. Jest ich trzech tylko: Henryk Sartene pozostał na dnie. Zbrodnia oczywista dla wszystkich. Kto ją popełnił? „Norton!“ powtarzają wszyscy jednoznacznie.

Statek przybija do irlandzkich wybrzeży; sprawa wytacza się przed sądem. Norton skazany na szubienicę, wtrącony za kratę więzienną, czeka tam spełnienia wyroku.

Wszystko przyszykowano do egzekucyi, kat czeka już ze stryczkiem, gdy wtém przybiego Henryk Sartene. W kilku słowach wyjaśnia rzecz całą. Acz pozbawiony rurki gutaperkowej, miał on w skafandrze, zasób powietrza, dostateczny na kilka minut. Prąd tymczasem wyrzucił go na skałę, rybacy podjęli rozbitka, dostawili do brzegu.

Dwaj współzawodnicy rzucają się w objęcia. Szlachetny Henryk nie dość, że ocalił życie Nortonowi, ustępuje jeszcze praw swoich do ręki Emilii. Stryczek przygotowany dla Amerykanina, ściśnie wnet gardło

prawdziwego winowajcy. Rumun nie czeka wyroku; zaczęłam go pochwycono, rzucił się sam w morze ze skały.

Taką jest osnowa dramatu, któremu dziś przyklaskuje szczerze cały Paryż. Prócz obrazów, zachwycających oko, są tu sceny prawdziwie dramatyczne. Piękna wystawa dopełnia uroku. Przekonani jesteśmy, że *Dramat w głębi morza* doczeka się kilkuset reprezentacji.

Czemu rola czarna przypadła Rumunowi? zapytują niektórzy. Wszak Rumuni, niezbyt jeszcze ściśnieni w obrębie kraju swego, nie zwykli szukać przygód gdzieś za morzami, na wzór ich niemieckich sąsiadów. Otóż w pierwotnym pomysłe autora, *Karl* nie był rodem z nad Dunaju, ale raczej z nad Sprei. Względy polityki międzynarodowej, spowodowały tę przemianę. Można tu śmiało zastosować przysłowie: kowal zawinił, ślusarza powieszono!

W Odeonie zapowiedziano wielki dramat historyczny wierszem, p. t.: *Hetman*. Jaki to hetman? jużciż nie francuzki; Francya miała konetablów ale nie słyszała o hetmanach; nie było ich nigdzie oprócz Polski. Wątpimy jednak, aby jaki Tarnowski, Potocki lub Konstanty z Ostroga, miał być bohaterem zapowiedzianego dramatu. Będzie nim podobno Bogdan Chmielnicki, smutnej pamięci ataman kozaków z XVII wieku. Imię to dał poznać Francuzom, zmarły akademik Merimeé, w historycznym obrazie, w którym skomplikował i popsuł dzieło p. Kostomarewa, nakręcając rzecz do własnych uwidzeń. Nie przeczymy, że postać Chmielnickiego, postawiona na tle burzliwych wojen kozackich za czasów Jana Kazimierza, może być bardzo dramatyczną. Niebezpieczna to rzecz jednak dla autora, podejmować z obcej historii wypadki zbyt mało rozjaśnione, a zbyt bliskie nas, aby wolno było przedstawiać je tylko ze strony fantastycznej.

Autorem *Hetmana* jest p. Deronlède, młody i zdolny poeta, który dwoma zbiorami *Pieśni żołnierskich*, zjednał sobie chlubną nazwę Tyrteusza francuzkiego i zdobył zaszczytny wieniec akademicki. Czy wystąpienie z Bogdanem Chmielnickim zapewni mu nowy tryumf? nie przesądzajmy rzeczy. Zaczęłam kronika nasza wyjdzie z druku, *Hetman* dziś jeszcze zagadkowy, zrzuci już pewnie maskę z oblicza i ukaze się na deskach teatralnych.

Czytamy właśnie w dziennikach, iż dyrekcyja Odeonu powołuje ludzi krzepkich i rośliwych, na figurantów w nowym dramacie. Kogo mają przedstawiać te draby? trudno nam dziś odgadnąć. Kozacy XVII wieku, nie uwydatnili się w tradycyi nadprzyrodzonym wzrostem, z barczystą postawą, jak niegdyś *Ispoliny* nad Dnieprem, lub *Ugry* we Francyi, których imiona same określają olbrzymów!

Spalić, nie spalić?

Nieraz chętka mnie bierze, wszystko puścić z dymem,
Co później napisałem, jak prozą, tak rymem;
Bo jeżeli zrozumieć trudno mi przychodzi,
Co teraz przedstawiają autorowie młodzi:
To młode pokolenie, nowości nie syte,
Nie zechce już pójść za mną w tory raz ubite.
Może portret prababki, z lamusu dobyty,
Był niegdyś i podobny; lecz dziś brudem skryty,
Stracił już świeżość, a z nią połysk życia razem,
I stał się tylko zimnym i martwym obrazem.

Prawda... prawda! bo wszystko kręci się po ziemi,
Odmieniają się czasy i my także z niemi:
Byle wzruszyć, zadziwić w dzikiem jakim dziele,
O prawdę i o dążność nie troszczą się wiele:
Niech i tak będzie! Ale najrozsądniej zatém,
Nie chceć upłatać wieńców przywiedłym już kwiatem;
Z drugiej zaś strony biorąc, cóżto szkodzić może,
Jak się już pod murawą wygodnie ułożę,
Że gdzieś na jakiejś scenie na lodzie usiędę,
Złym poetą nie pierwszym, nie ostatnim będę,
I jak klaskać lub gwizdać będą w mojej sztuce,
W grobie się nie ucieszę, ani się zasmucę.
Dalej więc na tandetę, moje stare graty:
Może kto i oceni, co było przed laty.

Aleksander Fredro.

PODRÓŻ NAOKOŁO ZIEMI.

(SPRAWOZDANIE Z PIERWSZYCH CZTERECH WYKŁADÓW PROF. SYRSKIEGO,
MIANYCH WE LWOWIE).

PODAŁ

Dr. Z. Rościszewski.

Czy może być co przyjemniejszego a zarazem więcej pouczającego dla wykształconego człowieka nad podróżowanie? To téż rok rocz-

nie tysiące turystów i ludzi prawdziwej nauki puszcza się w pielgrzymkę po świecie, pierwsi dla zaspokojenia li chęci odczuwania przy zmianie miejsc pobytu jak najrozmaitszych wrażeń, lub wreszcie dla zadowolenia częściej tylko ciekawości; drudzy w celu rzeczywistego badania bądźto przyrody, bądź stosunków społecznych. Odbywać podróży dla próżnej tylko ciekawości, dla odczuwania zmiany wrażeń, przy pieniędzach nie jest trudnym wcale; lecz odbywać w pewnym wytkniętym celu, w celu naukowych korzyści, ten tylko potrafi, kto naukę umiłował i rozbrać wziął z próżniactwem, kto się poświęcił pracy i to pracy sumiennej, kto wreszcie wie, jak ma pracować.

Sprawozdanie z wykładów publicznych o podróży na około świata odbytej przez prof. dra Szymona Syrskiego, które w jak najkrótszej formie postaram się przedstawić szanownym czytelnikom, będzie sprawozdaniem z podróży naukowej, w całym tego słowa znaczeniu. Samo imię prelegenta zupełną tego jest rękojmią.

Na odgłos mającej się odbyć z inicjatywy rządu austriackiego w 1868 r. podróży w celu zawiązania dyplomatycznych stosunków z Chinami i Japonią, a nadto w celach handlowych i zbadania ziemi, czyli słowem, na odgłos mającej się przedsięwziąć przez rząd wyprawy „Wschodnio-Indyjskiej,” dr. Syrski wszelkimi starał się sposobami współuczestniczyć w tej wyprawie. Polecony rządowi przez izbę handlową Tryesteńską, bez trudności też mianowany został komisarzem do zbadania płodów ziemnych tych okolic i krajów, do których wyprawa miała być wysłaną. Dwa okręta, fregata „Dunaj” i korweta „Fryderyk” przeznaczone zostały w tym celu. Na Dunaju umieściła się dyplomacya, Fryderyk wioził prelegenta i z innych działów sprawozdawców. Kierownictwo wyprawy powierzone zostało temu samemu administratorowi Petz, który zręcznym uderzeniem swojego okrętu „Max” we włoski „Re d'Italia” przechylił szalę zwycięstwa na stronę Austriacką w sławnej bitwie morskiej w 1866 r. pod Lisą.

Dr. Syrski z zawodu przyrodnik, dr. medycyny, dziś profesor zoologii w uniwersytecie lwowskim, człowiek wszechstronnie wykształcony a zwolennik systemu przyrodniczego w naukach, postanowił rezultatem swych badań i zdobyczy z tej podróży podzielić się z szerszą publicznością w piętnastu lub więcej wykładach, na które też ściągają mnóstwo słuchaczy. Wykłady te odbywają się w sali ratuszowej co środę, począwszy od 13 grudnia r. z. na korzyść „Towarzystwa przyrodników polskich imienia Kopernika.” Wykłady te objaśnione są licznymi obrazami zdjętymi za pomocą fotografii z natury i przedstawionymi przez prelegenta przy świetle Drummonda w megaskopie.

Prelegent rozpoczął najprzód treściwie odmalowanym obrazem historii całej podróży, wreszcie wytłumaczywszy cel i zadanie Towarzystwa Kopernikowego zasadzający się na rozprzestrzenianiu wiadomości przyrodniczych, dopiero przystąpił do szczegółowych opowiadań. My dla krótkości nie możemy się trzymać tego porządku, lecz rozpoczniemy odrazu od szczegółowego opisu wrażeń naszego podróżnika,

idąc krok za krokiem okolicami, któredy przejeżdżał, zastanawiając się się dłużej tylko nad wybitniejszymi punktami wykładu. Sprawozdanie to nasze da krótki obraz tego, co szanowny prelegent w ciągu 4 powie-dział wykładów, z których każdy trwał blisko 1³/₄ godziny.

W drugiej połowie października 1868 roku wypłynęły dwa wspo-mniane wyżej okręta z Tryestu. Malownicze i pełne interesu tak pod względem geologicznym jak etnograficznym wybrzeża Dalmacyi, dają pochop prelegentowi do ich odmalowania. Wybrzeża te złożone ze skał wapiennych, które woda wciąż podmywa, niosą ich odrobiny aż na przeciwną stronę, gdzie je osadza w postaci mułu. Adrya, miasto, od którego morze przybrało swą nazwę, dziś o mil kilkanaście od brze-gów jego oddalone, w starożytności kapało się w Adryatyku. To od-dalenie dzisiejsze jego od brzegów morza, to wsunięcie się w głąb sta-łego lądu, czegóż dowodzi? Oto, że muł z przeciwległej strony, przez całe wieki tutaj niesiony, w tak wielkiej nagromadził się ilości, iż wy-pchnął z łóżyska morze, sam jego miejsce zastępując. Cały ten pro-ces u zachodnich wybrzeży Adryatyku ustępowania morza z dawnych swych granic a natomiast wdzierania się w leżący z przeciwległej stro-ny ląd stały, jest nader zajmującym.

Od Wiednia począwszy, idąc Styryą, Karyntyą i Krainą, spotykamy wszędzie jednakowego charakteru okolice. Łańcuch gór porozrywany i jakby wyrzeźbiony dłutem sztucznie, to wystrzeli szczytem nagim w niebo, to się zagłębi w kotlinę, lub w przepaść runie. Od Adelsber-ga, pasmo to gór się zniża; wszędzie jednak widać nagie szczyty skał, u których zawieszono w powietrzu trzymają się bryły ostremi świecące ścianami i tuż, tuż mającemi się oderwać, i uderzając o twarde boki skał, spaść w dolinę, w tysiące rozbite cząsteczek. Jest to Alp przed-dłużenie. Alpy mają wszędzie skład i charakter jednaki. Ich wnętrze stanowi granit, łupek, gnejs, zewnętrzną skorupę wapień. Roślinności tam nie ma, a rdzawe tło ziemi, to dowód obecności nagromadzonego w niej tlenku żelaza. Grunt gliniasty, gdzieniegdzie na nim chwije się dąb karłowaty, gdzieniegdzie przebija wapno żelazem zabarwione. Ponury, smutny, jednak majestatyczny, a nadewszystko wiele dający do myślenia obraz. Lasów tam nie wyrąbali Wenecyanie, jak dotąd niektórzy sądzą, bo nie oni jedni mieszkańcami byli tych okolic. Na to wszystkie narody się zebrały, których wyżyny te w ciągu swojego istnienia, dłużej lub krócej przytulały do siebie, a liczne kozy, odwiecz-ni mieszkańcy Alp, wrogi roślinności, nadto wiatr północny zwany *boreas*, do nagości tych skał się przyczynili.

Ziemia tam, to jakby gąbka nasiąknięta wodą. Lejkowate gro-ty, takież jamy, przepaście i doliny, układ warstw jednakowy, dowodem są, że zakłębienia te powstały przez zapadnięcie, że są to rozpadliny. Sławna jest grota Adelsbergska, tam zwana grota Postojny; zwiedzają-cym ją przewodnicy wiele opowiadają baśni: ona sama zato o wiele więcej mówi o sobie prawdy. Początkiem jęj mały strumyk, opodal płynący; on wydrążył pieczarę, lecz on wszystkiego nie dokonał: na to

większych sił potrzeba było. Te przesliczne czerwono-białe draperye, te żelazisto wapienne firanki, to alfabet, z którego zgłosek badacz czyta historią téj cudownej groty. I cóż wyczytał? Oto że woda deszczowa, która przesiąkając przez wapienny ten grunt jak przez gąbkę i sącząc szczelinami, do wnętrza groty się dostaje, opada na dół kroplami, pozostawiając u góry na sklepieniu pieczary pamiątkę, a ta jest pierwszą zgłoską alfabetu. Tworzy ona pierścień wapienny powoli parując; przesącza się bowiem wraz z zawieszonemi w niej cząstkami wapienia, które w wędrówce swój z powierzchni ziemi aż do groty zabrała; część jój odparuje i znów na zimnych ścianach się skropli, część jój upada na dno pieczary, wsiąka w grunt, a ze stałych swych wapiennych części, znów pierścień tworzy. Tym sposobem powstają krystaliczne sople, u góry zwane *stalaktytami*, na dole *stalagmitami*. Zabarwienie ich czerwone, to rudy żelaznej przyczyna, przez którą woda przesączać musi. Z tychto stalaktytów, i stalagmitów dr. Schmidt przeszłość groty odczytał. Przekonał się on, że corocznie stalaktyta takiego przybywa jeden cal sześcienny, a idąc po nitce do kłębka doszedł, że na utworzenie się całej groty potrzeba było *ośmiu milionów lat!!*

Dziwy opowiadają turystom przewodnicy tamtejsi o jeziorze Cyrknickiem (Zirknitz), a ci wierząc rozpowszechniają drukiem takowe, często nawet ze swój strony upiększając je więcej, by nadać opowiadaniom swym cechę romantycznego powabu. Na jeziorze tém mieszkańcy orzą i sieją, zboże zbierają i ryby łowią: tak brzmi poetyczna legenda. Zkąd jój początek, zaraz się dowiemy.

Jezioro to w czasie posuchy, prawie wysycha, tylko środkiem jego przepływa nie wielki strumyk; wtedy więc nad brzegami jego a nawet w części już i w kotlinie jeziora, mieszkańcy nadbrzeżni owies sieją, który przy ciepłym tamtejszym klimacie często uda się im zebrać; lecz niech jesień nadejdzie, niech rozpoczną się deszcze, jezioro to jakkolwiek tylko jedno widoczne ma źródło, ów strumień przepływający jego środkiem, 200 jednak większych i 300 mniejszych posiada otworów lejkowych, które nagle z wezbranych rzek podziemnych otrzymawszy wody, w pięciu lub sześciu dniach napełniają wodą całe jezioro, często aż na 6—7 metrów wysoko. To samo dzieje się z wiosną, gdy z śnieżnych roztopów także wylew rzek podziemnych powstaje. Zjawisko owych rzek i strumieni podziemnych jest rzeczywiście zajmujące. Ziemia, w której wnętrzu jak w gąbce mnóstwo komórek i otchłani, rozpadlin i szczelin się znajduje, na to zjawisko pozwala. Niemito płyną te tajemnicze wody dla jeziora Cyrknickiego. Strumień ów, o którym wspominaliśmy, iż grootę Adelsberską wymulił, po kilkakroć pojawia się na powierzchni ziemi, by potem znów na przestrzeni kilkuset metrów w czeluściach podziemnych zginać. Wszystkie wody z podziemnych tych rzek nurtując pod ziemią, to znów na jój powierzchni płynąc, dostają się wreszcie do rzeki Lubiany (Laibach), a więc do Dunaju. Oprócz Adelsberskiej groty, wiele mniejszych jest pieczar w tych okolicach. W grocie Adelsberskiej, w której mnóstwo piąter

i korytarzy, wodospadów i t. p. niespodzianek na każdym kroku napotyamy, tak samo jak w innych okolicznych pieczarach odnaleziono w namule kości dawno zaginionych zwierząt, między innymi kości niedźwiedzia grotowego (Höhlenbär) a także i kości człowieka. Znacomity Cuvier, który jak wiadomo nie chciał się zgodzić na wywody przypuszczające bytność człowieka już od wielu tysięcy lat przed potopem, zaprzeczał, aby kości te były ludzkimi; dzisiejsi jednak uczeni zgadzają się wszyscy, iż kości te są szczątkami naszych przodków. Ciekawą jest czaszka ludzka z tych odległych wieków, ję kąt twarzowy mniejszy od takiegoż kąta dzisiejszych małp, co rozumie się jest wskazówką niskiego umysłowego rozwoju naówczas człowieka, a zarazem dowodem wielkiej starożytności wspomnianych grot; lecz wnętrza tych grot nie tylko z tego powodu są pouczające. W nich dotąd żyją ustroje, których budowa i organizacja są 'dalszym ciągiem wysnutych przez badaczy wniosków. Tam żyją ślepe raki z budowy do *Macroura* należące, chrząszcze ślepe: *Leptoderus Hohenwartii* i *Leptoderus angustatus*, szczególnie w grotach góry Nanos, żyje *Proteus anguinus*, stworzenie z jaszczurką wodną bardzo pokrewne, a jednak wielce od niej odmienne.

Oczy jego, jako niepotrzebne mu narządy w ciemnościach, przez długie wieki zredukowały się do narządu szczątkowego, są prawdopodobnie dziedzictwem przodków jego; lecz jako niebędące w użyciu, pozostały tylko organem bez funkcji, przykryte są bowiem zewnętrzną skórą, a pod nią umieszczone, nie mogą być wzroku narządem. *Proteus* ma nadto skrzydła zewnętrzne, może więc żyć tak w wodzie jak na lądzie; można przeto go uważać za stworzenie przejściowe do salamandry, za chryzalidę zwierzęcia na wyższym szczeblu drabinki rozwojowej stojącego, która napotkawszy na drodze swego żywota odmienne stosunki życiowe, zatrzymała tę formę przejściową, a dla teorii przemiany gatunków cennym jest dowodem. Prelegent słowa swe popiera natchmiaszt licznymi okazami *in natura*.

W okolicach Lubiany (Laibach) a mianowicie na południe od tego miasta znaleziono wielkie torfowisko, a na niem odkryto niedawno *budowle nawodne*, o wiele ciekawsze od innych odkrytych dotąd w Szwajcaryi, Morawii i t. p. a to dlatego, iż budowle te świadczą dowodnie o życiu mieszkańców téj epoki. Tam znajdujemy narzędzia z rogu, kości i krzemienia, nasiona roślin, któremi się ludzie żywili, gliniane garnuszki, wiele kości, z pomiędzy których zwraca uwagę czaszka wspomnianego wyżej niedźwiedzia, świadcząca o walkach człowieka z tym strasznym towarzyszem smutnego jego życia.

Owe rozpadliny lejkowe, owe czeluści i otchłanie, których w Istrii i Dalmacyi tak wiele, a o których prelegent bardzo dużo szczegółów przytacza, wszystkie dążą w kierunku morza: i wyspy nadbrzeżne zachowują również tenże kierunek południowo-wschodni, co dowodzi wciskania się coraz to głębiej w ląd stały morza, które swą wodą otchłanie te zapełnia. Trzy mile na południe i wschód od Tryestu jest wieś Saneanzyzan zwana. We wsi téj jest piękna grota, na której skle-

pieniu stoi kościół. Do niej zdala ze stron południowych płynie łożyskiem piaskowca rzeka i głębokością i szerokością swą dość znaczna, która dotąd w podręcznikach geograficznych nosi miano Reki. Otóż Reka napotkawszy na swój drodze górę wapienną w wspomnianej wsi i przez wieki bałwanami swemi o nią uderzając, wryła w niej wspomnianą grotę i przez nią przepływa. Tuż zaraz w odległości kilkadziesiątu metrów na wierzchołku góry po za kościołem, są znane nam już z opisu przepaście lejkowe. W ich ścianach ręka ludzka dla wygody podróżnych schody wryła. Temito schodami spuściwszy się w głąb otchłani, słyszysz szum wartkiego biegu rzeki, która jednak jeszcze głębiej w wnętrzościach ziemi się kryje. Dopatrzyć się tam niczego nie możesz, prócz bowiem szumu i strasznego łoskotu, jakie woda i wystraszone gołębie dzikie, ukrywające się w tych przepaściach sprawiają, nic zmysły twe nie podrażni. Głębokość tych otworów wynosi co najmniej 300 metrów, w takiej więc głębokości płynie Reka, której dalsze lochy dotąd nie były znane. Niedawno jednak sprawdzono, iż we wsłonie Trebisch o milę od Tryestu, także ze wschodniej strony płynąca rzeka, nagle z pod ziemi wydobywająca się na jaw, którą Wirgiliusz Timavo nazywa, nie jest czém inném, jak Reką, która pod ziemią znalazłszy odpowiedni spadek do morza dąży.

Na wyspie Cherso jest jezioro wody słodkiej, 9 metrów głębokie a 13 metrów nad powierzchnią morza wyniesione, na południe zaś od Zary spotykamy znowu słone jezioro. Badania geologiczne nadto potwierdzają, jaknajmocniej hipotezę wciśnięcia się wód morskich w tamtejsze wybrzeża tak, że wyspy w okolicy Zary mogły tylko przez zapadnięcie się grot podobnych, do Adelsberskiej powstać. Szczeliny i lejcowate czeluście zajęte wody, wierzchołki wyżyn pozostały wyspami. A tak gdy wschodnie wybrzeże morza Adryatyckiego traci coraz bardziej na gruncie, zachodnie jego kosztem wzrasta. Rawenna, Adria, Akwileja żywym są tego dowodem. Lecz nie same tylko podmywanie brzegów wschodnich przez morze jest przyczyną coraz większego występowania włoskich (zachodnich) na jaw. Są tego jeszcze inne przyczyny. Rzeka Pad (Po) niosąc ciągle namuł, osadza go w morzu u wybrzeży. Wenecya stoi na takim namule, pod którym margiel się znajduje. Donatti przypuszcza jednak, że miasto to od pierwszych dni swojego istnienia do dziś dnia obniżyło swój poziom na dwa metry. Wiadomo, że Cuvier już utrzymywał, iż Pad płynąc wyżej ponad poziomem, na którym Ferrara stoi, spadając do morza musi z konieczności miliony stóp sześciennych łądu z sobą zabiierać; że więc do ustępowania morza od włoskich brzegów znakomicie musi się przyczyniać. A choć późniejszych badań wyniki nie potwierdzają Cuviera poglądów w tym względzie, gdyż podług nowszych poszukiwań wiadomo, że Pad jakkolwiek w odległej starożytności, rzeczywiście był krótszym, t. j., że ujście jego o wiele głębiej w łąd dzisiejszy posuniętem było; to jednak o wysokości łożyska jego, o jakiej Cuvier powiada, mowy być nie może; z tém wszystkiém jednak przeciwnicy Cuviera do jednakich z nim przy-

chodzą wniosków, a mianowicie, że rzeka ta jednym z energiczniejszych czynników, jest usuwających morze Adryatyckie od brzegów włoskich. Pad był istotnie w zamierzczłój przeszłości o wiele krótszym niż obecnie, są ślady, że morze było tam, gdzie dziś Medyolan stoi.

Tak więc z wszystkiego wynika, że morze Adryatyckie ustępując od zachodnich wybrzeży, podwyższa przeciwległe, słowem, że powoli zmienia swe łożysko.

Tu prelegent tłumaczy, dlaczego nad zjawiskiem tém tak gruntownie się zastanawia; oto dlatego, że Góra Zamkowa we Lwowie ma także skład wapienny, a w niej są odciski muszli i ostryg, czyli mówiąc dokładniej, jeżeli zastosujemy poczynione gdzieindziej spostrzeżenia do naszego kraju, niemniej ciekawymi będą rezultaty, że w miejscach tych, gdzie dziś polski kraj się rozciąga, było morze, a Góra Zamkowa jest właśnie dowodem, który konkluzją tę popiera.

To ciągłe wznoszenie się wybrzeży przy ujściu Padu wspomaganém jest jeszcze przez osadzanie się w mule rozmaitych wodorostów, jak niemniej zwierzęcych ustrojów właściwych morzu. One to bowiem powszechnie w skład wapiennych pokładów wchodzi, a często same wyłącznie je stanowią. Na dowód tego prelegat okazuje dwa odłamy wapienia: jeden *hipurytowy* (od zwierzęcia zwanego hipurem), który głównie znajduje się w okazach Dalmacyi i Krainy i drugi *numulitowy* ze skamieniałościami numulitów i dodaje, iż słusznie Burmeister powiedział, że wszystkie góry wapienne, które dziś istnieją, były niegdyś przez zwierzęta spożyte, strawione i napowrót oddane.

Z Tryestu wypłynąwszy, zaraz na wstępie podróży doznali nasi uczeni niepowodzeń. Silny wiatr południowo-zachodni dąć począł z taką gwałtownością, iż zaledwie siłą pary podołać mu mogły okręta. To też przepłynąwszy koło wysepki Melady zmuszeni byli nasi podróżnicy zarzucić kotwicę u portu Skodarskiego. Tam długo się nie zatrzymywali. Ponieważ więcéj jak na pięć dni węgla z sobą wziąć nie można było, w taki więc tylko zapas zaopatrzywszy się, ruszyły oba okręty dalej, z tą nieprzyjemną perspektywą, że jeżeli dłużéj pogoda taka potrwa, będą zniewoleni prędcéj czy późniéj żagle rozwinąć i poddać się konieczności zależenia od wiatru. Tak więc płynęli w kierunku Meseeny. Cieśnina Meseńska znana jest dobrze z mytologii. Tu były ustawione owe straszne potwory starożytnych: Scylla i Charybda, znane z Odysei. One pochłaniać miały wodę a z nią i okręta. Myt ten rzeczywiście ma ugruntowaną podstawę. W cieśninie téj spotykają się z nadzwyczajną siłą dwie z przeciwnych stron biegnące fale, tworząc straszny wir morski. Okręt chcący uniknąć go, wpada z przeciwległéj strony na skałę a ztąd przysłowie „kto chce Scyllę ominąć, ten się spotka z Charybdą.“

Przemysł jednak człowieka, jego rozum i inteligencya ułatwiają i ubezpieczają mu podróż po morzu, umiejętne zaś korzystanie z sił przyrody wspomagają słabe jego siły. Wiele, bardzo wiele jednak upłynąć musiało czasu, zanim człowiek doszedł do tych sposobów ułatwiających

mu podróżowanie morskie, jakich dziś używa. Ani Grekom, ani Rzymianom nie były znane narzędzia, któremi żegluga morska dziś się posługuje. Kompas, najdawniejszy jest z narzędzi żeglarskich, a jednak dopiero w Europie od XII stulecia jest znany, choć w Chinach zkąd go Marco-Polo sprowadził do Europy, prawdopodobnie na wiele lat przedtem był w użyciu. Marco-Polo Wenecyanin był jak wiadomo wice-królem jednej z większych prowincji w Chinach w XII w.; może być więc, iż rzeczzone narzędzie mógł sprowadzić do Europy.

Znaną jest wszystkim właściwość igły magnesowej wskazywania zawsze północnego kierunku; ztąd domyślić się nie trudno, jak wielką ona stanowić może pomoc dla żeglugi w czasie burz i t. p., jak wielką wskazówkę, gdzie uniknąć raf podwodnych, mielizn, wirów i w ogóle w oryentowaniu się na pełnym morzu. Drugim narzędziem bardzo potrzebnym w podróży jest *log* do mierzenia prędkości biegu statku. Jestto bardzo prosty przyrząd, a jednak odkrytym został dopiero w pierwotnej swój formie, wszedł w użycie w XIII wieku. Składa się on z deseczki trójkątnej, która rzucona w morze, stanąć w niemu pionowo i odwinąć sznurek obwinięty na około śruby, umocowanej na okręcie, za pomocą którego połączoną jest z rzeczoną śrubą. Im prędzej posuwa się statek, tem więcej odwinie się sznurka, który podzielony na węzły, daje miarę szybkości, z jaką okręt przebiega. Zegarek w jednym ręku a log w drugim, zupełnie dokładną dać mogą miarę prędkości posuwania się statku, co też w podróży po kilkakroć na godzinę się odbywa. Za pomocą chronometru wreszcie, który w starożytności również nie był znanym, oryentuje się żeglarz pod względem szerokości geograficznej. W przeszłym stuleciu sławny Newton podał genialną myśl oryentowania się względnie do położenia słońca za pomocą sekstanta ($\frac{1}{6}$ część koła). Linia prosta poprowadzona w myśli od słońca do tego punktu na płaszczyźnie poziomej morza, na którym znajduje się obserwujący, utworzy kąt, którego miara dokładne da wyobrażenie, pod którym znajdujemy się stopniem, t. j. w jakim oddaleniu od równika. Sposób ten nader prosty, a jednak aż Newtona było doskonałości, naszym zdaniem jest metoda porozumiewania się okrętów zdala na morzu. Otóż 18 tylko pojedynczych chorągwi w tym celu się używa. Za pomocą tych 18 znaków, 80 tysięcy wyrazów można ułożyć. Kongres międzynarodowy w ostatnich czasach sposób ten przyjął, a wszystkie rządy u siebie w krajach go zastosowały. Znaki te z bardzo wielkiej widziane odległości za pomocą lunet, prawdziwemu, rzecz można są dobrodziejstwem. Iléżto przez nie całych osad okrętowych rocznie się uratuje? W portach nad brzegami i na okrętach osobnej do korespondencji téj używają postugi, jej zadaniem jest śledzić, czy zdala nie daje kto znaków niebezpieczeństwa i natychmiast na nie odpowiadać, nadto każdy majtek znać musi ciekawy ten międzynarodowy język.

Prelegent o wielu innych jeszcze ułatwieniach sztucznych w żegludze opowiada, a między innemi mówi o sposobach kierowania okrętem, korzystania z wiatru i t. p.; my dla obszerności tego przedmiotu musimy odmówić sobie przyjemności dłużej zastanawiać się nad nim, a przejdziemy do środka naturalnego, którym się żegluga wspomaga.

Środkiem tym, który sama przyroda w ręce człowieka oddała, aby mu ułatwić opanowanie jęj, jest przyływ i odpływ morza. Żaden środek własnego przemysłu człowieka równać się [nie może doniosłością dla żeglugi tęg naturalnej siły. Przyływ i odpływ morza ułatwia okrętom stojącym w przystani odbicie od brzegów a niejednokrotnie jest jego koniecznym warunkiem, mianowicie tam, gdzie woda zbyt jest płytką, by unieść na sobie okręt.

Ciekawe to zjawisko, które dawniej rozmaicie tłumaczono, jest skutkiem siły przyciągania (siły atrakcyjnej) przez księżyc wywieranej na masę wodną ziemi, jako na ciało słabszego skupienia od samej miazgi ziemi. Z tego to powodu największy przyływ morza zauważano podczas pełni księżyca i nowiu, tudzież podczas porównania dnia z nocą, gdy księżyc najbliżej jest naszej planety to jest w marcu i wrześniu. Wówczas siła atrakcyjna księżyca wprost działa na wody a spotęgowana jest jeszcze przez słońce. Jednocześnie, gdy na jednej półkuli woda przyciągana przez księżyc, wznosi się, na przeciwległej również ma miejsce przyływ morza, choć nieco słabszy, a przyływ ten u naszych antypodów jest właśnie wywołany brakiem atrakcji księżyca na tamte okolice. Ziemna miazga przyciągnięta przez księżyc w kierunku północnym, bo i ona choć słabiej jest przyciąganą, odepchnięta jest od masy wód swych na półkuli południowej a ztąd i tam przyływ morza musi mieć miejsce. Przyływ i odpływ, a raczej jego powód, sprawdzano jak najdokładniej na jeziorze Micygan. W morzach Adryatyckim i Śródziemnym, jako przedstawiających małą bardzo powierzchnię dla siły działającej na ich wody, jest też bardzo nieznaczny; wynosi on bowiem w przecięciu 2 stopy podniesienia się poziomu wody, gdy już w Gibraltarskiej cieśninie dochodzi do 10 metrów a w oceanie Atlantyckim 20 metrów, Spokojnym 5—6 metrów. Czas między pokazaniem się księżyca i przyływem morza w języku żeglarskim nazywa się czasem portu, czyli niebezpiecznym dla rozpoczęcia żeglugi, więc wypłynięcia z portu.

Z przyływu i odpływu morza wybornie umieją korzystać Francuzi pod względem gospodarstwa rybnego i wodnych ustrojów. Między wieloma odnoszonymi przez rozumny ten naród korzyściami jest sztuczna hodowla ostryg.

Zwierzęta te trzymają się tam w kadziach, które wysoko nad brzegi morza się wznoszą. Podczas przyływu, woda napętnia te kadzie, przynosząc z sobą zarodki rozmaitych ustrojów za pożywieńie dla ostryg służących. Podczas odpływu czyszczą się kadzie z namułu, w którymby mogły ostrygi wymrzeć, lubią bowiem wodę czystą ze żwirem na dnie i muszlami, a w wodzie rozmnażającym się robactwem

żywi się ostrygą, coraz bardziej tyjąc, przez co na wyborny dla smakoszków wyrabia się przysmaczek.

Ostrygi są mieszkańcami morza Adryatyckiego, są jego właściwością, a dodawszy do tego zwyczajną *gąbkę*, *korala czerwonego* i *raka norweskiego*, które to twory tylko w Adryatyku i morzu Śródziemnym żyją, będziemy mieć wyobrażenie o wyjątkowych skarbach zwierzęcego świata, w jakie morza obfitują. Gąbka i koral czerwony znajdują się tylko w pewnych stałych miejscach morza; szczególnie ten ostatni małą wybrał sobie przestrzeń do pobytu; znajduje się bowiem tylko na wybrzeżu wschodnim, skalistym. Gdzie skał niema, niema i koralu. Prelegent na okazach tłumaczy budowę zwierzęcia, jego rozwój i połów, jak również dzieje gąbki; malowniczą tę część wykładu profesora Syrskiego musimy również opuścić dla małych ram niniejszego sprawozdania. Musimy jednak choć słów kilka dla raka norweskiego poświęcić, z powodu wielkiego światła, jakie na kształtowanie się mórz rzuca.

Rak ten znajduje się w jednym tylko miejscu morza Adryatyckiego, mianowicie na południe od Fiume w zatoce Quarnero a jest on bezwątpienia świadkiem epoki lodowej, to jest owych czasów w dziejach planety naszej, gdy cała dzisiejsza Europa, tak jak dziś część Grenlandyi i Norwegii pokryta była lodowcami. Wówczas większa część naszego kontynentu była jednym zmarzniętym morzem, które po usunięciu się zostawiło nam na pamiąkę jezoro Como i inne. W tych warunkach rak norweskimi, dzisiejszy mieszkawiec fiordów norweskich, mógł żyć w Adryatyku. Z podniesieniem się temperatury wyginał, lecz został we wspomnianej zatoce, bo tam wiecznie bijące źródła podmorskie bardzo zimne egzystują, które żyć mu w tamtejszych warunkach pozwalają.

Ale jeszcze jedna ciekawa strona morza Adryatyckiego.

Badając to morze w rozmaitych miejscowościach, do szczególnych przychodzimy wyników. Tam gdzie brzegi wysokie i strome, mianowicie od wschodniej strony morza, tam głębokość wody nieraz 1000 metrów wynosi; tam gdzie płaskie, zamulone warstwą mułu na kilkadziesiąt stóp grubą, jak np. między Tryestem i Wenecją, a więc z zachodniej strony, też głębokość nie sięga wyżej jak 30 metrów. Już około Zary jest morze głębokie na 100 metrów i tak stopniowo coraz niżej na południe głębie są większe, i jak wspomnieliśmy, na samym południu dochodzą tysiąca i więcej. Przy cieśninie Otranto (szerokiej na 65 metrów) zamykającej Adryatyk, i w niej samej, głębie nie przewyższają 200 metrów. Niechaj więc wody opadną w jakikolwiek sposób, tylko na 200 m., a Adryatyk stanie się jeziorem, drugim morzem Martwym. Że to możebne, nie można wątpić. Już dziś morze Adryatyckie zawiera w sobie 30% więcej soli, aniżeli Śródziemne, a w Śródziemnym jest ję więcej niż w Atlantyku. A tak pomimo, iż rzeka Pad (Po) dostarczałaby wody przyszłemu jezioru, to ostatnie jednak zmniejszałoby się ciągle w skutek parowania wód swoich, tak jak obecnie się zmniejsza, choć jest w połączeniu z morzami świata. Wszak morze Martwe, do

którego także wpada wielka rzeka Jordan, w skutek parowania zmniejsza się, choć leży dziś niżej poziomu morza przeszło na 400 metrów. Sól zawarta w wodzie morza Adryatyckiego osiadłaby wówczas i skryształizowała się na dnie, i Dalmatyńcy mieliby kiedyś swoją Bochnię i Wieliczkę. Wszak te ostatnie nieinaczej powstały.

Dawszy pokrótce obraz budowy geologicznej ładu, mieszkańców morza i właściwości tego ostatniego, przystępuje dr. Syński do opisu mieszkańców ładu, przed oczami podróżników się przesuującego, których prelegent, bądźto w czasie téj podróży, bądź kiedyindziej starał się poznać. Najprzód więc przystępuje do opisu Włochów i Dalmatyńców, ich charakter uważając za wprost sobie przeciwny. Przedewszystkiem, powiada, nie można brać wszystkich, którzy miano Włochów noszą, za jednolity naród, ze wspólnemi dla jego członków cechami charakteru i usposobienia. Długo trwający podział polityczny włoskiego półwyspu musiał wyrobić w tym narodzie kilka typów, które prawie zupełnie różnią się od siebie, stanowiąc odrębne niejako w tym względzie całości.

Wenecyanin jest lekki i wesoły; szczerym i otwartym nazwać można jego charakter w porównaniu z charakterem jego spółrodaków, choć wiele mu brakuje do szczerości słowiańskich ludów. Kobięty weneckie są brudne, choć ładne. Lombarczyk przeciwnie spokojny, mało-mówny, pracowity i poważny. Neapolitańczycy, zdemoralizowani i zepsuci do najwyższego stopnia, nie lubią pracy i żadnego uczciwego zajęcia. Kłamstwo u nich posunięte do najwyższej rafinerji i bezczelności, a nieznośne *far niente* najulubieńszém ich zajęciem; żyzna gleba im na to pozwala. *Camorra* (stowarzyszenie złodziejskie) zdemoralizowało zupełnie Neapolitańczyków; najwyuzdańszych swych członków miało ono z Neapolu. Były czasy że w mieście tém było 50,000 lazzaronów, a rząd dawniejszy wszelkimi sposoby wspierał ich, chcąc mieć ich za sobą. Policja złożoną była z kamorzystów, nie dziw więc, że naród pomimo nawet chęci zepsuł się i zdemoralizował, *camorra* bowiem dla uczciwego człowieka była postrachem. A choć rząd dzisiejszy zniósł bezecne to stowarzyszenie, i zakazując zebrania lazzaronom, uczynił wiele dla podniesienia ich z moralnego upadku, to jednak głęboko zakorzenione złe skłonności, dziś jeszcze tłem są tego narodu. Rzymianie odznaczają się niechlujstwem, a brudny Tyber rozciągający na okół zgniłe opary i zarazki wszelkich chorób, najoczywistszym jest tego dowodem; gdyby dbali więcej o porządek, nie zaniedbaliby oczyścić swój rzeki. Naokół Rzymu zasy piaszczyste nie przemawiają również o zaniłowaniu obecnych jego mieszkańców do gospodarności, pracy i skrzętności, są świadectwem ich apatyi. Namiętności właściwe ludom południowym, popychają nieraz Rzymian do skrytobójstwa i innych niecznych zbrodni. Tak więc rzec można, Lombardia jedna ratuje honor włoskiego narodu.

Tam skrzętność i gospodarność jest wybitną cechą mieszkańców. Prześliczne równiny przerzniete mnóstwem kanałów, dostarczają trzech zbiorów w jednym roku. Na polach obsianych zbożem, tu i owdzie wznoszą się drzewa morwowe, a wiuna latorośl po pniach ich się wspi-

na. Dobrobyt mieszkańców wszędzie widoczny, bo opieka wielkich nad małuczkimi, życie patryarchalne i serdeczne, stosunki właściciela wielkich włości z cząstkowym swym dzierżawcą, na rozszerzanie się tego dobrobytu pozwala.

Tam ziemia rozdzielona na mnóstwo małych części, nie dlatego, aby każda z tych części osobnego miała właściciela, lecz aby osobnego miała opiekuna, osobnego gospodarza i dozorcę. Tam zrozumiano doniosłość podziału pracy. Wielcy właściciele wydzierżawiają częściowo swe dobra a widząc w dobrobycie swych dzierżawców, swą własną za-
możność, nie szczędzą im ani pomocy ani rady. Wzorem dla gospo-
dyń, powinny być kobiety lombardzkie. Zajmują się one z całym za-
pałem, sprawami domowemi, oddają się namiętnie hodowli jedwabni-
ków i sprawom familijnego życia. Moda, ten zbytkowny grymas dzi-
siejszej cywilizacyi, tak często przyczyniający się do ruiny majątkowej
wielu rodzin w Europie, jej dziwaczne nieraz wymagania, których sta-
ranne przestrzeganie częstokroć staje się namiętnością kobiet cywi-
lizowanych krajów, tam ze wstrętem jest przyjmowaną, a nawet rze-
czywiście zupełnie nie znaną. Lombardzkich kobiet strój tak biędnych
jak bogatych, celuje skromnością formy, czystością i rzec można pro-
stotą; w umyśle kobiet lombardzkich nigdy nie powstała pusta myśl stro-
jenia się lub pretensyi, a odwieczny welon, którym głowę obwijają, jest
charakterystyczną cechą ich skromnej odzieży. W takim też stroju
nie obawiają się zacie Lombardki wyjść do gospodarstwa, zajrzeć do staj-
ni, obory a nawet chłewu, gdzie rzeczywiście piękną swą rasę trzody
wychowują.

Co do umysłowego stanu tych ludów, które dzisiejszy naród włoski składają, to niezdolne są do dłuższego myślenia, do rozwagi i zasta-
nawiania się; lecz są bardzo pojętni, odznaczają się pamięcią. W dzie-
łach przebijają się na każdym kroku romantyczość i poezya, nawet
w naukowych publikacjach; lecz pisma ich często z powodu tego roz-
miłowania poezyi, która na zwięzłe i treściwe przedstawianie przedmio-
tu nie pozwala, są ckiwe, rozwałkowane tak, iż nie przedstawiają przy-
jemności w czytaniu.

Z Lombardezykami można porównać poniekąd Dalmatyńców. Na-
ród to uczciwy, uprzejmy, uczynny a co nadewszystko członkowie jego
odznaczają się patriotyzmem. Ich nagie góry, wystawione na wpływ
słońca, nie mogą im wprawdzie dać wiele, lecz kozy i owce dostarczają
im podostatkiem zdrowego pokarmu. To też cechą Dalmatyńca jest
siła i męztwo, a razem łagodność. Liczne stada owiec i kóz, zmusza-
ją naród do pasterstwa. Na jednego mieszkańca tych okolic wypada
dwie owce. Lecz o ile naród wewnątrz kraju jest szlachetny, o tyle nad-
brzeżni mieszkańcy odznaczają się cechami charakteru, podobnego do
charakteru Włochów. Zdemoralizowali ich Włosi, w ciągłych handlo-
wych z nimi pozostając stosunkach.

Sycylia słynie z żyzności gleby, lecz nie jest już dziś tém, czém
była w starożytności: nie jest już *spichlerzem Włoch*; przeciwnie, jej

samój nieraz zabraknie zboża, pomimo cudownego klimatu i wyborniej gleby. Gleba się nie zmienia, i klimat ten sam istnieje co dawniej, a jednak nędza tam wielka. Tam rosną przepyszne pinie-sosny, z naszym piem wysokim, który u góry tylko koroną z zieleni jest przystrojony, jakby palma jaka, a wydają one szyszki z wielkiem pełnym ziarnem, które jest jadalne, jak jadalnym jest kolczasty owoc kaktusu. Palmy daktylowe, winna latorośl i trzcina cukrowa, dopełniają obrazu obfitości gleby w Sycylii. Nadto jako właściwość téj wyspy, wspomnieć wypada o owocach pewnego krzaku, którego prelegent nie nazwał, które podobne są do poziomek, choć w smaku nie są tak delikatne. Wspomnijmy wreszcie bogate pokłady siarki, soli i prześliczny bursztyn czerwony (kapuśniak), i osądźmy ażali kraj ten, pod względem bogactwa nie jest najpierwszym? Zkądże nędza, zkąd bięda, zkąd brak zboża? Owóz mieszkańcy są w godnym politowania zaniedbaniu, którego przyczyną były nieczne rządy wspierające *camorrhę*. I tycho rządów ostatniemu przedstawicielowi, dzisiejszój cywilizacyi przodownicy, pruscy junkrowie, ofiarowali szablę honorową na znak swego uznania i hołdu. bijąc hołd zasadzie, która zgubiła Sycylią, a którą w pokorze ducha, i za swoją przyjęli dewizę!...

Powszechnie utrzymują, że Włosi to naród litościwy i dobroczynny, dlatego że zakłady ich dobroczynne sześć milionów ludzi żywią. Lecz zapominają, że cyfra to ogromna sześciu milionów, na 26 wszystkich mieszkańców, to żywe świadectwo demoralizacyi, litościwego tego narodu. Smutny bowiem zaiste stan tego narodu, gdzie pięciu produkcyjnych jego członków, jednego żywić musi pasożyta.

Zwracając się na zachód od Sycylii, szanowny profesor poświęca kilka słów wyspie Santorin, która jakkolwiek nie leży w obrębie jego podróży, (należy do Cyklad), zasługuje jednak, aby się za nią obejrzyć. Wyspa ta jest wulkanicznego pochodzenia, stanowiąc szczątek dawnego wulkanu. Do 1866 r. wysepka ta mała nie zwracała na się uwagi; o jej początku, o powstaniu świat jakby zapomniał. Nagle zaczyna się na niéj trzęsienie ziemi, a we dwa lata potém (w 1868 r.) wyziewy siarki, dym, płomień a wreszcie buchająca lawa, nie tylko wystraszyła mieszkańców wyspy, lecz zwróciła uwagę na tę wyspę wykształconych ludzi całego świata. Wybuch ustał, lawa zastygła, i nad powierzchnię wód morskich wyłoniła się wyspa, dziś pięćdziesiąt wsi na swym grzbiecie licząca. Fakt ten ważnym jest sam przez się, a dla preleganta tém ważniejszym, iż mu posłużył do odparcia zdania, jakoby wyspy wulkaniczne powstawały z podniesienia się kory ziemnej, gdy tymczasem powstają one w skutek przerwania się téj kory i wybuchu lawy na zewnątrz.

Z Sycylii okręty popłynęły na południowy zachód ku wysepce Stromboli, słynnej także wulkanem, a dającój sposobność dr. Syrskiemu zastanowić się nad teorią wulkanów w ogóle, a którą my dlatego, że jest nader zajmująca, a ująć ją krótko nie można, odkładamy do sprawozdania z następnego cyklu wykładów dr. Syrskiego; dziś tylko

nadmieniamy, iż prelegent w konkluzji téj teorii chce widzieć znowu potwierdzenie hipotezy, że Galicya była niegdyś łóżyiskiem morza.

Kiedy nareszcie podróźni nasi ruszyli w dalszą drogę, znow wiatr przeciwny przeszkadzał im się posuwać w zamierzonym kierunku i wreszcie rozdzielił Dunaj od Fryderyka. Fryderyk dawał za pomocą wyżej wspomnianych chorągwi znaki Dunajowi, chcąc uzyskać pozwolenie przybicia do brzegów Algeru; Dunaj zabronił, lecz gdy wreszcie sam tak się oddalił, iż Fryderyk stracił go zupełnie z oczu, wiatr przytém gwałtowny rzucał statkiem jak piłką i kołysał po wzburzonych falach morza, nie było innéj rady, jak ratując się od nieszczęścia, wbrew zakazowi Dunaja przybić do brzegów Algeru. Tak więc prelegent przypadkiem poznał północne kraje Afryki, gdzie w tym celu dłużéj się zatrzymał statek, na którego pokładzie płynął.

Prelegent studyjąc skład gór we Włoszech, w Sycylii i na południowych wybrzeżach Afryki, gdzie leżą Fez, Marokko, Alger, Tunis i Tripolis, przypuszcza, że Apeniny przedarte cieśniną Messeńską i góry Atlas, są jedném i tém samém pasmem gór i że całe wybrzeże Afryki, aż po Zeutę należało niegdyś do Europy, a mnożstwo faktów, które przytacza, przypuszczenie to czynią bardzo prawdopodobném.

Skalista wyspa Malta była w owym czasie środkiem lądu, na niéj znaleziono bowiem 3 gatunki przedpotopowego słońca, a jak wiadomo zwierzęta większe nigdy nie żyją na wyspach, jeżeli ich człowiek tam nie sprowadził. Nadto są ślady, że Atlantyk łączył się z morzem Śródziemném południową stroną dzisiejszych gór Atlasu, t. j., że dzisiejsza Sahara była niegdyś morzem. Świadczą o tém bagna słone (szoty), leżące na południe od Atlasu na 70 stóp niżej od poziomu morza. Było to zapewne wtedy, gdy środkowa Europa pokryta była lodowcami.

W piaskach Sahary sławny geolog angielski Lyell rozpoznał dno morskie, rozpoznał ten sam piasek, który spotykamy na wybrzeżu Adryatyckim. Tam są muszle morskie *Cardium edule*. Fakta więc rzeczywiście przemawiają za bytnością w Saharze morza. Co do obawy, aby przez zalanie części Sahary wodą, w Europie nie powróciła epoka lodowa, to ta jest dlatego mylną, iż Saharę nie całą lecz jéj część tylko zalać można. Sahara jest wyżyną wyniesioną mniej więcej 300 metrów nad poziom morza i tylko jedna jéj część północna leżąca w Algerze i Tunezji leży miejscami niżej poziomu morza.

Pan Rondaire zestawiając źródła historyczne wykazał, iż w tém miejscu było niegdyś jezioro, zwane Triton, połączone cieśniną z morzem Śródziemném. Dziś, gdy połączenie z morzem zamknęło się, jezioro wyschło pod piekąciami promieniami zwrotnikowego słońca i na jego miejscu pozostały błotniste i gliniaste niziny, w czasie upałów wyschnięte prawie zupełnie, pokryte iskrzącymi kryształami, tylko napełniające się w części wodą podczas deszczów. Te błotniste niziny nazywają

się szottami i kraina przez nie zajęta ciągnie się wzdłuż zatoki morza Śródziemnego Gabes przez 300 kil. na zachód. Szerokość tych szottów zmienia się od 1—40 kilometrów. Ta cała nizina z szottami ograniczona jest u północy pochyłością podnoszącą się ku pasmu gór Dżebel Aures, a u dołu bezgranicznemi zaspami ruchomego piasku, pustynią w pełném słowa tego znaczeniu. Otóż ta nizina szottów zbliża się bardzo do morza Śródziemnego, mianowicie zatoki Gabes. Tylko 18 kilometrów (2½ mile) rozdziela to morze od niej. Równina ta jednak tak jest ograniczoną, iż wylewu morza na większą przestrzeń niema się co obawiać; korzyści zaś jakieby świat osiągnął tak pod względem handlowym z Afryką środkową i wreszcie wpływ cywilizacji na plemiona tam zamieszkałe, byłyby ogromne.

Parowanie wody na powierzchni 600,000 hektarów sprowadziłoby bezwątpienia deszcze i cała okolica zamieniłaby się w oazę. Pan Rondaire przedstawił projekt rządowi francuzkiemu. Francya zawsze tak skora do popierania wielkich przedsięwzięć, wysłała w r. 1874 wyprawę do zbadania tego projektu. Wyprawa wróciła w 1875 r. postaraniem zniwelowaniu powierzchni szottów i wykazaniu, że ich powierzchnia leży 20—27 metrów niżej poziomu morza. Zachodnie i południowe brzegi nowego morza byłyby spadziste i dobre do przybijania statków: czekajmy tylko na urzeczywistnienie tego projektu.

Na tém zakończę sprawozdanie, które powtarzam jest tylko sprawozdaniem z wybitniejszych punktów tych ze wszech miar interesujących czterech wykładów prof. Syrskiego.

Lwów, d. 18 stycznia 1877 r.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Der Angebliche Untergang der Universitet Lemberg 1876.
(List otwarty dr. Ksawerego Liskego do prof. Suess w kwestyi mniemanego upadku Uniwersytetu lwowskiego).

W otwartym liście do członka rady państwa (Austryackiego) d-ra Edwarda Suess, prof. Uniwersytetu wiedeńskiego, p. t. Mniemany upadek Uniwersytetu we Lwowie, prof. tego Uniwersytetu, Dr. Liske występuje przeciw profesorowi Suess, jako drugiemu nowoczesnemu Kantonowi, który przy uchwalaniu budżetu w odpowiedniej komisji, 14 li-

stopada 1875 r., głosował za wypuszczeniem rubryki: Uniwersytet we Lwowie oraz sprowadził wypuszczenie rubryki Uniwersytet w Krakowie i tym sposobem powtarza w nowój formie klasyczne *ceterum censeo* (cytat Liskego); wprawdzie na razie bez skutku materialnego, ale jak słusznie pisze Liske: przez szerzenie obawy o byt doczesny paraliżuje swobodę i polot ducha. Zaczém nasz autor znów ilustruje swą opozycją cyceronowskim zwrotem do Katyliny *Quousque tandem...* i taką racyą swemu listowi daje (str. 4). Ponieważ zarzuty upadku były zwrócone przeciw Uniwersytetowi lwowskiemu z racyi jego rozwoju od r. 1871 4 lipca, t. j. od chwili wprowadzenia języka polskiego za wykładowy w téjże wszechnicy, autor postara się wykazać przez porównanie stanu Uniwersytetu przed tą datą i po niej, czy zarzut upadku jego po 1871 r. jest sprawiedliwym. Zaczyna od tego, że ten tylko naród ma prawo posiadać uniwersytet z rodzimym wykładowym językiem, który ma własną literaturę. Przypomina więc *alma mater* jagiellońską, wskazuje, że choć są w naszej literaturze pewne gałęzie nieuprawiane, ale to i w innych ma miejsce; że wiele dzieł polskich autorów pisanych jest w cudzoziemskim języku, a tych zwykle do polskiej literatury nie liczą. Przechodzi potem do dowodu historycznego a potem pedagogicznego w celu okazania, co znaczy język wykładowy rodzimy, a mówiąc o galicyjskich wszechnicach nie zapomniał Liske i o innój pokrewnój i to stanowi dowód historyczny. Po kilku ogólnikach o ważności zrozumiałego języka przy nauce, prof. Liske podaje cyfry:

W epoce od 1861—1875 r. procent przyrostu uczących się Polaków na wszystkich Uniwersytetach austriackich wynosi 107,24.

We Lwowie samym 1876 r., lubo nie wszyscy jeszcze zapisani, jest przeszło 960 studentów, a 1861 r. na wszystkich rakuskich wszechnicach było 940 z Galicyi (607 Polaków, 333 Rusinów).

W letniem półroczu 1870 r., na prawnym i filozoficznym wydziale było 643 studentów; w takiémże półroczu 1876 r. było 680 studentów czyli 750 zapisanych słuchaczy.

Przyznaje jednakże prof. Liske, że w zimie 1873—1874 r. liczba słuchaczy przeszła swój punkt kulminacyjny i odtąd spadła (str. 10). Z jednéj strony autor wyjaśnia ten ubytek powstaniem akademii technicznej, która miała wielu słuchaczy filozoficznego wydziału odciągnąć. Z drugiej, umniejszenie się cyfry tychże na tymże wydziale, tłumaczy tém, że filozoficzny wydział daje studentom tylko możność zarobkowania z czasem jako nauczyciel, a małe widoki otrzymania posady rządowej skłaniają do ucieczki na wydział prawny.

Fakt ostatni miał miejsce i w Warszawie, w pierwszych latach egzystencji Szkoły Głównej. Wszakże fakt ten we Lwowie tłumaczyłby mógł umniejszenie się liczby „filozofów,” ale nie studentów w ogóle *na obu* fakultetach, co właśnie ma miejsce. W obecném dopiero półroczu maleje wpis na filozoficzny wydział, zwiększa się na prawny, jak zapewnia p. Liske (str. 11).

Drugi dowód, że niema upadku we lwowskim Uniwersytecie, autor listu czerpie ze spisu prac profesorów, którzy bynajmniej nie zalegają pola, jak to pp. Suess i Dunreicher twierdzili o Galicyanach.

Spis ten (str. 17—34) świetnieby bronił toży dr. Liskego, gdyby do niego się nie wkrađy, że zbytniej gorliwości jego autora, pewne usterki, mogące być łatwo wyzyskane przez złośliwych przeciwników. Mianowicie, wykazawszy tym spisem działalność literacką profesorów lwowskiej wszechnicy, autor 1) zapomniał podać przeciwdowodu, to jest spisu prac dawniejszych niemieckich profesorów. Milczenie w tym punkcie listu prof. Liske jest niedobre, wygląda na piętę Achileasa. 2) Może niepotrzebnie w spisach prac wykładających dopiero od 1872 i 1876 prof. Węclewskiego, Radziszewskiego i innych oraz Ochorowicza podano spis ich dzieł z czasu, *zanim* zostali profesorem w Lwowie. Działalność ich *poza* lwowska co do miejsca i czasu, niewłaściwie została policzoną na karb samego Lwowa.

Jako odpowiedź na zarzut, że z powodu nędznych profesorów, wszechnica lwowska łatwo będzie doktoryzować, odpowiada dr. Liske najprzód, że cudzoziemcy nie doktoryzują się we Lwowie; powtóre, od czasu wprowadzenia nowych przepisów w tój mierze, czterech tylko doktoryzowało się miejscowych wychowaućów. Aczkolwiek rozprawy inauguracyjne nie są obowiązkowo drukowane, dotąd *cztery*, to jest tyle ile było doktorantów, znalazło nakładców (str. 36). Są to A. Skorskiego *Filozofia Jana Sniadeckiego*, Poznań 1873, B. Limanowskiego *Socylogia Augusta Comte'a*, Lwów 1875, A. Semkowicza *Krytyczny rozbiór X-tój księgi J. Długosza Historji polskiej*, Kraków 1874, A. Lewickiego *Mieszko II*, Kraków 1876 (dwie ostatnie w odbitkach z wydawnictw Akademii Um. w Krakowie), E. Bandrowski *Ueber Butyl und Amylguanamin* (w Wiadom. niemieckich Tow. Chem. w Berlinie 1876). Słusznie tóż autor listu wyliczył prace swych innych uczni (str. 23) prócz Semkowicza, mianowicie Prohaski cztery rozprawy, a piąta ujrzy w naszym piśmie światło, K. Górskiego, Stanisława Lukasa jedna, (druga nam przesłana), R. Maurera opracowanie roczników świętokrzyskich w III t. Monumentów Bielowskiego, i rozprawa w tece redakcyjnej Biblioteki, bardzo cenna z zakresu dyplomatyki; nareszcie M. Błażowskiego opracowanie roczników szląckich od tychże Monumentów: oto poczet prac, którym Uniwersytet lwowski może zaćmić w zakresie prac nad historją działalność naszej Szkoły Głównej.

Z kolei rzeczy dr. Liske wykazuje, że i zarzut jakoby kraj koronny nie potrzebował mieć dwu wszechnic, i że ich utrzymanie zbyt obciąża skarb ogólny monarchii, równie czczym jest jak poprzednie. Co do 1-go, w Niemczech przypada jeden uniwersytet na 2,000,000 ludności, w Galicyi 31 grudnia 1869 było 5,418,016, w 1874 zaś 5,827,798, tak że po 3 miliony wypada na uniwersytet. Zarzut to zresztą mało-ważny dodajmy, boć teraz założono w Czerniejowicach trzeci z woli rządu rakuskiego.

Co do 2-go to jest kosztów, dr. Liske cytuje, że preliminarz wydatku na pragski uniwersytet wynosi dwa razy tyle co anszlag na dwa galicyjskie; proponuje więc, że, jako pasierby, traktowane po macoszemu, zgodzą się Galicyanie na anszlag pragskiej wszechnicy, nie żądając podwyżki z żadnych względów.

Obok zaś tego żartobliwego odcięcia się, podaje autor (str. 38) z raportu lwowskiego namiestnictwa z 1863 r. wiadomość urzędową, że fundusz naukowy galicyjski powstał z majątków pojezuickich, z części popijarskich i z zapisu b. jezuitę O. Józefa Peterharder (10,000 złr.). Fundusz z pierwszego źródła wynosi 1,204,856 złr. 12½ kr. Cały zaś zasób pieniężny jest „czysto polski;” nie obciąża więc Austrii. Co do krakowskich funduszy naukowych, przypomina autor, że 1815 roku ceniono je bardzo lekko na 14,763,829 złr. nie licząc wartości budowli, gruntów i wątpliwych funduszy. Aczkolwiek rozbiór Księstwa Warszawskiego zmniejszył te fundusze, przecież stało się to bez prawnych podstaw i odjąwszy obecne wydatki skarbu od dawnych procentów, fundusz naukowy Krakowa stanowiących, naddatek ze strony skarbu ogólnego, okaże się „niewidoczny” (verschvindend str. 39).

Kończy autor rzecz swoją taką apostrofą: „Znieść wszechnicę, której trzy wydziały bez mała 1000 słuchaczy liczą, znieść wszechnicę, której nauczyciele, mimo wszelkich przeszkód sobie stawianych, zdołali na polu naukowym żywotną działalność rozwinąć i rozbudzić w swych uczniach zapał do umiejętnych badań, i znieść wszechnicę, która utrzymuje się po większej części z funduszy własnego kraju, zaiste byłoby to jedynym przykładem w dziejach publicznego wychowania. Podczas gdy inne kraje starają się swe wszechnice pielęgnować i rozwijać, miałyby Austria, z pewnością nie mająca ich zawiele, kusić się o zniszczenie jednej z garstki, którą posiada? I projekt po temu wychodzi z ust podpory jednego z największych uniwersytetów tejże Austrii? Uczony to chce przyczynić się do stłumienia jednego z ognisk naukowych swój monarchii? Człowiek, obowiązany krzewić wszelakie naukowe dążenia i wedle możności one popierać, miałby chcieć własnymi rękoma zdławić kiełkujący i zakwitający u nas ruch naukowy? To nie do wiary! Bierze pokusa zwątpić o obecnych uczonych.“

Zwrotem ostatnim swego listu Liske wzywa przeciw grożącemu niebezpieczeństwu opieki cesarza, którego dynastia obdarzyła Galicyą uniwersytetem we Lwowie, którego jeden z poprzedników dał temu uniwersytetowi swe imię, którego osobistość wdraża przekonanie, że jest ktoś w Austrii, dla kogo ludy téj monarchii żywią zaufanie, w kim widzą opiekuna i obrońcę.

d. 30 grudnia 1876 r.

Ernest Swieżawski.

Śpiewy historyczne, Juliana Ursyna Niemcewicza z ilustracyami według rysunków Juliana Kossaka i Henryka Pillatego i muzyką F. Lessla, Beydale, F. Kochanowskiej, K. Kurpińskiego, L. Potockiej, S. Parisa, Szymanowskiej, W. Rzewuskiego, F. Skibickiego, hr. Zamoyskiej, Deszczyńskiego, K. Narbutówniej, hr. Chodkiewiczowej, ks. Würtemburskiej. Petersburg i Moskwa. Nakładem Bolesława Maurycego Wolffa. 1876 r.
W wielkiej ósemce str. XV. 296 i nut str. 40.

Sześćdziesiąt lat okrążyło ubiega, kiedy J. U. Niemcewicz po raz pierwszy ogłosił swoje *Śpiewy historyczne* w Warszawie w 1816 roku. W końcu mamy podaną listę prenumeratorów, których liczba 450, na owe czasy znakomita, pokazuje jak popularnym był ich autor i jak cenił jego utwory.

Kilka wydań następnie sam Niemcewicz powtarzał, których nie będziemy tu wymieniać, jak i następnie ogłoszonych; znajdzie je łatwo czytelnik w *Bibliografii XIX stulecia* K. Estreichera. Zwracamy tylko uwagę na ostatnie z całym przepychem typograficznym ilustrowane wydanie, przez dobrze już zasłużonego księgarza i nakładcę B. M. Wolffa, w roku zeszłym ogłoszone w Petersburgu. Firma ta rok rocznie odznaczała się równie licznym jak doborowym wydawnictwem; dość tu przypomnieć tylko zbiór historyków polskich, w przekładzie polskim: *Skarbieżyk poezji polskiej*, *Podróże* tegoż Niemcewicza i mnóstwo innych dzieł wysokiej wartości. Od lat prawie trzynastu działalność jej ustała, aż obecnie świetnie odżyła tą publikacją *Śpiewów historycznych*.

Wydawca zmienił porządek pierwotny dzieła: gdy we wszystkich edycjach zachowywano go ściśle, że po każdym śpiewie, szły ryciny i nuty a zaraz tekst prozą historyczny; tu wydawca śpiewy podał razem z rysunkami, tekst oddzielił i połączył z sobą, a nuty w końcu pomieścił.

Zaprawdę, rzecz sama została nietkniętą, ale uważaliśmy układ pierwotny za stosowniejszy, gdy za pieśnią szło zaraz objaśnienie, które każdy musiał przeczytać przechodząc do następnego śpiewu historycznego.

Rozpoczyna to wspaniałe dzieło śliczna karta tytułowa, z postaciami królów polskich, których poczet zamyka książę Józef Poniatowski w ułańskim mundurze, w polskiej czapce z kitką, burką jak zwykle okryty, wsparty na szabli; dalej pieśń *Boga-Rodzico*, gockim odbita drukiem, jak w pierwotnym wydaniu; dalej śpiewy ilustrowane.

Część artystyczna uległa wielu odmianom; jeżeli pierwotna myśl w kilku zachowana, w innych widzimy już inne wybrane sceny: niektóre z nich bardzo szczęśliwie, w innych wolelibyśmy zachowane z pierwotnej edycji.

Do udatnych, nowych pomysłem i wykonaniem zaliczamy:

Kazimierza zwanego fałszywie Mnichem, nie pod sklepieniem kościelnym, ale wracającego z orszakiem zbrojnym na tron ojcowski: malownicze „Psie Pole“ pod Wrocławiem: Pobjowisko pod Płowcami, na którym ztamał potęgę krzyżacką po raz pierwszy Władysław Łokietek. Wjazd na dzielnym rumaku Jadwigi do Krakowa. Pyszny Zawisza Czarny, gdy pędzi na śmierć niezawodną. Klęska w lesie Bukowińskim naszego rycerstwa za Jana Olbrachta, Kazimierza Jagiellończyka, gdy po utracie konia, jeden z rycerzy rannych podaje mu swego wierzchowca; król Aleksander umierający, gdy mu Gliński wieść radosną przynosi o pogromie Tatarów. Książę Ostrogski wydatnicze lepiej, gdy w ucieczce z niewoli przed kościołem się modląc, uchodzi zajadłej pogoni; Stefan Batory w czasie boju; Ucieczka Henryka Walezego z Polski dzielnie oddana, gdy uchodzi z Polski nocną porą, jak równie scena na polach Cecorskich, gdzie zginął bohaterską śmiercią Żółkiewski; smutnie zadumany husarz zbrojny spoczywa, a przy nim stoi koń skrzydlaty, pyszny drzeworyt, gdy wedle słów śpiewu o Janie Karolu Chodkiewiczu:

„Przezeń Inflanty Polsce się wróciły,
On zgiął dumę Sudermana;
Przezeń Kircholmska, z nierównemi siły
Pamiętna w dziejach wygrana.
Tam, w wątlých łodziach ogień niosąc wzdęty,
Morskiej powierza się fali;
Pod Salą szwedzkie napada okręty:
Zwycięża, bierze i pali.“

Wjazd Maryi Ludwiki zamyka szereg udatnych drzeworytów.

Mniejbyśmy się może zgodzili, że zamiast jak w pierwotnym wydaniu Bolesław Śmiały przyrzeka powrócić berła wydarte księżętom, którzy go proszą o pomoc, tu widzimy wstrętą chwilę zabójstwa biskupa Stanisława. W bitwie pod Grünwaldem więcej przemawia dawny obraz, gdy krzyżacy składają chorągwie u nóg króla i wiozą zwłoki zabitego wielkiego mistrza, jak chwila przedstawiona, kiedy Jagiełło, obalonemu z konia krzyżakowi, który nań godził, drzewcem cios zadaje.

Jeżeli w nowym wydaniu wiele scen więcej artystycznie oddanych, o których powyżej wspominamy, nie możemy pominąć tych, których załujemy, że zachowane nie zostały w pierwotnym układzie jako wierniej i lepiej oddające myśl śpiewów historycznych. Do takich zaś należą: Wzięcie do niewoli arcyksięcia Maksymiliana po zwycięstwie pod Bieczyną. U Niemcewicza poddanie się jego więcej pokory pokazuje i zbliża się do prawdy dziejowej. Przeprosiny Zygmunta III przez Zebrzydowskiego więcej są malownicze w pierwotnej edycji, zarówno jak smutna chwila, gdy Jan Kazimierz składa koronę.

Laura Potocka w edycji 1816 r. przedstawiła w rzevnym obrazku niewiastę oplakującą w zamkowej rycerskiej komnacie śmierć Stefana Potockiego, przy blasku księżycy; w nowém wydaniu przedstawiono chwilę gdy niosą zwłoki młodego wojownika, lubo w strasznej klęsce nad „Żółtymi wodami“ nie było czasu oddać mu téj ostatniej przysługi, jak naoczni świadkowie opisują.

Dzielniej za to przedstawia się Stefan Czarniecki, gdy odnogę morską w Danii przepływa i gromi Szwedów.

Po wskazaniu ważniejszych różnic części artystycznej, nie możemy brać za stronę ujemną takich zmian, iż zamiast przedstawienia Kazimierza W. w Wiślicy przy nadaniu Statutów, widzimy tego króla przyjmującego skargi od chłopków, albo w miejsce spotkania króla Jana Sobieskiego pod Wiedniem z cesarzem niemieckim, mamy klęczących postów jego u nóg bohatera; w ogóle możemy przyznać, że wydawca świetnie wywiązał się ze swojego zadania, a gdziekolwiek znajdujemy mistrzowski ołówek Juliusza Kossaka, który tak góruje nad innymi; gdzie narodowe postacie i wspomnienia służą za osnowę, tam w każdym rysunku tryska życie i prawda historyczna. Piękne dzieło to, w tak pyszném wydaniu, ukazało się na półkach księgarzy naszych przed Bożém Narodzeniem i jest najwdzięczniejszym darem duchowym na *Gwiazdkę* nie tylko 1876 r. ale i lat dalszych, który przypominać wieczyście będzie dostojną postać J. U. Niemcewicza, który jak złote ogniwo wiązał sobą dwa stulecia bo XVIII i XIX wiek razem. W pierwszym dał nam najlepszą na owe czasy komedyą: *Powrót posła*, w drugim *Spiewy historyczne*. K. Wł. W.

Marcholt. Przedruk homograficzny z egzemplarza profesora J. Przyborowskiego, objaśnił dr. Zygmunt Celichowski. Poznań, nakładem biblioteki Kórnickiej, 1876. (Drukiem J. I. Krauszewskiego, dr. W. Łebiński w Poznaniu. W 16-ce str. 26 i 4 kart druku homograficznego).

Kiedy przed pół wiekiem z górą, miłośnictwo do zbierania starych dzieł i druków rozszerzyło się w całym kraju, ratując od zatory te drogie zabytki, zgromadzano i zdefektowane egzemplarze: z tych cenniejsze i do białych kruków bibliograficznych należące uzupełniano pracowicie *fac-similami*, przez biegłych kaligrafów wykonanemi. Jeden ze znanych wówczas bibliomanów Jan Chyliczkowski, miał zawsze pod ręką pisarza, który najdoskonalej umiał braki uzupełniać, dobierając zarówno farby, jak i papier odpowiednio przyrządzony. Tym sposobem rzadkość osobliwa *Figlików* Reja, którym kilka kart

brakowało i wiele utworów tego pisarza, jako też i inne książki i broszury nadszarpane, do udatnej całości doprowadzono.

Pokazały się też rzadkie dziełka w całości *fac-similowane*, starannie na kamieniu odbijane sposobem litograficznym. Do tego rodzaju prac należy: *Mysłstwo Ptasze*, Cygańskiego, drukowane pomiędzy rokiem 1580 a 1600, wydane przez Kazimierza Stronczyńskiego, które następnie drukiem ogłosił w krytycznej edycji zasłużony profesor Antoni Waga (Warszawa 1842 r.) dając wzór, jak tego rodzaju zabytki publikować należy.

Tytus hr. Działyński był pierwszym założycielem Biblioteki Kórnickiej. Zamiłowany hodownik koni, chlubiąc się słusznie jedną z najznakomitszych stajni nie tylko w Polsce, jak i doborową stadniną: po wyjściu Historii literatury F. Bentkowskiego, przechodzi na zapalonego bibliomana. Dzięki tak szlachetnej zmianie kierunku, przy zamożności rodzinnej, stwarza jedną z pierwszych bibliotek na całą Polskę.

Zgromadziwszy nietylko najrzadsze druki, w których szczęśliwym trafem zdobyć unikaty potrafił, zebrał oprócz tego i drogocenne dla dziejów i literatury ojczystej rękopisma. Urządziwszy tak bogaty księgozbiór, zabrał się do wydawnictwa najważniejszych pomników.

Od 1830 roku, Biblioteka Kórnicka wydała już swoim nakładem przeszło siedemdziesiąt tomów, licząc w to tłumaczenia starożytnych pisarzy greckich i łacińskich, oraz przekład utworu poety perskiego Sa'dego z Szyrazu: *Gulistan to jest Ogród różany* przez W. z Bibersteina Kazimirskiego i dwie znakomite publikacje: wydawnictwo dzieł matematycznych oraz *Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Faryżu*.

Do wydań z całym przepychem typograficznym ogłoszonych należą: *Liber geneleos illustris familiae Schidlovicie*. Paryż 1848 r. w kroju arkuszowym z 17 tablicami miedziorytów, w których mamy starożytne kostiumy polskie zachowane. Pierwotne egzemplarze illuminowane, wedle oryginalnego rękopismu już zostały wyczerpane, pozostały tylko nie malowane.

Liles ac res galtae inter Polonos ordinemque cruciferorum. (Poznań 1855—1856 w większej 4-ce, trzy tomy z miedziorytami).

Całość obejmuje tomy IV: ostatni zawierający w sobie proces z r. 1320 i zbiór dokumentów odnoszących się do sporu korony Polskiej z zakonem krzyżackim, przerwała śmierć wydawcy Tytusa Działyńskiego. Nowy zarząd księgozbioru kórnickiego zastał tylko kilka arkuszy tego tomu wydrukowanych, przygotowany zaś rękopism pod prasę zaginął. To przerwę spowodowało w wydawnictwie, która się przeciągnęła jeszcze przez sądowe opieczętowanie całej biblioteki w ciągu lat sześciu od 1863 do 1869 roku. Publikacja tego tomu uzupełniającego pomnik tak ważny już jest zapewnioną.

Źródlopisma do dziejów Unii Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego. (Poznań część III 1856, część II, 1861 z rycinami w wielkiej 4-ce).

Acta Tomiciana: tomów IX już wydanych; dziesiąty obejmujący rok 1528 jest pod prasą.

Annales Domus Orzelsciae. (Poznań 1854 w 4-ce z dwiema rycinami).

Statut Litewski. Zbiór praw Litewskich od r. 1389, tudzież rozprawy sejmowe o tychże prawach od 1544 do 1563 r. (Poznań, 1841 r. w 4-ce, str. 542 z XII miedziorytami).

Z dzieł mniejszych rozmiarów wyszły: Łukasza Górnickiego *Droga do zupełnej wolności*, do druku podana w Elblągu roku 1650, powtórne wydanie składa T. Działyński spółrodakom, wywiązując się z danego sobie polecenia przez kolegów sejmowych kółka polskiego. (Berlin 1852 r., w 8-ce str. 39).

Andrzeja Zbylitowskiego: *Żywot szlachcica we wsi*, przedruk wydania krakowskiego z r. 1597. (Poznań 1853 r. w 8-ce str. 25).

Annales Stanisłai Orzechowii Okszii. Secundum Codicem Gymn. R. Thorunensis, ed. T. comes Działyński, (Poznań 1854 r., w 8-ce str. 226).

Stanisława Orzechowskiego. *Policya Królestwa Polskiego.* (Poznań 1859 r., w 8-ce str. 106. Z ryciną popiersia Zygmunta Augusta).

Nie możemy przepomnieć wydawnictwa: *Collectanea vitam resque gestas Joannis Zamoyscii illustrantia.* (Poznań 1861 r., w 4-ce str. 306 z rycinami).

Jestto dzieło wykończone po śmierci Tytusa Działyńskiego, jednakże bez obszernego wstępu napisanego przez wydawcę. Nieznajomy, wzięwszy tę znakomitą pracę, z niemałą szkodą dla wydawnictwa, nie poczuł się dotąd do obowiązku zwrócenia nie swojej własności, o którą Zarząd Biblioteki Kórnickiej dopomina się bezskutecznie od lat piętnastu.

Wyliczyć nam teraz przychodzi przedruki homograficzne, jakie już wydane zostały: *Ustawy prawa polskiego najpotrzebniejsze, krótko z łacińskich wybrane, na polski język dla wszelkiego człowieka prostego, a prawo wiedzieć potrzebującego, przełożone. J. P. Roku pańskiego 1563* (str. 156 w 4-ce. Przedruk ten wykonany przez A. Pilińskiego, odbity tylko został w trzydziestu kilku egzemplarzach).

Słowniczek łacińsko-polski wyrazów prawa Magdeburckiego z wieku XV. (Poznań 1875, w 4-ce str. 16 i 6 kart faksymilów).

Ortyle Magdeburskie. Z kodeksu Kórnickiego objaśnił dr. Michał Bobrzyński. (Poznań 1876 r., w 4-ce str. 11 i 12 kart faksymilów).

Statut Wiślicki w polskim przekładzie r. 1460. Przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego wykonał A. Piliński. (Poznań 1876 r., w 8-ce).

Jana z Koszyczek. *Marcholt.*

Mikołaja Reja: *Apocalipsis 1565 r.*

Laurea sive arbor Tarnoviana 1644. Drzewo genealogiczne Tarnowskich z stariej ryciny: przedruk homograficzny A. Pilińskiego. w Paryżu 1872 r.

Przygotowany do druku: *Zabytek Heraldyczny*, przedruk drugiego rozdziału ze *Zwierzynca* Mikołaja Reja. Wspaniałe wydanie, zbogacone wielu rycinami i atlasem faksymilów. Wydawnictwo to rozpoczął Tytus hr. Działyński, przez śmierć jego wstrzymane, obecnie uzupełnione i ogłoszone zostanie. Zapowiedziano nadto przez Bibliotekę Kórnicką następne przedruki homograficzne w podobiznach A. Pilińskiego:

Z pergaminowego rękopismu puławskiego z lat 1449 i 1450 pisanego przez: Mikolaya Sulede a zawierającego: a) *Prawa Polskie* wykładane przez Mystrza y doktora Swanthoslawa Swoczyeshyna; b) *Prawa Xanschanth Mazoweskich*, przez Maczieya z Rozana.

Jana Tarnowskiego: *Consilium rationis bellicae 1558* (po polsku) z pergaminowego egzemplarza bibliotek księcia Władysława Czartoryskiego.

Oto jest poczet publikacji, które zawdzięczamy hojności właściciela biblioteki Kórnickiej. Rozpoczął je Tytus hr. Działyński, syn i następca dalej prowadzi, rozszerzając działalność swoją wydawnictwem jak już mówiliśmy dzieł matematycznych i *Pamiętnika nauk ścisłych w Paryżu*, którego już mamy VII tomów. (Tom VIII pod prasą).

Nakładem też I. hr. Działyńskiego wyszły w tłumaczeniu: Erasma Rykaczewskiego: *Mowy M. T. Cyserona*. (Paryż 1870—1871 w trzech tomach).

Listy M. T. Cyserona ksiąg ośmioro. (Poznań 1873 r.) dwa tomy.

Pisma krasomówcze i polityczne M. T. Cyserona. (Poznań 1873 r.).

Pisma filozoficzne M. T. Cyserona. (Poznań 1874 r.) część druga pod prasą.

Komedye Plauta w przekładzie dr. Jana Wolframa. (Poznań 1872 rok).

Tragiccy Greccy, tłumaczenie Zygmunta Węclewskiego. Tom I, *Tragedye Eschylosa*. (Poznań 1873 r.). Tom II, *Tragedye Sofoklesa*. (Poznań 1875 r.). Tom III, *Tragedye Eurypidesa* w trzech częściach, (pod prasą drukarską).

Bibliografia piśmiennictwa polskiego z działu matematyki, fizyki oraz ich zastosowań przez dr. Teofila Zebrawskiego członka Akademii krakowskiej. (Kraków 1873 r.).

Zamyka ten szereg publikacji zapowiedziane wydanie *Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolskiego*, który przygotował w rękopiśmie Ignacy Zakrzewski.

Wymienić nam tu należy imiona uczonych rodaków, których prace już w oddzielnych książkach, już w pomienionym pamiętniku Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, ogłoszone zostały: *Norzewski*

Roch, *G. H. Niewęglowski*, profesor analizy w szkole wyższej polskiej Montparnasse, egzaminator matematyki w liceum św. Ludwika w Paryżu, *W. Folkierski*, inżynier cywilny, b. uczeń szkoły politechnicznej w Karlsruhe, licencyat n. m. P. F. Sorbony profesor mechaniki w szkole wyższej przygotowawczej w Paryżu, stały sekretarz i wiceprezes Towarzystwa nauk ścisłych. *Adolf Sagajło*, profesor matematyki *Władysław Kluger*, *Feliks Kucharzewski*, inżynierowie dyplomowani przez szkołę dróg i mostów w Paryżu. Do tego poważnego grona należą: pp. *Władysław Trzaska*, *I. N. Franke*, *Wł. Gosiewski*, *Żmurko*, *Żaliński*, *Doliński*, *A. Martynowski*, *K. Brandt*, *W. Puchewicz*, *S. Baranowski*, *Cayley*, *K. Maszkowski*, *Ł. Wojciechowski*, *I. Rostański*, *S. Elżanowski*, *W. Zajączkowski*, *M. Girdwojń*, *K. Hertz*, *S. Dickstein*, *A. Sękowski*, *M. A. Baraniecki*, *B. Reichman*.

Wszystkie te prace z nauk ścisłych, pozostawałyby zaprawdę długo w rękopiśmie bez pożytku dla ogółu, gdyby nie hojna pomoc właściciela Biblioteki Kórnickiej.

Widzimy więc wszystkie kierunki jego wydawnictw: za życia Tytusa hr. Działyńskiego, ograniczały się wyłącznie na zabytkach mowy ojczystej, historii i literatury dawniej; teraz prace współczesnych, podjęte z prawdziwego zamiłowania przedmiotów, na które trudno a możeby i nigdy żaden się z księgarzy nie odważył, wzbogacają piśmiennictwo krajowe.

Oddając hołd należny zasłudze obywatelskiej hr. Działyńskich, teraz zwrócimy uwagę na publikacje homograficzne.

Niewątpliwą jest rzeczą, że przedruki homograficzne są wielce pożądane, bo ochronić mogą od zagłady najstarsze zabytki piśmiennictwa polskiego. Szczególnie unikatki zasługują na tak wierne odтворzenie: nie wszystkie jednak rzadkości mają do tego prawo; tak zamiast *Apocalipsis Reja*, wolelibyśmy cały *Zwierzyniec* tego pisarza jak i *Figliki*, które daleko wyższą wartość mają nad *Apocalipsis*: a koszt na ich wydawnictwo homograficzne, byłby niewątpliwie mniejszym. Jeżeli mowa o Reju, czyżby *Zwycerjadło*, to prawdziwe z jego pism arcydzieło, daleko więcej na przedruk tego rodzaju miało prawa. Jest to bowiem księga rzeczywiście odzwierciedlająca społeczeństwo z okresu Zygmunta I i ostatniego Jagiellończyka, wraz z potoczną tej epoki mową. Słusznie Hieronim Juszyński napisał w swoim *Dykcjonarzu poetów polskich*, że nie zna dzieła wyższej ceny dla starożytności krajowych, któreby wierniej życie domowe z XVI stulecia malowało. Życzenia nasze objawiając, wdzięczni jesteśmy i za to, na co hojny nakładłożono, dla takiej rzadkości bibliograficznej jak *Apocalipsis*, która się tylko w kilku egzemplarzach po znakomitych bibliotekach zachowała.

Zwracamy się teraz do *Marcholla*, którego wydaniem krytycznym i objaśnieniem zajął się znany już z prac wielu na polu dzie-

jów, literatury i bibliografii a czynny bibliotekarz kórnickich zbiorów dr. Zygmunt Celichowski. Właściwy tytuł ten zabytek nosi:

„*Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marcholtem grubym a sprosznym, a wszakże jako o nim powiadają bardzo wymownym, z figurami i z gadkami śmiesznymi.*“

Hieronim Wietor książkę drukując w r. 1521 przypisał pani Annie z Jarosławia kasztelance wojnickiej, spiskiej, oświęcimskiej, zatorskiej staroście. Ciekawym jest ten przypis: w nim objaśnia powody, dla których Marcholta jój ofiaruje.

Najprzód wyraża że przed laty przybył do Polski, „nie tak dla chciwości bogactw albo mienia, ale więcej dla czci, a sławy pospolitej tego sławnego Królestwa Polskiego. Dlatego myśląc a chcąc nie jaką wdzięczność a pożytek uczynić Polakom, myślałem mowę polską i księgi polskie moim nakładem wybijać, która rzecz, aczkolwiek wielką trudność w sobie miała a ukazywała, a wszakoż ja zjęt chciwością a swiebodnością ziemi tej polskiej znakomitej a wszech najobfitszej, tymem większą chciwość miał.“ Chęć tę w Wietorze obudzili i podtrzymywali dworzanie Anny z Jarosławia, żądaniem drukowania polskich książek, objawiając zarazem życzenia co do tego i samęj dostojnej pani. Prócz tego Wietor czuł się do wdzięczności: gdy bowiem jechał do Krakowa z przyborami typograficznymi, i w wielkiem błocie na drodze zagrzął, małżonek jój zatrzymał się i kazał dać ratunek w tej jego niedoli. Nie zapomniawszy tak dobroczynnej usługi, mówi z zapałem w swoim przypisaniu: „O panie łaskawy! O panie miłosierny a lutościwy, nie mam ci czém tej lutości odsłużyć, albo oddać, ale tym pismem a *wybijaniem* imię twoje, a twój nad ubogim cnotliwy uczynek, chcę na wieczność dać!“

Urywkowe tylko części z dwóch wydań *Marcholta* przechowały się jedynie: cały egzemplarz nie jest przez bibliografów znany i pytanie czy istnieje. Rozmowy te uważane są jako pierwsza książka, drukowana po polsku, lubo wiadomo, że druk polski daleko dawniej w dziełach łacińskich, przejawia się w nazwach miesięcy, lub całej pieśni Boga-Rodzica: (przy łacińskim zbiorze praw Jana Łaskiego 1506 roku).

Czy *Marcholt* jest pierwszą polską książką? to wątpliwości ulega: w notatach Joachima Lelewela znajduję uwagę, przy nazwisku *Jana Bahalarza z Koszyczek*, który rozmowy te tłumaczył z łacińskiego języka: „Jest starsza polska książka po polsku drukowana, *Arytmetyka* 1518 r. w Krakowie,“ ale jój opisu bibliograficznego i szczegółowego tytułu nie podaje.

Przedruk homograficzny przez p. Pilińskiego po mistrzowsku jest wykończony, jak wszystkie jego prace w tym kierunku, nacechowane sumienną troskliwością w odwzorowaniu pierwotnych wydań. Dla języka zabytek to cenny, dla dziejów sztuki drzeworytniczej krajowej nieobojętny, bo tu znajdujemy pierwsze usiłowania rylca polskiego.

Listy z Peruwii. Skreślił Władysław Kluger inżynier rządowy i prof. szkoły inżynierskiej w Limie. W Krakowie. Czcionkami drukarni „Czasu.” 1877 r. (Nakładem autora. w 12-ce str. 48).

Kiedy dotąd dostojne tylko jedno imię Domejki przyjaciela Mickiewicza, pozyskało chlubny rozgłos na dalekiej półkuli świata, nagle grono młodych rodaków, w Rzeczypospolitej Peruwiańskiej przeważnie oddaje usługi dla podniesienia jej rozwoju ekonomicznego.

Na czele stanął Ernest Malinowski znakomity inżynier, który pierwszy podał myśl połączenia żyznych dolin Amazonki z oceanem Spokojnym i tę myśl w wykonanie wprowadził.

„Bez przesady powiedzieć można (pisze p. Kluger), że jeżeli wielką polityczną i ekonomiczną była myśl zaludnienia dziewiczego stoku *Andów*, zaszczepienia cywilizacji, przemysłu i handlu wśród bogatych lasów, przerzniętych najwspanialszemi rzekami spławnemi, o jakich tylko marzyć można; to znowu wykonanie podobnego pomysłu, wymagało wiele odwagi, zmysłu, inicjatywy i znajomości sztuki inżynierskiej. Wnieść się z ciężkim pociągiem parowym na blisko 5,000 metrów ponad poziom morza, w stosunku tak małej odległości, która oddziela ocean Spokojny od szczytu *Andów*, przełamać naturalne przeszkody, napotykanne w konwulsyjnie utworzonych górach *Kordylierskich*; nie zważać na śnieg, pioruny i brak powietrza, który na tej wysokości zaczyna odmawiać przystępu wszelkiej istocie żyjącej: oto zadanie trudne i zuchwałe jak użyteczne i godne podziwu.“

W r. 1859 E. Malinowski przedstawił po raz pierwszy ówczesnemu prezydentowi Rzeczypospolitej potrzebę otwarcia przystępu do skarbow roślinnych i mineralnych, nagromadzonych we wnętrzu Peruwii, jako najpewniejszy sposób zabezpieczenia przyszłości tego kraju; ale rozruchy, wojny domowe i zajęcia polityczne stały ciągle na przeszkodzie do urzeczywistnienia tego planu; aż do roku 1869, w którym rząd pułkownika *Balta* zadekretował sumę 27 milionów *soles* (136 milionów franków) na zbudowanie tej kolei. W tydzień po podpisaniu dekretu rozpoczęto roboty.

Jest to bez wątpienia i bez porównania najwyższa kolej na świecie, bo wznosząca się począwszy od morza na wysokość równą szczytowi najwyższej góry europejskiej *Mont-Blanc*; wszystko to wśród przepaści, skał i przeszkód wszelkiego rodzaju, do zwalczania których potrzeba było przebić 35 tuneli, stanowiących 5 kilometrów długości i zbudować 20 mostów i wiaduktów.

Opisowi szczegółowemu tej kolei zbudowanej przez genialnego rodaka, poświęca p. Kluger cały list pierwszy, datowany z Lima 13 maja 1875 r. Obok Ernesta Malinowskiego znajdujemy imiona Polaków pracujących na pożytek w tej drugiej części Ameryki, którzy

znakomite zajmują już stanowiska: inżynier Edward Habich, twórca i dyrektor pierwszej w Południowej Ameryce szkoły inżynierów; Władysław Folkierski inżynier i dziekan wydziału nauk matematycznych, fizycznych i naturalnych w Uniwersytecie limańskim, któremu wydział ten zawdzięcza swe wskrzeszenie i przyszłość; inżynier Ksawery Wakulski, prof. jednego z najważniejszych przedmiotów; naturalista Konstanty Jelski znany ze swych odkryć w dziedzinie fauny peruwiańskiej; architekt Tadeusz Stryjeński, inżynier górniczy, Aleksander Babiński, autor najnowszej mapy Peruwii, zajmujący się projektem osuszenia słynnych na cały świat kopalni srebra w Cerro de Pasco; w ostatku prof. hydrauliki i inżynier rządowy w Limie Władysław Kluger Krakowianin, autor niniejszych *Listów z Peruwii*, obszernego dzieła p. n. *Wykład wytrzymałości materjałów i stałości budowli* (Paryż 1876 r., nakładem Jana hr. Działyńskiego) i drugiego wspólnie z p. Kucharzewskim opracowanego: *Wykład hydrauliki wraz z teorią machin wodnych* (Paryż 1873 r.). Wiele prac Wł. Klugera należących do zakresu nauk ścisłych znajdujemy w *Pamiętniku Nauk ścisłych*.

W rok blisko później, pisze list drugi pod d. 17 marca 1876 r. obszerniejszy, w którym składa sprawozdanie ze świeżych swoich podróży i poznamienie się z południową stroną Peruwii i Kordylierymi.

W sierpniu 1875 r. mianowano p. Klugera naczelnikiem wyprawy mającej zbadać pod względem topograficznym i hydraulicznym część Kordyliarów, zawartą mniej więcej między 17 i 19 stopniem szerokości geograficznej, a to w celu zaprowadzenia irygacji w żyznej a mało uprawionej dolinie Tacny, za pomocą wody z rzeki Maure sprowadzonej. Po przygotowaniach niezbędnych wyrusza, ażeby na pustych stepach, w pośród gór, trudów i niebezpieczeństw co chwila, spełnić swoje zadanie. Nasz inżynier stanął wreszcie w miejscowości rozległych łąk, stanowiące wyżyny Kordyliarskie, a leżące na wysokości 4,300 metrów ponad poziomem morza.

„Od tego dnia (pisze) zacząłem prowadzić życie czysto koczujące, pod namiotem albo przy ogniu, naprzemian w śniegu i w upale, czasem w pośród groźnych piorunów, a zawsze przy najokropniejszym wietrze. Z początku nie było obawy śniegu i deszczu, bo we wrześniu wiatr wieje od oceanu Spokojaego i wstrzymuje chmury nadciągające od Boliwii; tylko mieliśmy wiatr i mróz tak mocny, że z trudnością przychodziło ustawić namioty i utrzymać je w równowadze. Na obozowisko wybieramy naturalnie doliny jaknajwięcej górami zastonięte, ale niezawsze udaje się znaleźć miejsce sposobne; bo trzeba mieć w pobliżu wodę dla koni, jakie takie pastwisko, a przytém nie oddalać się od miejsca pomiarów. Obóz stanowią cztery namioty: jeden wielki dla mnie z łóżkiem polowym, ze stołem i kilkoma stołkami, drugi mniejszy z trzema łóżkami dla pomocników i dwa inne dla służby, ro-

botników i kucharza, bo *Arrierowie* sypiają osobno w domku na przędcie zbudowanym ze siodeł, pokładów i wojłoków, a pokrytych skórami byczemi, któremi się obwiązuje ładunek muła dla ochrony go od deszczu. Dobry namiot jest w tego rodzaju podróżach rzeczą nieocenioną, bo dobrze rozpięty i od dołu cokolwiek ziemią przysypany, nie przepuszcza deszczu ani wiatru, a jest tak lekki, że ich trzy na raz jeden muł unieść może. Kuchnię urządza się pod gołym niebem na rusztach położonych na kilku kamieniach; za materyał palny służy *Te-la* krzew żywiczny, kruchy, krępowaty, *Quennua*, małe drzewko palące się na polu z największą łatwością, a jeszcze więcej *Yereta*, rodzaj olbrzymiej narośli, wewnątrz suchej i łupkiej jak próchno a pokrytej ślizgim i równym kobiercem gwiazdek zielonych, przez które gdzieśniedzie wychodzą czyste jak łza krople żywicy.

„Obozy nasze wyglądają w nocy dość fantastycznie. Wyobraź sobie cztery białe namioty, ustawione na bokach czworoboku, którego środek płonący białym ogniem żywicy, rzuca jasne światło na płynący opodal strumień. Tu pasą się konie i wylegają się zmęczone muły, tam stos siodeł o meksykańskich szerokich strzemionach, lasy tyczek z chorągiewkami, trojnogi *Teodolików*, tam znowu piramidy skrzyń, beczek i worków ustawionych pod głównym namiotem dla ochrony od wiatru. Dodaj do tego 25 krzątających się ludzi, najdziwniej ubranych: jedni w opończach kolorowych, szalach z wełny *vigunii*, drudzy w indyjskich kubraczkach, grubych subiennych spodniach, rozciętych z tyłu poczawszy od kolana; trzeci w wатовanych sukniach europejskich z wełnianą czapką na głowie, zakrywającą całą część tylną głowy i uszy, w butach z sążnistymi ostrogami, brzęczącymi jak cały pułk huzarów, a będziesz miał wierny obraz naszego koczowiska. Cóż dopiero mówić o tej mieszaninie języków. *Arrierowie* po hiszpańsku, *Indyanie* robotnicy jedni językiem „*Aymara*” drudzy „*Quicha*” z sobą rozmawiają, nucąc od czasu do czasu swoje smętne piosenki indyjskie przy akompaniamencie fletu, zrobionego z kawałka trzciny. Ja z moimi pomocnikami, po hiszpańsku i po francuzku, a z inżynierem Niemcem po niemiecku szwargoczę; czasem zaś, gdy jestem w dobrym humorze, po prostu po polsku Krakowiaka zaśpiewam. Raz nawet szukając czegoś w moim tłumoczkuzku, znalazłem przeszłoroczny numer *Czasu* i byłem tak z tej niespodzianki uradowany, że na głos go przeczytałem razem z inseratami i nazwiskiem odpowiedniego wydawcy. Gdzieby się *Czas* kiedy spodziewał, że w wiecznych śniegach Kordyliarów, znajdzie tak gorliwego czytelnika!”

W równie malowniczym sposobie autor obszerny swój list kreśli. Dnia 20 września 1875 zatknął pierwszy palik projektowanej linii kanału; w listopadzie dotarł do brzegów rzeki *Maure* i tu musiał się wstrzymać bo burze były coraz częstsze ze śniegiem, gradem i piorunami, których blask wzrok ociemniał a huk ogłuszał. Codzień od godziny 10 rano do 1 z południa upał był nieznośny, około 3 zimny wiatr zawie-

wał; w namiocie nasz niestrudzony inżynier w wełnianej koszuli, przykryty pięcią kocami drżał jak w febrze, dopóki się kilkoma filiżankami herbaty nie rozgrzał.

Niwelacya wykończona wśród tak groźnej przyrody ukazała możność spełnienia powziętego zamiaru, którego celem była wyprawa p. Klugera. Dnia 2 stycznia 1876 r., wydostawszy się z gór na dolinę Molles, radośnie kłusował po piaszczystych błoniach wybrzeża i po czterech miesiącach życia na szczytach Andów, ujrzał znowu miasto Tacnę, ludzi i cywilizacyą.

Z niemałym zajęciem odczytujemy listy uczonego Krakowianina, cieszymy się, że z młodego pokolenia posiadamy tak dzielnych pracowników, lubo nie taimy i smutnej zadumy, że tyle zdolności, energii z poświęcenia nie idzie na pożytek rodzinnej ziemi. Nie ich to wina, że w tak odległej krainie szukają odpowiedniego pola dla swjej działalności. W przeszłym wieku, Kazimierz Pułaski walczy za niepodległość Ameryki i ginie bohaterską śmiercią pod Savannah; Kościuszko idąc w jego ślady, szczęśliwszy wraca do kraju i pod Zielęciami zwyciężkim wawrzynem zdobi czoło swoje; w naszym stuleciu piękny poczet młodych rodaków do téjże samej części świata, z wysoką nauką i wyższą wiedzą podążyli, ażeby ułatwić dobywanie bogactw przyrody, przyspieszając dobrobyt ekonomiczny, w zamian obecnego ubóstwa dla mieszkańców téj plennej ziemi, kryjącej nadto w łonie swoim nieprzebrane skarby, które przy ich pomocy w nie-dalekiej przyszłości, pozyskane zostaną.

R.

Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił Oskar Kolberg. W W. Ks. Poznańskim. Część druga. Kraków, 1876 r. (w 3-ce str. 386).

W zeszycie styczniowym zeszłego 1876 roku, złożyliśmy sprawozdanie, o pierwszej części tego szacownego dzieła, które objęło pięć powiatów W. Ks. Poznańskiego; tom wydany obecnie, obejmuje najprzód sześć powiatów tegoż Księstwa okolicy zachodniej, jak Międzychodzki, Międzyrzecki, Babimoscki, Bukowski, Kościański i Wschowski, a dalej z okolicy południowej równie Sześć powiatów: Krobski, Krotoszyński, Ostrzeszowski, Odolanowski, Pleszewski i Wrzesiński.

Przyjętym przez autora porządkiem, po opisie każdego powiatu szczegółowym; następuje obraz ludu, cechy jego fizyczne i moralne, mowa, żywność, mięszkania i budowle gospodarskie jak i sprzęty, zwyczaje, gry i obrzędy.

Obszerne przypisy w końcu tego tomu dodane, stanowią bogaty materiał dla każdego badacza ludu.

Na czele mamy kostiumy z powiatu Bukowskiego. Żałować przychodzi, że tak sumienną pracę, nie mogły jak dawniejsze serye przyozdobić, ubiory kolorowane wiejskiego ludu, dla etnografa bowiem barwa przebijająca w jakiej okolicy, należy do charakterystyki wydatnej. Kolory żywe jak czerwone, jasno niebieskie, lub zielone, jak białe znamionują lud wesolego usposobienia, gorętszej krwi, co to gotów wedle przysłowia: „*do wypitki i wybitki*.“ Barwy ciemne, znaczą na pierwszy rzut oka lud więcej powolny i ociężały, ztąd różnica wielka, jaką widzimy porównując Mazura, Kujawiaka, Krakowiaka i Sandomierzanina z Rusią całą.

Dla uzupełnienia tych mozolnych, a tak pożądaných i nauczających studyów ludowych, brakuje nam z Mazowsza *Kurpi*, z Podlasia *Rusi nad-Bużnej* i z okolic Hrubieszowa, *Rusi Czerwonéj*, oraz Górali Tatrzańskich *Podhalańów*, i *Huculów* z nad Czeremoszy i Prutu, których obraz poetyczny dał nam Korzeniowski we wzniosłym swoim dramacie: *Karpaccy Górale*. Ludwik Zeyszner ogłosił zbiór pieśni polskich Podhalań, ale jest sam tylko tekst słowa: brak najważniejszej części, bo nie masz melodyi góralskiej. Dla O. Kolberga nietknięte pod tym względem pole do nowych zdobyczy i z bogacenia tak cennych materiałów do etnografii słowiańskiej. Przedmiot to godny pracy i trudów znakomitego badacza. R.

Monsieur Thadée de Soplica ou le dernier procès en Lithuanie sui generis. Recit historique en douze chants par Adam Mickiewicz (1-re partie. Paryż, Plon 1876, in 12 str. 307, cena 3 fr.)

W październikowym zeszytce pisma Polybiblion 1876 r. bibliografią powszechną zajmującego się, a wychodzącego staraniem Towarzystwa w Paryżu, znaleźliśmy sprawozdanie z przekładu dzieła, którego tytuł spolszczony brzmi „*Pan Tadeusz Soplica* lub ostatni proces, sui generis, na Litwie, opowiadanie historyczne w 12 pieśniach przez Adama Mickiewicza.“ Ocena ta zdała nam się tak charakterystyczną, że jój dosłowny przekład załączamy. Oto jój słowa, skreślone przez Adolfa d'Avril.

„Ta publikacya jest przekładem, po części wierszem a po części prozą, najlepszego poematu Mickiewicza. Muszę przedewszystkiem oświadczyć, że przekład nie udał się. Mimo to o tyle jest użytecznym, że zwróci uwagę na dzieło znakomite (*éminente*), w którym poeta odmalował całe życie społeczne, polityczne, ekonomiczne dawnéj Polski.

Tam każdy urząd ulegał wyborowi i nawet wykonanie praw oraz wyroków, ku największemu zgorszeniu naszych bałwochwalców

zasady scentralizowania władzy w państwie (*centralisateurs satatolâtres*) było pozostawione inicjatywie jednostek. Wszystkiego podstawą była dobra wola i opinia publiczna. I bynajmniej nie ten stan rzeczy był źródłem nieszczęść Polski. Przeciwnie te na nią spadły odkad osłabły zasady dające byt owym pierwiastkom bytu Rplitéj. W poemacie „Pan Tadeusz“ chodzi o proces i o wykonanie wyroku. Żadna też książka nie przedstawiła wierniej zwyczajów i obyczajów tego narodu. Z téj racji dzieło owe jest wysoce nauczające, aczkolwiek nędznie (*mediocre*) tłumaczone, pociąga czytelnika obrazami życia wiejskiego, które skupiało w sobie całą działalność narodu.

Na tle tego ruchliwego i wrzawliwego społeczeństwa, snuje się postać, pokutująca na sposób polski to jest, z dobrej woli. Jestto magnat (*seigneur*) który przywdział habit za karę popełnionego przez się samobójstwa. Górę nad wszystkiém bierze, daleki odgłos legionów polskich, w służbie Francji pozostających, i ocknienie się Litwy w 1812 r. na wieść o zbliżającej się wielkiej armii. Francuzi zjawiają się na końcu poematu, i serca wszystkich wyrrywają się ku lepszéj przyszłości, jak ułani na szczyty Somo-Sierra.

Wśród tego ruchu, czy to zajęć codziennych, czy wywołanego przez najazd (*invasion*) francuzki, zwraca najwięcej uwagę: ład społeczny (*l'harmonie sociale*). Wszyscy biorą udział we wszystkiém, każdy ze swego stanowiska *ordine quisque suo*, a z równie głębokim uczuciem i spólnym zapałem. Na weselu Tadeusza, sędzia żąda, by uroczystość wiejska poprzedziła pańską (*la fete du village precede celle du salon*). „Istnieje, mówi on, dawny zwyczaj w naszej rodzinie, że zenimy się przy odgłosie wiejskiej muzyki. Oto cymbalista, skrzypek i dudziarz. Gdybym z niczém odesłał tych biédaków, popłakaliby się. Wieśniacy nie umieliby po innéj muzyce tańczyć: niech grają.“ Wszyscy więc biorą udział, tak w zabawie jak i w bóje, wszyscy aż do biédnego (*miserable*) żyda, najbiédniejszego cymbalisty. Nie chciał grać, ale młoda narzeczona podaje mu pałeczki jedną białą rączką a drugą muszce go po brodzie i mówi doń z ukłonem: „Janklu, proszę cię, to moje wesele: graj mój dobry Janklu. Czyżes mi nieraz nie przyrzekał grać na mém weselu?“ Jankiel lubi bardzo Zosię, kłania się na znak, iż przystaje. Muzyka jego przypomina wielkie wypadki z dziejów polskich. Nakoniec wraca się do generała, przemawia doń słów kilka; „kłania głos tamują, poczciwy żyd stary kochał swą ojczyznę, jak Polak prawdziwy. Dąbrowski ściska go za rękę i dziękuje mu. Żyd zdejmuje czapkę i całuje rękę bohatera.“

Daleko od tego do zdania *Ferrea jura insanumque forum*, które nasza (francuzka) szkoła doktrynerska, niezdolna pojąć wielu rzeczy, napisała na czele swego wyroku o życiu wewnętrzném narodu najbardziej katolickiego.

Adolf d'Avril.

ROZMAITOŚCI.

Elzewiry biblioteki seminaryum plockiego.

Wynalazłszy w bibliotece seminaryum plockiego, przy chętniej udzielonej mi pomocy ks. Wincentego Petrykowskiego, kilka cennych Elzewirów, podaję o nich do wiadomości publicznej, zwracając szczególnie uwagę na te wydania, o których wzmianki nie znalazłem w spisie Elzewirów biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, przez p. Siennickiego dokonany.

1. Historii Tacyta posiadamy aż cztery wydania. Jedno z roku 1621, o którym wspomina p. Siennicki na str. 60, oraz trzy następujące: *a*) C. Cornelius Tacitus ex I. Lipsii acuratissima editio, Lugduni Batavorum. Ex officina Elzeviriana an. 1634, in duodecimo 786 str. i 15 f. ind., oprawne w pergamin; *b*) bez tytułowej kartki historyi Tacyta, druk wyraźnie Elzewirów, in 16 str. 525 10 f. ind., oprawne w pergamin; *c*) bez tytułu historyi Tacyta, druk Elzewirów, in 16 str. 624 ind. f. 12, oprawna w pergamin.

2. Justi Lipsii de Constantia libri duo. Qui allogium praecipue continent in Publicis malis. Editio ultima et optime correcta Amstelodami typis Ludov. Elzevirii sumptibus Societatis 1652 an., in 16 str. 121 i 7 f. ind. objaśnienień oraz Jani Dovesae Nordovicis ad Justum Lipsium melos, oraz epigrama in Constantiam Justi Lipsi. O tém dziele p. Siennicki nie wspomina.

3. Georgii Schon-Borneri politicorum libri septem. Editio ipsius authoris emendat Amstelodami apud Ludovicum Elzevirium an. 1650 in 12 35 fol. dedicatio i wstępu str. 524, 12 ind., oprawne w pergamin. P. Siennicki str. 56 wspomina wydanie z r. 1660.

4. Bez tytułu, historyi Justyna z Trogi Pompeusza. Druk wyraźnie Elzewirów in 16 str. 260, oprawne w pergamin. P. Siennicki str. 152 wspomina tłumaczenie téj historyi w języku francuzkim.

5. Bez tytułu, C. Plinii Caecilii epistolae. Druk Elzewirów in 12 str. 404 i 14 fol. ind., oprawne w pergamin. P. Siennicki str. 184 wspomina wydanie tychże listów, lecz o większej liczbie stronic.

6. Jo. Barila Argenis. Editio novissima cum Clave hoc est nominum propriorum elucidatione hactenus nondum edita. Amstelodami ex officina Elzeviriana an. 1671, in 12 str. 569 ind. f. 3, oprawne w pergamin. P. Siennicki str. 11 wspomina wydanie tegoż dzieła z tegoż roku, ale Lugduni Batavorum.

7. Bez tytułu i pierwszych kilku kartek. Druk Elzewirów Valerii Maximi libri novem in 16 str. 301, oprawne w pargamin. P. Siennicki str. 213 wspomina też samo dzieło, lecz in 12 str. 305. Opis dzieł nakładem Elzewirów wydanych, na czas późniejszy odkładam.
Ks. Antoni Brykczyński.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Styczeń 1877 r. — *Kronika Rodzinna* powitała rok nowy 1877 wierszem p. n. *Dwie siekierki*, z cyfr ostatnich tego lata. Nosi on tytuł *Ballady hiszpańskiej*, napisany przez sędziwego poetę A. E. Odyńca. Podajemy utwór ten w całości:

Postrach kraju, ludu zgroza,
Niesyt łupu, krwi, rozterek,
Don Diego di Mendoza
Dożył wieku dwu siekierek.

Dotąd nie znał on co trwoga,
W hardój pysze, w sercu krwawém,
Myśl swą tylko miał za Boga,
Moc swą tylko czuł był prawem.

Z wzgardą, ludzkich ustaw szereg
Rwał i burzył, jak twierdz mury;
Ale rok ten dwu siekierek,
To jak herold praw natury.

Ona szle mu zapozwanie,
I on czuje, że nie będzie
Mógł się oprzeć i że stanie
Gdzieś, przed jakiś sąd i sędzię.

I raz pierwszy Don Diego,
Wódz tych, co sami żelazni
Czozą w nim siłę żelaznego,
Drgnął przed krwawém widmem kaźni.

Drgnął przed dwiema sickierkami,
I obraz ich, jak złowroga
Kometa między gwiazdami,
Wszedł, czy groźba? czy przestroga?

Czas i śmierć dzierżą je społem,
Symbol sądu po nad światem;
Obyż rok ten apostołem
Był dlań tylko, a nie katem!

— P. Edward R. Łojko, przewodniczący w Zakładzie rękodzielniczym dla kobiet, ogłosił drukiem sprawozdanie roczne z działalności jego w ciągu 1876 r. Trzeci to rok upłynął od otwarcia tego Zakładu, który dzięki energii i poświęceniu głównych kierowników, rozwija się użytecznie i pomyślnie.

— *Tygodnik Rolniczy*, z Nowym rokiem już pięć lat istnienia swego liczy, co dowodzi, że praca Redakcyi i jej starania w ulepszaniu tego organu, tak ważnego jak w naszym kraju rolniczym, znalazły w gronie obywateli ziemskich uznanie i poparcie.

— *Gazeta Warszawska* podając spis rzeczy za rok 1876, na czele pomieściła wiadomość, że to *Rok istnienia sto trzeci* tego pisma.

— Od 1 stycznia r. b. zaczął wychodzić zapowiadziany *Goniec Teatralny*, pismo ilustrowane poświęcone teatrowi, sztukom pięknym i sportowi(?). Nakładem i pod redakcją Józefa Naimskiego. Na czele każdego numeru są fotografowane portrety znakomitych artystów dramatycznych, (Wojciech Bogusławski, Halpertowa), na ostatniej stronnicy konie. Wydanie ozdobne, cena roczna w Warszawie rs. 10, w Cesarstwie i na prowincyi rs. 12.

— *Biesiada literacka* pismo ilustrowane, umiejętnie redagowane, rozesało prenumeratorom swoim piękne premium wystawiające w udanym drzeworycie obraz p. H. Szwojnickiego: „W zbrojowni,“ w którym artysta z całą prawdą historyczną, przedstawił jedną scenę z życia ziemiańsko-rycerskiego.

— P. H. Kuczalski w starannym przekładzie wydał rozgłośny romans przedhistoryczny E. Berthet'a: *Opowiadania z życia pierwotnych plemion ludzkich, we trzech częściach*. Pierwsza obejmuje: *Parzyżanie epoki kamiennej*, druga *Osada Nawodna*, a trzecia *Założenie Paryża* (Warszawa 1876 r., w 8-ce str. 421).

— W rządzie orientalistów współczesnych zajmuje jedno z najznakomitszych miejsc dziekan Uniwersytetu Warszawskiego Kowalewski, niegdyś przyjaciel i towarzysz Adama Mickiewicza w Wilnie. Kowalewski był profesorem w Kazaniu, obecnie zaś przebywa w Warszawie. W ostatnich właśnie czasach francuzkie Towarzystwo orientalne wybrało Kowalewskiego członkiem honorowym. Już przedtém doznawał on hołdów zagranicą. Dr. Jülg, prof. uniwersytetu w Insbrucku dedykował swoje *Studia Mongolskie* Kowalewskiemu, a dedykacją tę

zakończył hołdem ujętym w następujące słowa: *Honos nomenque tuum semper manebunt.*

— Karola Hubego t. I *Zbioru prawa cywilnego*, wyszedł z druku i obejmuje ustawę przechodnią do kodeksu Napoleona, prawa z r. 1825, prawa o małżeństwie z r. 1836 i księgę II Kodeksu Napoleona od artykułu 516—529. Z przedmowy wydawcy dowiadujemy się, że głównym zadaniem jego pracy było zebrać w jedną całość wszystkie postanowienia, wydane w uzupełnieniu lub zmianie kodeksów obowiązujących w Królestwie Polskiem, na wzór wydania St. Zawadzkiego.

Aby rozróżnić na pierwszy rzut oka artykuły obowiązujące od tych, jakie uległy zmianie, wydawca użył odrębnego dla nich druku, a obszerniejsze materye, zaznaczywszy je pod artykułem, pomieścił w dodatkach. Objęto tu przepisy tak cywilnej jak i administracyjnej treści, leżące poza systematem kodeksowym.

Tom wydany, jest jednym z 4-ch, jakie obejmie całość wydawnictwa, a następnie ukazą się też same tomy w języku polskim, za oddzielną prenumeratą.

— Znakomita podróżniczka pani W. Storm Van der Chys, o której pobycie w Warszawie prasa nasza wspomniała, wyjeżdżając w pierwszych dniach stycznia r. b. do Berlina, przesłała list następnym do *Kurjera Warszawskiego* z prośbą, ażeby pisma tutejsze peryodyczne zechciały takowy powtórzyć:

„Podróżując od lat przeszło 40-stu po całym świecie w celach naukowych i artystycznych, postanowiłam w dalszym ciągu méj wędrówki zwiedzić kraj polski, o którym słyszałam, iż zawiera w sobie wiele drogocennych pamiątek i zabytków wielkiej przeszłości. Przybyłam do Warszawy na czas krótki z zamiarem obejrzenia, w krótkim czasie, osobliwości miasta, pamiątek, zapoznania się z ruchem naukowym i artystycznym kraju, z działalnością tutejszą na polu wychowania i dobroczynności. Serdeczne jednak nad wyraz, przyjęcie, gościnność jakiej doznałam, a jaka przeszła nawet wszystko to, cokolwiek o narodzie polskim w tym względzie słyszałam, spowodowały że pobyt mój nadspodziewanie przedłużyłam aż do dwu miesięcy. Tak dawno podróżując, zdawało mi się, że dla mnie nie ma już miejscowości, któraby potrafiła dłużej mnie zatrzymać, jak przez czas potrzebny tylko dla wzbogacenia mojej wiedzy i moich zbiorów; przekonałam się jednak, że same Wasze serca, życzliwość i niekłamana szczerłość z jaką wszędzie byłam przyjmowaną, kazały mi zapomnieć prawie o celach méj podróży.

Między wami przebywając, zdawało mi się, żem nie opuściła méj ojczyzny. Korzystając z Waszój uprzejmości, zebrałam wiele skarbów do moich zbiorów, które aż nadto wymownie zaświadczą w mojej ojczyźnie, jak kwitnie u was cywilizacya, jak miłujecie nauki i sztukę, jak wreszcie pielegnować umiecie wszystko, cokolwiek odnosi się do dawnej przeszłości i historyi. Przejęta do żywego wdzięcznością nie mogę powstrzymać się aby nie złożył publicznego podziękowania wszystkim,

k którzy czynem, słowem lub radą, udzielali mi serdeczną pomoc i ułatwiali w poznaniu wszystkiego, cokolwiek w tutejszym kraju ma związek z nauką i sztuką. Dziękuję więc serdecznie rodzinom Łubińskich, Zamoyskich, Aleksandrowiczów, pp. Sobańskiej, Kickiej, Inickiej, Łuszczewskiej (Deotymie), W-mu Papłowskiemu, za tak serdeczne zapoznanie mnie ze skarbami tutejszej literatury, nauki i sztuki; wreszcie dziękuję licznym rodzinom miasta, których nazwiska szczupłość miejsca nie pozwala mi wymienić, za szczerą i serdeczną staropolską gościnność, z którą w domach swoich mnie przyjmowały. Bądźcie przekonani, że wspomnienie pobytu pomiędzy wami, na zawsze w mej pamięci pozostanie, gdyż wyróżniście go od wspomnień wyniesionych przezemnie z innych krajów, waszém sercem i ciepłem duszy, a dla mnie dodaliście jeszcze na polu moralném jedną zdobycz, którą za powrotem do kraju przekażę mym ziomkom, ażeby serca i dusze swój dziatwy w szczeroci i gościnności, na waszych wzorach kształcili.“

— Komitet tymczasowy IV, zjazdu archeologów w Kazaniu, zaświadamia, iż zjazd ten zamierza zebrać się w rzeczoném mieście dnia 31 lipca 1877 r. i prosi, aby wszelkie korespondencye przesyłane były pod adresem prezesów komitetu: hr. A. S. Uwarow w Moskwie (do Towarzystwa archeologicznego Moskiewskiego), i kuratora O. N. w Kazaniu P. D. Szestakowa, posyłki zaś pod adresem D. A. Korsakowa, docenta Uniwersytetu kazańskiego, sekretarza komitetu.

— W londyńskim dzienniku *Daily News* spotykamy wiadomość, że municypalność miasta Rzymu zamierza na kamienicy na *Via Pozzato*, w której 1848 r. mieszkał Adam Mickiewicz, umieścić napis odpowiedni na marmurujów tablicy. Ten sam dziennik przytacza słowa Cavoura, wyrzeczone o Mickiewcu. „Ruch słowiański—miał się wyrazić sławny twórca jedności włoskiej—natchnął największego poeę naszego stulecia, Adama Mickiewicza, po którym sądząc możemy mieć zupełną ufność w przyszłość tego ludu, gdyż dzieje uczą, że gdy Opatrzność zsyła geniusza jak Homera, Dantego, Szekspira albo Mickiewicza, jest w tém dowód, że naród, którego są synami, powołany jest do wyższych przeznaczeń.“ Nie wiemy, ile autentyczności przypisać należy tym słowom, ale to pewna, że Mickiewicz został w nich mylnie nazwany geniuszem, wydanym na świat przez „ruch słowiański.“ Obecnie znajdujemy potwierdzenie téj wiadomości w dzienniku włoskim *Bersagliere*, który przy téj sposobności zamieszcza artykuł nadzwyczaj sympatyczny o sławnym poecie polskim. *Bersagliere* przytacza znowu najznakomitszych mężów, wyrzeczone o Mickiewcu, między innymi piękne słowa Quineta, które później posłużyły za motto włoskiemu pisarzowi Napoleonowi Giotti, w jego studyum ogłoszoném o Mickiewcu w Florencyi. Z przytoczonych przez *Bersagliera* zdań o poecie, powtarzamy piękne słowa Lammenais'go. „Pokaże się niebawem przekład jednego z dzieł Mickiewicza, niezaprzeczenie pierwszego poety naszój epoki—pisze autor *Paroles d'un croyant* w liście do markiza de Coriolis.—Są tam rzeczy nieocenione i porywające; niezapomina-

jąc bynajmniej ogromnego przedziału, jaki jest między słowem Boga a słowem człowieka, odważyłbym się o tej książce (ksiegach pielgrzymstwa) powiedzieć czasem: to tak piękne jak ewangelia...“

— W tomie pierwszym naszego pisma z roku zeszłego, z okoliczności pięćdziesięciolecia od śmierci Staszica, zapowiedzieliśmy wspomnienie o tym zgasłym mężu, z nowo odnalezionym własnoręcznym testamentem jego, które opracował pan Justyn Wojewódzki. Kiedy jednakże przedsięwzięta monografia, przybrała nad pierwotny plan obszerniejsze rozmiary, a przybywające nowe zasoby, powiększają jeszcze takowe, autor zawiadomił naszą redakcją, że pracę swoją, która znakomicie wypełni życiorys Staszica, w oddzielnj książce wydać zamierza.

— W Krakowie w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego wyszło dzieło prof. Szujskiego: *Roztrząsania i opowiadania historyczne*.

— Z wydanego wykazu programu Uniwersytetu Jagiellońskiego dowiadujemy się, że *Alma* krakowska liczy profesorów 56, docentów i asystentów 33, słuchaczy 542. Stypendya pobierane przez uczniów w roku zeszłym wynosiły 14,197 zł. austr.

W roku bieżącym rektorem jest dr. Fryderyk Zoll (profesor prawa rzymskiego). Senat uniwersytecki składają profesorowie Czryniański, ks. Drożdżewicz, E. Firich, Piotrowski, Szujski, ks. Czerlunczakiewicz, Kasperek, Rydel, Łepkowski, Heyzman, Karliński.

— Ks. Petruszewicz prałat metropolii ruskiej we Lwowie, wydał tam (w drukarni Stauropigii) rozprawę *O Kraku* (filozoficzno-historyczne studyum), w której bada pochodzenie nazw: Krakowa, Wawelu, Wandy, Wisły, Światowida, Daźdboga, Wołosa, Własa, Striboga, Peruna, nadto obchodów: Konika zwierzenieckiego, Rękawki, Kupały, herbu Pogoni, posągów *babami* zwanych i t. d. Praca to godna uwagi naszych badaczy.

— *Pochodnie Nerona*, słynny obraz Siemiradzkiego, wystawiony jest w Berlinie. „*Berliner Börsen Zeitung*,” zamyka w tych słowach o tym znakomitym utworze swoje sprawozdanie: „Obraz w całości utwierdza nas w przekonaniu, że młody malarz jest niezwykłym talentem; w szczegółach, w traktowaniu niektórych postaci, w ozdobach architektonicznych, w oddawaniu strojów jest on mistrzem nieporównanym.“

— Czytamy w liście prywatnym: „ś. p. August Bielowski został umierając 17 form czyli 8 i pół arkuszy na czysto odbitych III tomu Monumentów. Kierownictwem wydawnictwa zajmuje się komisya złożona z prof.: Małeckiego, Liskego i Kętrzyńskiego. Ostatni prowadzi dalej druk materyałów przez ś. p. Bielowskiego przygotowanych. Materyałami nieopracowanemi podzieliło się kilku pracowników. Kętrzyński objął prócz katalogów biskupów krakowskich, których jest 5, jeszcze wszystkie pruskie rzeczy. Mamy nadzieję, że się powoli zbierze jeszcze dość materyałów do tomu IV Monumentów.“ Wiemy zkąd inąd, iż dr. Smolka przywiózł z Królewca do III tomu Monumentów kolacye bardzo ważnego rękopisu kroniki szlązko-polskiej (*Chronicon*

polono-silesiacum) i roczników wielkopolskich drukowanych w II tomie Sommersberga i odpis rękopisu żywota ś. Stanisława. On też opracowywać ma żywot ś. Stanisława i roczniki wielkopolskie; dr. Węclewski objął redakcją: *Chronicon polono silesiacum* i *Chronicon principum Polonorum*, dr. Hirschberg żywoty ś. Kingi i ś. Salomei. Wychowańcy seminaryum historycznego profesora Liskego redagują roczniki świętokrzyskie.

— Biblioteka Jagiellońska w Krakowie posiada obecnie ogółem dzieł 141,806 w 180,971 tomach; atlasów i map 1,433; muzykaliów 352, rękopisów 3,515 w 4,295 tomach; dyplomatów 213; rycin 6,595 i monet 9,189. Przybytek ostatnioroczny 1876 r. wynosi: 2,880 dzieł w 5,208 tomach, czasopism 183, atlasów 4, map 11, rycin 19, muzykaliów 4, rękopisów 16, medali 14, monet 196. W tym roku kustosz biblioteki p. Władysław Wisłocki, ukończył ostateczne opracowanie rękopisów biblioteki, które ogłoszone będzie drukiem.

— Róg górniczy skradziony w Wieliczce i sprzedany w Wiedniu baronowi Rotschildowi, o czém w piśmie naszym wspominaliśmy, już powrócił na dawne miejsce, jako szacowny zabytek tych kopalni soli.

— W piśmie *Globus* wydawaném w Brunszwiku, w nr. 19 z r. p. jest rozprawa Franciszka Schmidta z Wejmaru, o obrzędach ludu słowiańskiego na Szlązku, w Czechach, Saksonii, Turynгии i t. d., tyczących się żegnania zimy a witania lata; tytuł téj pracy: *Den Tod austragen und den Sommer gewinnen*. Wiele tam i o naszych zwyczajach ludowych.

— Z funduszów książąt Czartoryskich przeznaczonych dla uczniów Wydziału filologicznego za najlepsze prace z zakresu historii kościoła w Polsce i historii polskiej, otrzymali w r. 1875 nagrodę: Mieczysław Warmcki za rozprawę: „Przebieg sprawy egzekucyi dóbr koronnych za Zygmunta Augusta z uprzednim wstępem o inskrypcjach tych dóbr w XV i XVI wieku“ i p. Ludwik Droba za pracę: „Przyczynki do dziejów kościoła, religii i obyczajów w Polsce XIII i XIV wieku, na podstawie ustaw synodalnych tychże wieków.“

— Dnia 5 stycznia r. b. w Krakowie w kościele Franciszkanów odstoniono marmurowe popiersie Jana Kochanowskiego, dłuta rzeźbiarza Kossowskiego, które ma uzupełnić grobowiec największego z poetów XVI stulecia. Kasztelan Franciszek Wężyk wraz z Polem podjęli tę myśl piękną, ale pomnik miał stanąć w katedrze na Wawelu.

— We Lwowie pod redakcją prof. dr. T. Ciesielskiego wychodzi *Bartnik Postępowy*, dwa razy na miesiąc, pismo podające artykuły oryginalne, korespondencje i najnowsze rzeczy z dziedziny pszczolnictwa i ogrodnictwa z rycinami. Roczna prenumerata wynosi rs. 2. Trzeci to już rok jak wychodzi to użyteczne czasopismo godne poparcia ogółu.

— W roczniku na r. b. Stowarzyszenia austro-węgierskich urzędników p. n. *Dioskuren*, o którym już wspominaliśmy nieraz, jako o publikacji zwracającej uwagę od lat sześciu, z powodu, że w każdym

jest miejsce poświęcone literaturze polskiej, znajdujemy p. Blumenstoka monografię: *Ukraina i jej poeci*, w której zapoznaje czytelników niemieckich z poezjami Malczeskiego, Zaleskiego i Goszczyńskiego.

— Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu odbyło dnia 12 stycznia r. b. swe walne zebranie pod przewodnictwem Kazimierza Kantaka. Ze sprawozdania złożonego dowiadujemy się, że „Kodeks wielkopolski,” jest przygotowany do druku. Muzeum na zbiory ma być wkrótce zbudowane; biblioteka Towarzystwa zwiększoną została o 2000 tomów z daru zmarłego członka Stanisława Skarzyńskiego, który nadto zapisał na rzecz tegoż Towarzystwa 600 marek; przez głosowanie dawny zarząd wybrano: to jest na prezesa St. Kozmiana, na wiceprezesa dr. Małeckiego; na sekretarza i konserwatora p. Feldmanowskiego, na podskarbiego dr. Łebińskiego, na redaktora dr. Świderskiego.

— Pomienione wyżej Towarzystwo postawiło pomnik Staszycowi w kościele miasteczka Pile w W. Ks. Poznańskim. Na kamieniu mieści się napis:

„D. O. M.
Stanisław Staszic
Pełen zasługi statysta polski
Znakomity ziemioznawca
Szczodroblivy opiekun nauk
Przyjacieli i dobroczyńca ludu
Urodził się w Pile
Roku 1755.“

SPROSTOWANIE.

W zeszytcie styczniowym r. b., w artykule: *Szkice z wystawy filadelfijskiej* na str. 30 w wierszu od góry 12, zamiast *dawnego* czytać należy *danego*. W zeszytcie niniejszym w rozprawie *Drogi żelazne w Króles. Pols.*, na str. 203 w wierszu 6 od góry, zamiast *powtóre* czytaj *nawet*. Na str. 204 w wierszu 24 od góry, zamiast *nadające* czytaj *nadające*. Na str. 205 w wierszu 28 od góry, zamiast *skonie* czytaj *stronie*. Na str. 210 w wierszu 1 od góry, zamiast *obejście* czytaj *obejścia*, a w wierszu 9, zamiast *zabudowania* czytaj *zbudowania*. Na str. 213 w wierszu 41 od góry, zamiast *powinna* czytaj *powinno*.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca Józef Berger.

	stron.
XII. Marchoń. Przedruk homograficzny z egzemplarza prof. J. Przyborowskiego, objaśnił dr. Zygmunt Celichowski. Poznań, nakładem biblioteki Kórnickiej, 1876. (Drukiem J. I. Kraszewskiego, dr. W. Łebiński w Poznaniu. W 16ce str. 26 i 4 kart druku homograficznego). Przez W.	291
XIII. Listy z Peruwii. Skreślił Władysław Kluger inżynier rządowy i prof. szkoły inżynierskiej w Limie. W Krakowie. Czeionkami drukarni „Czasu.” 1877 r. (Nakładem autora. w 12 str. 48). Przez R.	307
XIV. Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił Oskar Kolberg. W. Ks. Poznańskie. Część druga. Kraków 1876 r. (w 8-ce str. 386). Przez R.	310
XV. Monsieur Thadée de Soplica, ou le dernier precés en Lithuanie sui generis. Recit historique en douze chants par Adam Mickiewicz (1-re partie. Paryż, Plon 1876, in 12, str. 307, cena 3 fr.). Przez Adolfa d'Avril.	311
XVI. Rozmaitości. Elzewiry biblioteki seminaryum plockiego. Przez ks. Antoniego Brykczyńskiego.	313
XVII. Wiadomości bieżące, naukowe, literackie i artystyczne.	314
XVIII. Sprostowanie.	320

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiej z lat 1841—1874. Przez Karola Estrejchera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcyja w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o pierwotnym związku swego pisma i pierwszych założycielach, aż do roku 1875. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

PRENUMERATA
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ

NA ROK

1877.

Biblioteka Warszawska wychodzi zeszytami miesięcznemi.

Prenumerata roczna w Warszawie rs. **9**, na prowincyi z opłatą pocztową rs. **10**. Półroczna w Warszawie rs. **4** kop. **50**, na prowincyi rs. **5**.

Główna ekspedycja Biblioteki Warszawskiej znajduje się w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie (Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415). Każdy z prenumeratorów z prowincyi *wprost do téj księgarni* przesyłać zechce prenumeratę pocztową, *a zarazem poda dokładnie swoje nazwisko, miejsce zamieszkania i najbliższą stacyą pocztową*, zkaąd w opaskach pod oddzielnym adresem, zeszyty najregularniej po wyjściu odbierać będzie.

Prenumeratę przyjmują oprócz ekspedycji głównej, w księgarni Gebethnera i Wolffa będącej, wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Skład główny: *w Lwowie* w księgarni Wł. Zawadzkiego ulica Maryacka L. 3.—*w Krakowie* w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Prenumeratę przyjmuje nadto w Warszawie *Księgarnia Komisowa*, ulica Chmielna Nr 8.

REDAKOYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ: ULICA NOWY-ŚWIAT, NUMER 68.